

ROBERT A.
HEINLEIN

STARMAN

JONES

Robert Anson Heinlein

DALEKI PATROL

Tytuł oryginału:
STARMAN JONES

Przełożył:
ROBERT RESZKE

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

O tej porze roku Max szczególnie lubił wczesne godziny wieczorne. Ponieważ żniwa były już ukończone, mógł przed czasem uporać się także z innymi pracami. Świnie zostały już nakarmione, kury dostały codzienną porcję ziarna, a on sam wspiał się pod górę ścieżką, prowadzącą na zachód od stodoły. Tutaj, przez nikogo nie zauważony, oddał się przyjemności iskania pcheł, które wyrzucał w trawę. Jak zwykle miał przy sobie książkę, pożyczoną z Biblioteki Miejskiej. Tym razem było to "Stworzenie nieba: wprowadzenie do zoologii egzotycznej" Bonforte'a. Zamiast jednak czytać, podłożył opasły tom pod głowę, jako namiastkę poduszki. Niezobowiązująco popatrzył na północny zachód,

Nie dlatego, jakoby dostrzegł tam coś niezwykłego - po prostu lubił spoglądać w tamtą stronę. W tej chwili właśnie dostrzegł stalowe nośniki i koła nośne linii transporterów Spółki Przewoźniczej z Chicago.

Pierwsze koło powoli wynurzało się zza ogromnej hałdy, strzelając wysokość niebo na wysokość dziesięciu metrów, drugie, podtrzymywane przez dwa trójnogi, ukazało się w odległości trzydziestu metrów od pierwszego, zaś trzecie i ostatnie, utrzymujące wraz z innymi tę samą wysokość transportera, strzelało nad doliną, wspierane przez trzydziestometrowej długości żelazne pręty. W połowie szerokości obiektu mógł dostrzec antenę. Po lewej stronie wyrosła podobna konstrukcja, tylko koło było większe, odpowiadające pochyłości terenu. Także i tutaj dostrzegł antenę, tym razem jednak poznał, że to odbiorcza. Ponieważ zbocze było bardziej strome, zainstalowano dodatkowo jeszcze jedno koło.

Max czytał, że na Księżycu koła prowadzące nie były wcale większe, niż w większości przeciętnych urządzeń, gdyż nie wiały tam gwałtowne wiatry, które zmuszałyby konstruktorów do łamania głowy nad balistyką pojazdu.

Z dzieciństwa pamiętał, że konstrukcje wznoszono wówczas mniejsze, ale też możliwe były nieprzyjemne niespodzianki. I tak, na przykład, w czasie jednego z potężnych huraganów wiatr uderzył w budowlę, która się zapadła, grzebiąc pod sobą ponad czterystu ludzi. Jeśli to tylko było możliwe, unikał widoku pojazdów w biegu, choć jak na razie nie przyszło mu do głowy, aby życzyć pasażerom złamania karku. Gdyby jednak doszło do jakiejś katastrofy - a to przecież zawsze było możliwe - niechętnie pogodziłby się z myślą przegapienia takiego widowiska. Max ciągle patrzył się w wąwóz. "Tomahawk" powinien nadejść lada moment.

Wreszcie srebrny pas zaśnił, płonący cylinder ze stalowym nosem wystrzelił w górę, przeleciał przez ostatni pierścień i zawisł na moment między grzbietami gór. Wśród skał potoczyło się echo. Max gwałtownie westchnął.

- Chłopcze, chłopcze, ejże ... - wymruczał.

Ten niewiarygodny widok oraz gwałtowny wstrząs, który targnął bębenkami uszu za każdym razem wydawały się być nowym, nieznanym dotychczas doświadczeniem grozy.

Wyprostował się i otworzył książkę, przyjmując jednak taką pozycję, aby nie tracić z oczu północno-zachodniego skraju nieba. Ponieważ wieczór był jasny, a powietrze nadzwyczaj przejrzyste, siedem minut po starcie "Tomahawk'a" można było dostrzec codzienny transport z Księżyca.

I chociaż wszystko działo się znacznie dalej, a zatem dramatyzm chwili nie był aż tak przejmujący, głównie dlatego tu przyszedł, aby być świadkiem tego wydarzenia.

Koliste transportery przykuwały uwagę, owszem, lecz jego miłość skupiła się na statkach

gwiazdnych - nawet na tych śmiesznie małych łódeczkach, które obsługiwały króciutką trasę Księżyc - Ziemia. Właśnie znalazł odpowiedni fragment z opisem inteligentnych, lecz nadzwyczaj flegmatycznych skorupiaków z Epsilonu Zety IV, gdy z lektury wyrwał go czyjś okrzyk.

- Hallo, Maxi ...

Zachował absolutną ciszę i nie odpowiedział na wezwanie.

- Max ... przecież cię widzę! Max ... masz natychmiast podejść tutaj, na to miejsce, rozumiesz?

Mruknął coś niezrozumiałego. Podniósł się.

Poruszał się powoli, obserwując przez ramię południowo - zachodni horyzont, aż do momentu, gdy bojaźń kazała mu przyspieszyć kroku. Właśnie wróciła Maw i od tej pory spokojne życie zaczęło przypominać piekielne udręki, o ile natychmiast nie wróci, aby jej pomóc. Gdy przybyła tu z samego rana, miał wrażenie, że noc spędzi gdzieś poza domem - nie, żeby coś takiego mu powiedziała, o nie ... tego nie czyniła nigdy. Po prostu Max, nauczył się rozumieć ledwo dostrzegalne znaki i z nich wyciągać wiążące na ogół wnioski. Tym razem jednak był na fałszywym tropie.

Miał przed sobą dwie ewentualności: albo zostanie ogłuszony przez jej jękliwe zrzęczenia, albo zaleje go stek bzdur stereowizji - ulubionej rozrywki Maw. I pomyśleć, że tak niedawno miał nadzieję na samotną lekturę w ciszy i spokoju ... Gdy dotarł w pobliże domu, przystanął.

Spodziewał się, że jak zwykle Maw przyjechała autobusem, wysiadając swoim zwyczajem kawałek przed przystankiem, skąd wracała już na piechotę. Tym razem przed domem stał motor, a przy kobiecie dojrzał jakąś męską sylwetkę.

Najpierw sądził, że to ktoś obcy, gdy jednak podszedł bliżej, poznał Billa Montgomery.

Max nie mógł sobie przypomnieć, aby ten człowiek kiedykolwiek trudnił się jakąś stałą pracą. Owszem, mieszkał w okolicy, lecz nie uprawiał roli. Z plotek słyszał, że Bill chętnie przyjmuje obowiązki czatownika, pilnującego spokoju jednej z licznych nielegalnych gorzelni, czynnych gdzieś w górach.

Gdy tylko sięgnął pamięcią w przeszłość, zawsze wyłaniał się obraz tej kreatury. Nie wyobrażał sobie, aby kiedyś mógł nie znać Montgomery'ego.

Widział nieraz, jak wałęsał się po okolicy, lecz traktował go jak powietrze. Dopiero od niedawna Maw zaczęła spotykać się z tym typem, była z nim kilka razy na tańcach oraz na wątpliwych bankietach. Usiłował jej wytłumaczyć, że gdyby ojciec to widział, zdecydowanie by zaprotestował, ale Maw nie przyjmowała tego rodzaju argumentów. Po prostu - co jej się nie podobało, tego nie słyszała ot i wszystko. Tym razem wzięła go ze sobą do domu... Max czuł, jak powoli krew burzy mu się w żyłach.

- No, nie stój tak, jak słup soli! ... - krzyknęła głośno.

Max z oporami ruszył w stronę motoru.

- Podaj rękę nowemu tatusiowi ... - zakomenderowała Maw, czyniąc tak szelmowską minę, jakby po raz pierwszy w życiu setnie się ubawiła.

Max stanął z otwartymi ustami. Montgomery wyszczerzył zęby i wyciągnął dłoń.

- Tak, Max. Od dzisiaj nazywasz się Montgomery ... Jestem twoim nowym tatulkiem. Nazywaj mnie Mont ... No, bez ceregieli ...

Max popatrzył na rękę i dotknął nieśmiało, jakby dłoń parzyła. Natychmiast puścił.

- Nazywam się Jones ... - oznajmił spokojnie.

- Maxi! ... - wyryczała Maw.

Montgomery roześmiał się jowialnie.

- Nie żądaj od niego zbyt wiele, Nellie. Max musi się po prostu przyzwyczaić. "Żyć i dać żyć innym" ... oto moje credo.

Zwrócił się do kobiety

- Jeszcze chwileczkę, kochanie. Muszę wziąć bagaż. Podszedł do motoru i wyciągnął z torby dwa zawiniątka: w pierwszej paczce mieściły się beznadziejnie pomięte sukienki, w drugiej dwie butelki.

- Na noc poślubną! - wrzasnął, wymachując flaszkami w stronę Maxa, który ani na moment nie spuścił go z oczu. Oblubienica stała właśnie przy drzwiach.

Gdy oblubieniec zdołał wreszcie dotrzeć do małżonki, Maw zaprotestowała nieśmiało.

- Ależ Monty, kochanie ... chyba już nie chcesz dzisiaj ... Montgomery przystanął.

- Chyba masz rację ... Zwrócił się do Maxa

- Trzymaj, chłopcze ... - wybełkotał, wciskając mu oba pakunki. Choć Maw była lekko wzburzona, chwycił ją na ręce, przeniósł przez próg i rzucił na ziemię. Po chwili sam rzucił się na swą ślubną, objął ją i obsypał namiętymi pocałunkami, zupełnie nieskrępowany nieletnim świadkiem tej sceny.

Choć Maw poczerwieniała, nie przeszkadzało to jej popiskiwać z uciechy.

Max wszedł do domu, położył pakunki na stole, po czym ruszył w stronę kuchenki. Była zimna, gdyż od śniadania nikt jej nie używał. Wprawdzie mieli jeszcze kuchenkę elektryczną, lecz od śmierci ojca nikt nie miał wystarczająco dużo cierpliwości, by zdobyć się na wymianę przepalonej spirali.

Max podłożył drewna, nastругał scyzorykiem drzazg i przyłożył ogień. Po chwili wszystko zajęło się wesołym, huczącym ogniem. Gdy płomienie strzeliły wysoko w górę, wyszedł na dwór, aby przynieść wiadro wody.

- Właśnie zastanawiałem się, gdzie byłeś ... - przywitał go Montgomery - Czy w tej oberży nie ma bieżącej wody,

- Nie! - Max odstawił wiadro i podłożył jeszcze kilka szczap.

- Mógłbyś już wcześniej przygotować coś do jedzenia! - dorzuciła od siebie Maw.

Lecz Montgomery i tym razem ostudził jej zapały.

- Ależ kochanie, skąd Maxi miał wiedzieć, że przyjedziemy? ... A poza tym mamy Jeszcze trochę czasu ...

Max odwrócił się doń plecami i ukroił kilka plasterków polędwicy. Do tej chwili nie mógł jeszcze pojąć, co się właściwie stało. Zmiany były zbyt gwałtowane.

- Tutaj, synu! ... - wrzasnął znowu Montgomery - Wypij kieliszeczek za zdrowie panny młodej!

- Muszę zrobić kolację.

- Nonsens. Zdażysz. Tutaj jest kieliszek. Wypijże wreszcie! Montgomery napełnił kieliszek koniakiem. Jego własny był pełny w połowie, a panny młodej zaledwie w jednej trzeciej. Chłopak podszedł do wiadra i dopełnił swój kieliszek wodą.

- W ten sposób znieważasz tylko szlachetny trunek ... - zmonitował go macoch.

- Nie jestem przyzwyczajony ...

- Jakże to? Nie chcesz spełnić toastu za pomyślność takiej panny młodej i za szczęście całej rodziny? No ... dalej ... Max umoczył język.

Żółtawa ciecz przypominała smakiem gorzkie kropelki, które zaaplikowano mu poprzedniej wiosny. Odstawił kieliszek i wrócił do przerwanej pracy. Nie na długo.

- Ej, ty! Nie wypijesz nawet jednego?

- Muszę zająć się kolacją. Chyba nie chcecie, żeby się przypaliła, co? Montgomery wzruszył ramionami.

- Skoro tak, będziemy mieli więcej dla siebie. Tymi popłuczynami, które są twoim dziełem, będziemy zapijali. Ale muszę ci powiedzieć, że w twoim wieku mogłem wypić duszkiem kufel piwa,

a potem umiałem stać na głowie, nie drgnąwszy nawet, ot co.

Max miał zamiar zjeść trochę mięsa na grzankach, lecz wkrótce zorientował się, że to nie wystarczy. Wobec tego wrzucił na patelnię kilka jajek, zagotował kawę, po czym nakrył do stołu.

Gdy młoda para zasiadła do kolacji, Montgomery potoczył krytycznym wzrokiem po menu.

- Moja droga ... już od rana oczekuję, kiedy wreszcie pokażesz mi nieco ze swych kulinarnych umiejętności, o których tylekroć miałem okazję słyszeć. Ten chłopak z pewnością ma niewielkie pojęcie o wykwintnej kuchni.

Mimo tej miazdzącej krytyki prostego jadła, rzucił się na jajecznicę z wilczym apetytem. Max postanowił nie wyprowadzać go z błędu - smutne stwierdzenie faktu, że on jest lepszym kucharzem od swej matki niewątpliwie nie przydałoby blasku tej weselnej uczcie.

Mężczyzna oparł się o krzesło, ocierając świecące tłuszczem usta. Nalał jeszcze jedną filiżankę kawy i zapalił cygaro.

- Maxi, kochanie ... co mamy na deser? - wyszczebiotała Maw.

- Na deser? ... Chyba muszą wystarczyć lody. W lodówce powinny być jeszcze jakieś resztki.

- Lody? ... - twarz matki skrzywiła się w bolesnym grymasie - Ach, lody! ... Sądzę, że chyba nic już nie pozostało.

- Jak to ...

- Ano tak. Któregoś dnia, gdy byłeś w polu, zjadłam wszystko. Było piekielnie gorąco ...

Max pojął w okamgnieniu - żarłoczność Maw znał nie od dzisiaj. Zamilkł, lecz to nie wystarczyło.

- Skarbie ... czy naprawdę nie przygotowałaś nic innego? Dzisiaj mamy tak szczególny wieczór, że godzi się uczcić go bardziej wystawną kolacją ...

- Nie mówmy dłużej o żarciu, kochanie ... - Montgomery wyjął cygaro z ust - Nie jestem łasy na słodycze. Wystarczy mi dużo mięsa i kopa ziemniaków. Zajmijmy się czymś przyjemniejszym.

Zwrócił się w stronę chłopca.

- Co ty właściwie umiesz poza uprawą roli?

Max zaniemówił.

- Co proszę? ... Przecież nigdy w życiu nie robiłem nic innego. A dlaczego rolnictwo się panu nie podoba? Montgomery strzepnął popiół wprost w talerz.

- Ponieważ od dzisiaj nie będziesz już gospodarzył.

Po raz drugi tego wieczoru Max przeżył coś, czego nie mógł zrozumieć. Cios padał za ciosem, a on nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

- Dlaczego? Co to ma znaczyć?

Miał wrażenie, jakby grunt uciekł mu spod nóg, a on sam trzymał się krzesła raczej siłą przyzwyczajenia. Z twarzy Maw mógł wyczytać, że Montgomery mówi prawdę. Triumf był tu przemieszany ze strachem, lecz najwidoczniej czuła się panią sytuacji.

- Z pewnością ojciec nie pochwaliłby tego. Ta ziemia już od czterystu lat jest własnością naszej rodziny ...

- Ależ synu! Już od dawna mówiłam ci, że nie jestem stworzona do pracy na wsi. Wychowałam się w mieście.

- Clyde's Corner ... też mi miasto!

- W każdym razie nie Jest to wiejska zagroda. Byłam jeszcze głupią smarkulą, gdy twój ojciec przywiódł mnie tutaj, podczas gdy ty wyrosłeś na roli. Mam przed sobą jeszcze całe życie. Nie chcę umrzeć wśród kur, gęsi i gnoju.

- Ale obiecałaś ojcu, że będziesz ... - Max podniósł głos.

- Dość tego! - wtrącił się Montgomery - Zapamiętaj sobie jedno, mój synu: powstrzymaj język, gdy zwracasz się do swej matki lub do mnie. Oniemiał.

- Pole zostało sprzedane i basta. Poza tym, jak sądzisz, ile był warty ten piach?

- Nigdy nie zastanawiałem się nad tym.

- W każdym razie dostałem więcej, niż mógłbyś się spodziewać nawet w najśmielszych marzeniach... - spojrzał na Maxa, po czym wrócił do patetycznego tonu - ... Mogę bez ogródek przyznać, że dzień, w którym twa matka mnie poznała, był najszcześniejszym wydarzeniem w jej życiu ... w twoim także. Nie jestem jeszcze zramolałym starcem i wiem, co w trawie piszczy. Dobrze znałem powody, dla których agent tak pilnie chciał kupić ten kawałek ugoru ...

- Zgodnie z opinią rzeczoznawców ...

- "Ugór" powiedziałem, gdyż jest to ugór, w dodatku zupełnie bezwartościowy.

Dotknął palcem nosa, zrobił mądrą minę i zaczął wyjaśniać wszystkie szczegóły transakcji.

Otóż jedna z państwowych agencji energetycznych zamierzała zrealizować w okolicy jakiś projekt, o którym - jak zorientował się Max - sam Montgomery niewiele wiedział. W każdym razie prywatne konsorcjum zaczęło wykupywać tutejsze grunta, zachowując całą sprawę w absolutnej tajemnicy, aby później, gdy będzie już miało całą ziemię w swym ręku, ubić interes z państwem.

- I dlatego zapłacili pięć razy więcej, niż to wszystko było warte. Niezły biznes, co? ...

- Rozumiesz teraz, Maxi ... - włączyła się do rozmowy matka - Gdyby twój ojciec wiedział, że kiedykolwiek będzie mógł otrzymać okrągłą sumę ...

- Zamilcz, Nellie!

- Ależ ja tylko chcę mu powiedzieć, ile ...

- Zamilcz, rzekłem.

Umilkła. Montgomery odsunął krzesło od stołu, wetknął cygareto w usta, powstał.

Max ustawił miednicę do zmywania, oczyścił talerze i wyrzucił resztki na śmietnik. Popatrzył chwilę na gwiazdy, próbując dojść do ładu z natłokiem wrażeń, jakoś je uporządkować.

Pytał się w duchu, jakie prawa może mieć jego ojczym, mąż jego matki, a właściwie facet, który poślubił jego macochę. Nie miał pojęcia. Po chwili zmusił się, by wejść do domu.

Montgomery'ego znalazł przy regale z książkami, zbudowanym nad odbiornikiem stereo, kupionym jeszcze przez ojca. Mężczyzna grzebał w książkach, a wiele z nich odłożył już na radio. Gdy usłyszał kroki, obejrzał się za siebie.

- Już wróciłeś? - spytał tonem człowieka, przyłapanego na gorącym uczynku - Skoro tak, to zostań. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o żywym inwentarzu. W drzwiach ukazała się Maw.

- Kochanie ... nie możesz poczekać z tym do jutra?

- Pozwól, że zrobię to dzisiaj ... Ten człowiek od akcjonariusza przyjdzie tu jutro, skoro świt, a do tej pory muszę sporządzić kompletną listę inwentarza. Nie przestawał wyjmować książek.

- O, to całkiem ładne zbiory ... Trzymał w rękach opasłe tomy, oprawione w prawdziwą skórę.

- Ciekaw jestem, ile to jest warte. Zechciej mi podać okulary, skarbenku ...

Max rzucił się do ojczyma, sięgając po książki.

- To moje! Te książki należą do mnie!

- Co takiego? - Montgomery rzucił mu lodowate spojrzenie, trzymając książki wysoko w powietrzu, tak, że chłopak nie mógł ich dosięgnąć.

- Jesteś jeszcze za smarkaty, żeby móc cokolwiek posiadać. Wracaj lepiej do zmywania.

- To są moje książki! Podarował mi je wujek.

Poszukał pomocy u Maw.

- Powiedz mu, że to należy do mnie.

- Tak, powiedz mu ... Powiedz mu, jak powinien się zachowywać! Zrób to, Nellie, zanim ja sam nie przywiędę go do ładu. Kobieta popatrzyła niepewnie, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

- Nie bardzo wiem, jak to naprawdę wygląda. Te książki należały do Cheta.

- A Chet był twym bratem ... Ty zatem jesteś jego spadkobierczynią, a nie ten gnojek ...

- Chet nie był jej bratem, lecz szwagrem.

- Szwagrem? ... To bez znaczenia. A zatem twój ojciec był jego spadkobiercą, zaś twoja matka dziedziczy z kolei po nim. Ty nie masz tu nie do gadania, gdyż jesteś jeszcze za smarkaty. Tak stanowi prawo. Przykro mi, synu.

To mówiąc ustawił książki na półce i stanął, broniąc dostępu. Max poczuł, że wargi zaczynają mu drżeć, podobnie jak całe ciało, nad którym stracił kontrolę. Wiedział, że nie jest w stanie wydobyć z siebie niczego, co miałyby jakiś związek z tą sprawą, niczego sensownego. W oczach załśniły mu łzy wściekłości. Nie widział i nie czuł niczego, poza dzikim gniewem.

- Ty ... ty złodzieju!

- Max! Montgomery wykrzywił się w złośliwym grymasie.

- Tym razem posunąłeś się za daleko, chłopaczku. Najwidoczniej chcesz wiedzieć, jak smakuje rzemień.

Zaczął zdejmować pasek. Max cofnął się o jeden krok. Montgomery chwycił rzemień i podszedł bliżej.

- Monty! Proszę ...

- To nie twoja sprawa, Nellie. Zwrócił się do Maxa.

- Sądzę, że ta nauczka wystarczy na wszystkie czasy. Musisz wiedzieć, kto jest teraz panem tego domu. Przepróż mnie!

Max nic nie odpowiedział.

- Przepróż mnie, a nie wrócimy do tej sprawy ani słowem.

Napiął rzemień, niczym kot swój ogon, zanim później bezwładnie go opuścił ku ziemi.

Max uczynił drugi krok w stronę drzwi. Tego było już za wiele. Montgomery skoczył do chłopca, usiłując chwycić go za rękę. Lecz Max już dawno był za progiem, niewidoczny w nocnych ciemnościach. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy się upewnił, że nikt go nie ściga. Dysząc ze wściekłości po raz pierwszy od dłuższego już czasu odetchnął głęboko.

Było mu wręcz przykro, że prześladowca tak szybko zrezygnował z pogoni. W kompletnym mroku nikt nie był w stanie zmierzyć się z nim na terenie, który on jeden znał, jak własną kieszeń.

Dość długo trwało, zanim zdołał się uspokoić i zaczął rozsądnie myśleć.

Zastanawiał się, czy Montgomery był skłonny zapomnieć o tej historii do rana. W salonie ciągle płonęło światło, dlatego najlepszym wyjściem byłby nocleg w stajni.

Okna salonu zgasły, lecz zapalono światło w sypialni. Niewątpliwie byli tam teraz we dwoje.

Ktoś zamknął główne drzwi. Ponieważ jednak osiągnął już wiek, w którym chłopcy chcą się niezależnie od rodziców i szukają sposobów, uwalniających ich od codziennego zebrania o pozwolenie późniejszego powrotu do domu, bez problemu mógł wejść do swego pokoju, przylegającego bezpośrednio do kuchni, w drugiej części budynku. Znalazł, koziół, służący na ogół do piłowania drewna, przystawił go do okna i zaczął delikatnie poruszać gwoździem, przytrzymującym ramę. Po chwili bezszelestnie wskoczył do środka. Wprawdzie drzwi do głównej części domu były zamknięte, nie chciał ryzykować, zapalając światło, Montgomery wchodząc przypadkiem do salonu mógłby dostrzec jasną plamę, prześwitującą przez szparę nad progiem. Ostrożnie rozebrał się, założył pizamę i wsunął się pod kołdrę. Jednak sen nie przychodził.

Co prawda na moment ogarnął go stan błogości i popadł w lekkie odrętwienie, lecz jakieś

lubieżne odgłosy dochodzące zza ściany ponownie przywróciły przytomność.

Prawdopodobnie w domu zagnieździły się jakieś nowe myszy, ale w pierwszej chwili gotów był przysiąc, że to Montgomery stuka młotkiem w belki nad łóżkiem. Drżąc usiadł na brzegu pościania, próbując wyrównać szybkie bicie serca. Dręczyło go pytanie o dalsze losy.

Nie dlatego, że nie wiedział, co robić jutro. Max nie miał pojęcia, co powinien robić jutro, pojutrze, za dwa dni - w ogóle. I nie chodziło mu wcale o ponurego typa, który ogłosił się gospodarzem tego domu tylko po to, aby go sprzedać wraz z żywym i martwym przychówkiem. Przynajmniej jednego był pewny - z Montgomerym nie będzie mieszkał nawet w tym samym powiecie. Ale co z Maw? ... Ojciec przed śmiercią prosił go, aby otoczył ją troską. Wykonał to polecenie, choć musiał zrezygnować ze szkoły i ze wszystkiego innego, czym żył dotychczas. Miał wrażenie, że im dłużej z nią żyje, tym więcej troski musi wkładać w jej utrzymanie. Ale teraz sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej - Maw nie była już panią Jones, tylko miss Montgomery. Czy ojciec przykazał mu pracować dla szczęścia i dobrobytu pani Montgomery? Oczywiście, że nie!

Jeśli ktoś już bierze sobie kobietę, powinien sam zająć się jej utrzymaniem. Każdy to wie. Nawet ojciec nie mógłby odeń wymagać, aby bez szemrania dzielił dom z rodziną Montgomery.

Podskoczył, jakby obudzony tym nagłym postanowieniem. Ciekawe tylko, co powinien przedsięwziąć w związku z tak nieoczekiwaną zmianą. Niewiele się zastanawiał.

Zręcznie manewrując rękoma w ciemnościach znalazł plecak, do którego zapakował jeszcze jedną z dwóch koszul, które w ogóle posiadał oraz parę czystych skarpetek. Wziął suwak algorytmiczny Cheta i kawałek zakrzepłej lawy księżycowej, które otrzymał także od wuja. Dowód osobisty, szczoteczka do zębów oraz brzytwa ojca, na którą dotychczas nie zwracał żadnej uwagi, dopełniły ekwipunku. Jedną z desek łóżka, gdzie spał od dzieciństwa, była już od dawna obłuzowana. Miał zwyczaj składać tam swe skromne oszczędności, które przeznaczał na czarną godzinę.

Maw albo nie była w stanie, albo nie chciała odkładać grosza, przejadając i przepijając wszystko, co tylko znalazła. Gorączkowo przesunął palcami ... nic nie znalazł.

Najwidoczniej macocha uprzedziła go i w czasie swych sławetnych "porządków" do dna oczyściła kryjówkę z pieniędzy. Trudno. Nie było jeszcze tak najgorzej. Po prostu będzie się musiał pogodzić z bardziej uciążliwymi początkami życia, które i tak nie szczydziło mu przykrych niespodzianek.

Westchnął głęboko ... jest jeszcze coś, co mieć musi. Książki wuja Cheta ... prawdopodobnie leżą jeszcze na regale, ten zaś wisi tuż na wprost sypialni. Ale przecież nie może pogodzić się z tą stratą ... za wszelką cenę powinien je wydostać, mimo niebezpieczeństwa. Z największą rozwagą powoli otworzył drzwi do salonu.

Gdy zauważył szparę światła, przebijającą znad progu sypialni, drgnął. Usłyszał, jak Montgomery coś mruczy, a Maw odpowiada mu pijackim chichotem.

Kiedy oczy przywykły już do mroku, dostrzegł pod drzwiami, prowadzącymi na zewnątrz zmyślnie skonstruowaną pułapkę z garnków i patelni. Jeden nieostrożny krok, a wszystko posypie się na podłogę, wywołując piekielny harmider. Najwidoczniej Montgomery liczył na jego powrót, dlatego chciał być niezwłocznie poinformowany, aby schwytać go jeszcze na progu domu. Tym razem się przeliczył.

Max nie widział powodu, dla którego miałby dłużej zwlekać z tą sprawą. Pewnym krokiem ruszył w stronę regału, dbając, aby nie wejść na skrzypiące deski w pobliżu stołu. Wprawdzie niewiele widział, ale dotykiem mógł wymacać dobrze znane grzbiety ulubionych książek. Drżąc ze zdenerwowania wyciągnął z półki kilka tomów, starając się, aby nie poruszyć innych, które spadając

uczyniłyby nie mniejszy hałas, niż kuchenna pułapka pod drzwiami.

Już był w drodze powrotnej, już dochodził do kuchni, kiedy przypomniał sobie o rejestrze bibliotecznym. Staął, ogarnięty panicznym strachem, ale po chwili wahania zawrócił.

Gdy przechodził obok stołu, deski zaskrzypiały przeraźliwie. Włosy stanęły mu dęba, lecz z sypialni nie dochodził żaden niepokojący odgłos - albo nie dosłyszeli, albo zignorowali. W końcu dotarł do półki i zaczął gorączkowo przerzucać książki. Czwarty tom był tym, czego szukał.

Szybko rzucił się w powrotną drogę. Tym razem nie zadał sobie trudu, aby zamknąć drzwi - ryzyko zbyt duże, a i tak niewiele to zmieniało. Kiedyś w końcu muszą się zorientować, że był i dopiął swego. Po omacku ubrał się, podszedł do okna, wskoczył na kozioł, a za moment był już na ziemi.

Buty włożył do plecaka - zdecydował, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Po co niepotrzebnie niepokoić nowożeńców odgłosem ciężkich kroków? Szerokim łukiem obszedł dom, raz tylko spojrzawszy za siebie. W sypialni ciągle płonęło światło.

Chciał właśnie skrócić i wejść na szosę, prowadzącą w dolinę, gdy spostrzegł motor Montgomery'ego. Przystanął.

Ponieważ nie miał pieniędzy, nie mógł liczyć na autobus, lecz jedynie na własne nogi. W tej sytuacji ojczym ma pięćdziesiąt procent pewności, że go dogoni, a jeśli jeszcze skróci we właściwą drogę, szansę wzrosną.

Zawrócił, jeszcze raz szerokim łukiem okrążył dom i zszedł w dół zbocza, w stronę linii Spółki Przewoźniczej z Chicago.

Szedł zwykłą ścieżką, przedzierając się przez las. Droga była dobra dla pieszych, w żadnym wypadku nie mógł jej przebyć jakiś pojazd kołowy, nawet motor Montgomery'ego nie sprostałby trudności przeprawy. Ścieżka prowadziła aż do miejsca, gdzie tory kolejowe zniknęły w tunelu.

Po dobrej godzinie marszu stanął w pobliżu ciemnego otworu, rozważając możliwości, jakie istniały w tej sytuacji.

Góra była wysoka - w przeciwnym razie nie wybudowano by tunelu. Często przemierzał te okolice podczas łowów, dlatego dobrze wiedział, że potrzebowaliby dwóch godzin, aby wspiąć się na sam szczyt, gdzie zastałby go świt. Jednak tunel prowadził prostą drogą na przeciwną stronę - dziesięć, piętnaście minut w zupełności wystarczyłoby, aby wydostać się z drugiej strony torów.

Nigdy jednak nie odważył się na podobną eskapadę. Z prawnego punktu widzenia łamał obowiązujące przepisy. Poza tym gdyby w czasie wędrówki przejechał pociąg, umarłby na miejscu i to bez śladu zdraśnięcia - wystarczyłyby same fale, które wytwarzał pociąg w biegu - często znajdowano dzikie zwierzęta, uśmiercone w ten właśnie sposób. Mimo to ciągle nie miał ochoty na męczącą wspinaczkę stromym zboczem. Dopiero teraz przywołał z pamięci rozkład jazdy pociągów. "Tomahawk" przejechał o zachodzie słońca. "Javelina" słyszał, siedząc w stajni. "Assegai" także musiał już przemknąć, choć nie przypominał sobie, aby słyszał jakieś odgłosy. Pozostawał tylko "Claver", wpadający w tunel równo o północy. Spojrzał w niebo.

Wenus oczywiście dawno już zaszła, dziwne jednak, że na zachodzie nie widzi Marsa ... Także Księżyc nie świecił jeszcze ... Jak to możliwe? Ależ tak, przecież pełnia była w ostatnią środę. A zatem ... Odpowiedź, którą znalazł, wydawała mu się błędną, dlatego raz jeszcze sprawdził położenie Wagi w stosunku do Wielkiej Niedźwiedzicy. Poszeptał coś pod nosem ...

Mimo całego natłoku zdarzeń, które rozegrały się dzisiejszego wieczora w tej chwili mogła być dopiero co najwyżej dziesiąta w nocy ... może pięć minut przed, może pięć minut po ... mniejsza z tym. W każdym razie gwiazdy nie mogą się mylić.

Z tego wynikało, że "Assegai" przejedzie za około godzinę. Jeśli nie będzie żadnego pociągu specjalnego - a to zdarzało się nadzwyczaj rzadko - nie powinien mieć żadnych obaw. Miał wystarczająco dużo czasu przed sobą.

Już od kilku minut brnął ciemnym przejściem, zanim oczy zdołały przyzwyczaić się do absolutnych mroków. Dopiero teraz dostrzegł przed sobą szarawą, okrągłą plamkę - wyjście.

Pognał w tę stronę, jak szalony, a strach przed śmiercią przynaglał do coraz szybszego kłusu.

Z tłukącym, jak dzwon, sercem i zupełnie wyschniętymi ustami dopadł wyjścia.

Nie zważając na strome podejście szybko zbiegł ścieżką w dół. Zwolnił dopiero u podnóża słupa, skąd otwór tunelu wyglądał niczym małe kółko, wciśnięte w kamienny stok. Przystanął, usiłując złapać oddech i doprowadzić rytm serca do równowagi.

Wtem jakaś potężna siła podrzuciła go w górę, jakby był niczym innym, niż tylko garstką śmieci, po czym rzuciła go gdzieś z boku.

Kiedy ocknął się, z niejakim trudem uświadomił sobie, gdzie przebywa i co się stało.

Na wargach poczuł słony smak krwi. Ręce i nogi były pościerane, gdzieś tam rozdarł do żywego ciała. Dopiero teraz zrozumiał, że poniżej, w niewielkiej odległości od miejsca, gdzie zrobił krótki postój, przejechał pociąg.

Był zbyt daleko, by potężny podmuch rozgniół go na miazgę, lecz wystarczająco blisko, aby fala powietrza rzuciła nim, niczym piłką. To nie mógł przejechać "Assegai".

Ponownie zerknął na niebo i gwiazdy potwierdziły wcześniejsze obliczenia. Z pewnością przed chwilą przemknął tunelem jeden z nielicznych pociągów specjalnych. Tylko minuty dzieliły go od niechybnej śmierci.

Zadrżał. Sporo czasu minęło, zanim zdołał dojść do siebie. Później tak szybko, jak tylko pozwalało obite ciało ruszył w dół. Za moment jakieś niezwykle odkrycie ponownie sparaliżowało normalny bieg myśli: wokół panowała absolutna cisza, której nie mącił nawet odgłos jego kroków.

Lecz przecież noc nigdy nie jest doskonale cicha.

Od wczesnego dzieciństwa zaprawiony w nasłuchiowaniu odgłosów gór dobrze wiedział, że uważne ucho zawsze jest w stanie wyłowić jakieś szmery, świadczące o nocnym życiu lasu i jego mieszkańców. Szum drzew, pohukiwanie sowy, stukot nóg małych zwierząt ... a teraz jeszcze odgłosy łamanych przezeń gałęzi ...

Brutalna logika zmuszała go do przyjęcia prostej prawdy: ogłuchł. Był głuchy, jak pień. Pęd powietrza pozbawił go słuchu i nic na to nie poradzi. Trzeba iść dalej.

Choć droga ciągle prowadziła stromo w dół, a pod nogami słały się coraz to nowe przeszkody, czuł się o wiele bardziej pewnie niż wówczas, gdy biegł po gładkiej ścieżce obok torowiska.

Gdzieś tam w dole, gdzie góry ustępują, czyniąc miejsce dla nieckowatej doliny, przebiega autostrada, która sunąc równolegle do linii kolejowej prowadzi do Portu Ziemia. To był pierwszy główny cel jego wędrówki.

Właśnie wszedł księżyc, świecąc mu prosto w plecy. Jakiś królik zatrzymał się na środku ścieżki, podniósł uszy, popatrzył przez chwilę na chłopca i skoczył w bok, gdzieś w zarośla. Gdy go dojrzał, pożałował, że nie wziął ze sobą rury do strzelania. Z pewnością nieprędko będzie miał podobną okazję. I chociaż coraz trudniej było zdobyć amunicję do tak zabytkowej broni, z pewnością królik w garnku mógł być nader pocieszającym widokiem.

Wtem uprzytomnił sobie głód, zaś w uszach rozległ się jakiś wysoki dźwięk, coraz to bardziej przykry.

Potrząsnął kilkakrotnie głową, postukał w małżowiny, lecz wysoki pisk nie ustępował. Dopiero, gdy pokonał około pół mili, stwierdził, że znowu dociera doń odgłos własnych kroków. Przystanął i klasnął.

Skądś z dali, z trudem przedzierając się przez monotonne buczenie dobiegł suchy klask. Jakby kamień spadł mu z serca. Uradowany ruszył przed siebie.

Wreszcie dotarł do miejsca, skąd roztaczał się widok na całą dolinę. W świetle księżyca mógł dostrzec jasną nitkę autostrady, wiodącą na południe. Miał wrażenie, że widzi nawet fosforyzujące znaki drogowe. Przyspieszył i nieomal biegiem rzucił się w tamtą stronę. Gdy podszedł już dość blisko drogi, tak, że mógł słyszeć odgłosy sunących na południe pojazdów, gdzieś z przodu dostrzegł słabe światło.

Sądząc, że nie może to być ani dom, ani żadna z maszyn, które raczej nie zatrzymywały się na poboczu, zwolnił kroku. Kiedy podszedł bliżej, dojrzał płonące ognisko, widoczne wprawdzie z góry, lecz z autostrady zupełnie niedostrzegalne, gdyż przesłonięte dużym głazem. Obok siedział jakiś mężczyzna, mieszając uważnie zawartość wiszącej nad płomieniem puszeki.

Max zbliżył się jeszcze bardziej, nie spuszczać z oka idyllicznego obrazka. W nozdrza uderzył zapach mięsa i warzyw. Przełknął ślinę.

Walcząc z głodem oraz nieufnością, jaką wszyscy górale żywili w stosunku do "obcych", zamieszkujących dolinę, położył się w trawie, ciągle trzymając wzrok na nieomal gotowej już, apetycznie woniejącej kolacji. Tymczasem mężczyzna zdjął znad ogniska puszkę i krzyknął w stronę zarośli.

- Nie musisz się już dłużej maskować. Kończ tę farsę. Możesz zejść. Kolacja gotowa. Max był zbyt zaskoczony, by móc zdobyć się na jakąś odpowiedź.

- Zejdiesz wreszcie? ... Nic złego ci nie zrobię! Chłopak dźwignął się na nogi i podszedł do ognia. Mężczyzna popatrzył nań badawczo.

- Dzień dobry. Przysuń sobie krzeselko.

- Dobry ... - skrzywił się Max, przyklękując przy ognisku.

Włóczęga był znacznie gorzej odeń ubrany, poza tym wymagał niezwłocznie fryzjera, a zwłaszcza maszynki do golenia.

Mimo to nosił swe łachmany z zupełną obojętnością, a nawet wdziękiem i sprawiał wrażenie dżentelmena. Ciągłe mieszał zawartość puszkę, po czym wyciągnął łyżkę i spróbował.

- Prawie gotowe ... - obwieścił - Postaraj się o coś, co mogłoby ci zastąpić talerz.

Wstał, pogrzebał w zaroślach i po chwili wyciągnął jakiś przedmiot. Choć nie był przyzwyczajony do tego rodzaju zastawy, Max uczynił to samo, wybierając ze sterty złomu puszkę, która kiedyś zawierała kawę. Gospodarz nałożył mu dużą porcję zupy oraz podał łyżkę, którą gość obrzucił badawczym spojrzeniem.

Gęsta ciecz smakowała wyśmienicie. Musiał przyznać, że było to najlepsze danie, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się jeść, choć nie mógł zidentyfikować ani rodzaju mięsa, ani gatunku warzyw. Zresztą nie zastanawiał się nad tym dłużej, tylko po prostu wygarnął zupę z naczynia, smakując łyżkę po łyżce.

- Jeszcze porcyjkę? ... - zaproponował nieznany dobroczyńca.

- Co?! ... Ależ oczywiście, dziękuję!

Tym razem najadł się już do sytości, czując, jak po całym ciele rozlewa się błogie ciepło. Wyciągnął nogi, pozwalając, by całym ciałem owładnęło miłe uczucie, jakie towarzyszy zwykle chwili zasłużonego wytchnienia.

- I jak? ... Czujesz się lepiej? ...

- Z pewnością. Raz jeszcze dziękuję.

- Świetnie. A tak poza tym mów do mnie Sam.

- Cieszę się, że mogłem cię poznać. Max ...

Przez moment panowała cisza, przerwana pytaniem, które już od dawna go niepokoiło.

- Powiedz mi, Sam, skąd wiedziałeś, że leżę w tych krzakach? Słyszałeś odgłos kroków?

- Nie ... - uśmiechnął się Sam - Po prostu widziałem twoją sylwetkę na tle nieba. Musisz zwracać uwagę na podobne drobiazgi, mój chłopcze. Bo jeśli nie ... Kiedyś może to cię drogo kosztować.

Max obrócił się, spojrzawszy na miejsce, gdzie przed chwilą leżał. Bez wątplenia Sam miał rację - mógł go obserwować przez cały czas! Teraz gospodarz przejął inicjatywę w swe ręce.

- Z daleka idziesz?

- Co?! ... Aaa ..., o to ci chodzi. Owszem. - Chcesz iść jeszcze dalej?

- Chyba tak.

Sam odczekał moment, a ponieważ Max nie spieszył się z dalszymi wyjaśnieniami, uśmiechnął się pobłażliwie.

- Coś mi się zdaje, że wkrótce odstawię cię do domu.

- Skąd wiesz, że uciekłem?

- Przecież to widać. Chyba się nie mylę, prawda?

- Tak ... tak, niewątpliwie.

- Wyglądałeś niespecjalnie, gdy tak leżałeś tam w krzakach. Teraz też nie lepiej ... Pomyśl,

może jeszcze nie spaliłeś wszystkich mostów ... może powrót do domu jest jeszcze możliwy. Życie wokół autostrady toczy się niezwykle żywo ... zbyt żywo, jak na przyzwyczajenia podrostków. Wiem to dobrze i radzę zbytnio się nie spieszyć z podejmowaniem tak drastycznych postanowień.

- Wrócić? ... Nigdy tam nie wrócę!

- Ooo ... To aż tak źle?

Max popatrzył w ognisko. Wydawało mu się, że powinien ujawnić przed nieznanym swe najbardziej skryte sekrety. Choć nie miał zwyczaju zwierzać się komukolwiek, miał wrażenie, że tym razem może uczynić wyjątek i zwierzyć temu nieznanemu o łagodnym głosie, wymuszającym wprost otwartość.

- Słuchaj Sam ... Powiedz mi, miałeś kiedyś macochę?

- Macochę? ... Nie mogę sobie przypomnieć o kimś podobnym. Od najwcześniejszej młodości rozpieszczano mnie słodkimi pocałunkami na dobranoc w Domu dla Podrzutków w Jersey.

- Oh! - wyrwało się Maxowi.

Już bez cienia wątpliwości, nieomal jednym tchem opowiedział przygodnemu przyjacielowi historię ostatnich dni, przerywając jedynie wtedy, gdy Sam stawiał pytania, pomocne w dokładniejszym wyjaśnieniu całej sprawy.

Zdenerwowany Max mówił nieco chaotycznie.

- I tak uciekłem ... - zakończył opowieść - Czy mogłem zrobić cokolwiek innego?

- Sądzę, że nie ... - Sam wydał wargi, ostrożnie dobierając słów - Ten podwójny ojczym sprawia na mnie wrażenie myszy, która usiłuje dorównać szczurowi. W każdym razie masz go już z głowy.

- Czy przypuszczasz, że będzie mnie ścigał i usiłował przemocą zawlec do domu? Sam dorzucił do ogniska.

- Niewykluczone ...

- Ale dlaczego? Przecież nic mu nie jestem winien, a o żadnym ojcowskim uczuciu nie może być mowy. Nawet Maw nie traktuje swej roli poważnie. Co najwyżej powzdycha trochę, ale nawet nie kiwnie palcem, żeby mnie odszukać.

- W porządku. A co z gospodarstwem? ...

- Gospodarstwo? ... Nic mi po nim. O, gdyby żył ojciec, mówiłbym całkiem inaczej, lecz teraz ... Przyznam szczerze, że niewiele to wszystko warte. Aby móc zebrać kilka kłosów, musiałem się urobić po łokcie. Gdyby prawo nie zabraniało porzucać ziemi, ojciec dawno rozstałby się z tym ugorem. Tylko przymus prawny zmuszał go do dalszej udreki. Ciągle wyglądał kogoś, kto zechciałby przejąć tę ziemię ...

- Właśnie tak myślałem. Ten oszust tylko po to ożenił się z tą kobietą, żeby zgarnąć okrągłą sumkę ze sprzedaży gruntu. Nie bardzo znam się na sztuczkach z paragrafami, ale przecucie mi mówi, że te pieniądze powinny trafić do twojej kieszeni.

- Gwiżdżę na nie! Chcę tylko zwiać stamtąd i nic więcej.

- Nie traktuj pieniędzy tak lekkomyślnie, w przeciwnym razie oskarżą cię o bluźnierstwo przeciwko religii państwowej. Poza tym, niezależnie od tego, czy sobie życzysz, czy nie, pan Montgomery z pewnością zechce cię znaleźć. I to w miarę szybko ...

- Dlaczego?

- Czy twój ojciec zostawił testament?

- Nie. Poza gospodarstwem nie było nic, co mógłby przekazać w spadku.

- I o to właśnie chodzi. Jak już wspomniałem, nie znam kruczków prawnych, ale jestem przekonany, że połowa ziemi należy do ciebie ... co najmniej połowa ... Być może macocha ma także

jakieś prawa do połowy własności, ale jeśli tak, to tylko do momentu jej śmierci. Później jej część przechodzi na ciebie. W żadnym wypadku nie mogła pozbyć się ziemi, nie pytając o twoją zgodę. Gdy tylko otworzą sąd, natychmiast zlecą się tam kupcy. Później pospieszą po ciebie, chcąc wydobyć twój podpis, a kiedy cię nie znajdą, sam hrabia Montgomery ruszy w pościg ... o ile do tej pory jeszcze tego nie zrobił.

- Na Boga! ... Jak myślisz, czy jeśli mnie znajdą, mogą mnie zmusić do powrotu?

- Jeszcze nikt nie powiedział, że od wyroku nie ma odwołania. Zrobiłeś dobry początek. Mam nadzieję, że niełatwo cię dostaną. Max sięgnął po plecak.

- Wydaje mi się, że lepiej zrobię, jeśli stąd zwieję. Dzięki za wszystko, Sam. Być może kiedyś i ja będę mógł ci w czymś pomóc.

- Gdzie się tak rwiesz?! Usiądźże spokojnie ...

- Nie. Lepiej, Jeśli ucieknę tak daleko, jak tylko będę w stanie.

- Chłopcze, jesteś przecież zmęczony. Nawet myśleć trzeźwo już nie umiesz. W tym stanie nie zwiejesz zbyt daleko. A tymczasem, gdy tylko wzejdzie słońce, moglibyśmy ruszyć razem m dół drogi, niespełna pół mili na południe.

Jest tam zajazd i kierowcy często się zatrzymują, aby rzucić coś na ząb ... zwłaszcza rano. Możemy poprosić jednego z przejezdnych, żeby nas zechciał podrzucić kilka mil dalej. A wtedy nawet dziesięć minut jazdy będzie znaczyło więcej, niż gdybyś uganiał się po lasach przez całą dzisiejszą noc.

Max musiał przyznać, że istotnie jest zmęczony, a nawet wyczerpany. Najważniejsze, że Sam lepiej znał się na tych sprawach, niż on. Jemu można było zaufać.

- Masz przynajmniej jakiś koc, lub śpiwór? - pytał tymczasem znajomy.

- Nie. Nic poza koszulą, skarpetkami ... i parę książek.

- Książki? Nie mów! ... Chętnie czytam, zwłaszcza, gdy mam okazję. Mogę zobaczyć?

Niechętnie wydobył je Max z plecaka.

Sam zbliżył się aż do samego ognia, trzymając w ręku otwarty, gruby, w skórę oprawny tom.

- Człowieku! ... - krzyknął po chwili - Czy ty w ogóle wiesz, co to jest?

- Oczywiście.

- Ale nie powinieneś obnosić się z takim skarbem. Przecież nie należysz do gildii astronautów!

- Ja nie, ale mój wujek był jej członkiem ... Brał udział w pierwszej wyprawie na Betę Hydry ...

- dodał z dumą.

- Nie mów! ...

- Owszem, to prawda.

- Ale ty sam nie byłeś jeszcze w kosmosie? ...

- Jeszcze nie ... - podkreślił z naciskiem Max - Ale kiedyś będę. I zaczął opowiadać o tym, o czym z nikim jeszcze nie rozmawiał: o marzeniach, aby dorównać wujkowi i tak, jak on, polecieć między gwiazdy. Sam słuchał w zamyśleniu. Gdy skończył, zapytał niezwykle poważnie

- A zatem postanowiłeś zostać astronautą?

- Jak widzisz.

Sam podrapał się w nos.

- Posłuchaj mnie chłopcze i dobrze zapamiętaj to, co ci powiem. Nie chciałbym przedwcześnie oblewać cię zimną wodą i odstraszać od tego, o czym zaledwie marzysz, ale sam zdążyłeś się już przekonać, jakie niespodzianki może przynieść życie. Zostać astronautą jest równie trudno, jak zostać członkiem cechu wytwórców złota. Gildia nie zgotuje ci uroczystego powitania tylko dlatego, że wyrazisz chęć wpisania się na listę i złożysz obietnicę pilnej nauki rzemiosła. Członkostwo jest tutaj

dziedziczne, tak samo, jak we wszystkich innych cechach, gdzie można dobrze zarobić. A zupa była dziś cienka, zaś kawałek mięsa trzeba szukać długo i z uporem.

- Mój wujek był pełnoprawnym członkiem.

- Twój wujek nie był twoim ojcem.

- To prawda. Lecz ten spośród członków, który nie ma własnych dzieci, może znaleźć kogoś w zastępstwie. Wujek Chet sam mi to mówił, a nawet kilka razy powtarzał, że każe mnie wpisać do rejestru.

- A czy tak zrobił? Max umilkł.

W chwili śmierci wujka był jeszcze zbyt młody, aby móc to stwierdzić. A kiedy w ślady Cheta poszedł i ojciec, stracił jakąkolwiek możliwość sprawdzenia tego faktu.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że cały ten czas spędził, śniąc piękne sny, zamiast stanąć na ziemi i przekonać się, ile w nich jest prawdy.

- Nie wiem ... - odparł szczerze - Idę teraz do Portu Ziemia, aby te sprawdzić.

- Hm ... a zatem szczęśliwej drogi, chłopcze.

Sam popatrzył w ogień. Max miał wrażenie, że posmutniał.

- Ha ... Sądzę jednak, że w tej chwili postąpisz rozsądnie, jeśli się wyśpisz. W każdym razie ja planuję drzemkę. Radzę ci położyć się tam w niszy. Ha ziemi znajdziesz trochę starych worków. Powinno to zastąpić kołdrę, oczywiście o ile nie boisz się kilku pcheł. Max otworzył oczy dopiero wtedy, gdy słońce stało już wysoko nad horyzontem, prażąc nieubłagane strugami żaru. Powstał i przeciągnął się, chcąc przepędzić senną sztywność członków.

Sądząc po słońcu, musiała być co najmniej siódma.

Sama nie dostrzegł.

Rozejrzał się wokół, po czym cicho wykrzyknął jego imię. Ślady wskazywały na to, że jego przyjaciel zszedł niżej do strumienia. Zapewne chciał napić się wody, może dokonywał porannych ablucji ... Uspokojony tą myślą wrócił do jaskini i wyciągnął plecak, chcąc zmienić skarpetki.

Plecak był prawie pusty - brakowało książek wujka Cheta.

Na koszu znalazł kartkę.

"Kochany Max. W puszcze jest jeszcze trochę jedzenia. Możesz podgrzać je na śniadanie. Do zobaczenia. Sam.

PS. Przykro mi, ale musiałem."

Po dalszych poszukiwaniach stwierdził, że oprócz książek nie ma także dowodu osobistego. Wszystkie inne szpargały leżały na swoim miejscu. - Sam wiedział, co może przedstawiać jakąś wartość.

Nie dotknął nawet jedzenia. Aż do przesytu napełniony gorzkimi myślami ruszył w dalszą drogę.

Polną ścieżkę przecinała autostrada.

Max przeszedł na drugą stronę i skierował się na południe, idąc poboczem. Co prawda napisy na ogromnych tablicach wyraźnie tego zabraniały, lecz ślady wskazywały na to, że często korzystano z tej ścieżki.

Droga powoli rozszerzała się, aby umożliwić zjazd w bok. Po niespełna jednej mili Max dostrzegł motel, o którym wspominał wiarołomny towarzysz.

Przeskoczył murek, obiegający parking i restaurację, a później podszedł do prawie tuzina krążowników szos, parkujących nieopodal. Właśnie Jeden z nich ruszał w dalszą drogę. Chłopak podszedł tak, aby móc obejrzeć wóz z przodu. Cała podłoga pojazdu, zawieszona tuż nad torami, drżała silnie, podobnie jak reszta karoserii. Drzwiczki były lekko uchylone. Przez szparę mógł dojrzeć kierowcę, pochylonego nad deską rozdzielczą.

- Hallo! - krzyknął,

- Czego się drzesz, smarkaczu?

- Co by pan powiedział na małą przejażdżkę? Może jedzie pan na południe?

- Jadę, ale bez pasażerów. Nic z tego.

Pozostałe kabiny były puste, zaś czekanie nie miało żadnego sensu, wobec tak wątpliwej towarzyskości właścicieli maszyn. Max zamierzał już wracać, gdy jakiś nowy pojazd wtoczył się na plac. Powoli skręcił na parking, zahamował i opuścił się na ziemię. W pierwszym odruchu Max miał zamiar już zaraz zapytać o możliwość jazdy, lecz po namyśle zdecydował, że lepiej poczekać, aż kierowca zje śniadanie. Może wtedy będzie miał lepszy humor.

Sam także wrócił w stronę restauracji i przez niedomknięte drzwi począł obserwować gości. Wszyscy wcinali apetycznie wyglądające dania, podczas gdy on sam musiał się zadowolić przełykaniem śliny, która ze zdwojoną natarczywością szturmowała do ust. Wtem z tyłu dobiegł go czyjś przyjazny głos.

- Przepraszam, ale pan tarasuje drzwi ...

- Oh, to ja przepraszam - Max uskoczył na bok.

- Nie, pan powinien wejść jako pierwszy. Był pan tu przede mną. - Ten, który mówił, był około dziesięć lat starszy od chłopca. Całą twarz, a i widoczną resztę ciała okrywały śmieszne, żółte piegi. Na jego czapce widniał herb gildii przewoźników.

- Wejdźże już ... - nastawał mężczyzna - Wejdź, zanim cię zmuszą ...

Max tymczasem błyskawicznie się namyślał: warto skorzystać z tej propozycji, zwłaszcza, że w środku może spotkać Sama. Poza tym nie powinien się chyba obawiać, że nie ma przy sobie ani grosza - jeśli nic nie zje, nie będą żądać odeń zapłaty. Oprócz tego przyszło mu do głowy, iż skoro ten człowiek jest tak bardzo miły, być może uda mu się dostać coś do jedzenia w zamian za jakąś pomoc, na przykład przy myciu pojazdu.

Bez oporów podążył więc śladem niebiańsko pysznych zapachów, kierując się nieomylnie wskazaniem nosa.

Restauracja była dość zapchana, lecz właśnie był jeszcze jeden wolny stolik dla dwóch osób. Mężczyzna ciężko opadł na krzesło, wskazując drugie Maxowi.

- Proszę usiąść.

Ponieważ Max nieco się wahał, dodał jeszcze

- Tylko bez ceregieli. Niechętnie jadam jedynie we własnym towarzystwie.

Czując na sobie badawczy wzrok bramkarza, pilnującego wejścia, chłopak usiadł już bez oporów. Kelnerka przyniosła menu.

- I cóż za troska nas gnębi, kolego? ... - spojrzał nań towarzysz od stołu.

- Troska? ... Żadna.

- Jesteś uciekinierem? ... Wyraz twarzy Maxa starczył za wyczerpującą odpowiedź.

- Ach! Dałeś jednak drapaka?! ... Nie martw się. Głowa do góry. Sam kiedyś zrobiłem coś podobnego. Strzelił palcami, rozglądając się za kelnerką.

- Skarbeczku, prosimy. Mój przyjaciel i ja zechcemy zjeść po jednym solidnym sznyclu z jajkiem ... poza tym to ... to i jeszcze to ... - wskazywał na potrawy z karty - Jeśli łaska, chciałbym dostać jaja średnio przypieczone. Gdy jednak postaracie się zbyt mocno i zamiast jaja sadzonego dostanę skórzany kapeć, przybiję go tu do ściany, jako przestrożę dla następnych gości ... Chyba się rozumiemy, śliczniutka? ...

Sznycel był niezły, a jajko o odpowiednim stopniu twardości. Kierowca prosił, aby Max zwracał się doń per "Red", po czym usłyszał imię swego współbiedniaka.

Max właśnie zgarniał za pomocą kromki chleba resztki żółtka z talerza, zastanawiając się, co by tu wymyślić, aby pojechać na południe, gdy Red pochylał się ku niemu i zapytał cicho.

- Powiedz mi, Max ... Czy masz już jakieś konkretne plany, czy chciałbyś po prostu zaczepić się w jakiejś płatnej robocie?

- Co? ... Być może. A o co chodzi?

- Czy miałbyś coś przeciwko miłej podróży na południowy wschód?

- Południowy-wschód?! ... Ależ tego właśnie mi potrzeba.

- Świetnie. A zatem mam następującą ofertę: my, kierowcy, musimy zawsze jechać we dwóch, albo po ośmiu godzinach każą nam przerywać podróż i drugie tyle odpoczywać. Ponieważ z pewnych względów nie nogę sobie pozwolili na dłuższy postój, a mój kumpel zapił się, nie mam nikogo. Za sto pięćdziesiąt kilometrów jest punkt kontrolny. Jeśli będę sam, pożegnaj się z ambitnymi planami.

- Ale ja nie mam prawa jazdy, Red. Cholernie mi przykro ... Red odstawił filiżankę.

- No i bardzo dobrze. Nawet, gdybyś miał, nie byłoby ci potrzebne. Będiesz grał rolę "kierowcy po służbie". Nikomu, poza sobą samym, nie odstąpiłbym sterów mojej Molly Malone. Na razie jestem przytomny dzięki tabletkom i odkładam sen aż do Portu Ziemia ... nie wcześniej.

- Jedziesz do samego Portu Ziemia?

- Tak, oczywiście.

- Załatwione!

- Świetnie. Cała sprawa jest banalnie prosta: za każdym razem, gdy będziemy mijali punkt kontrolny, ładujesz się do łóżka i udajesz, że śpisz. Poza tym niczego od ciebie nie żądam. Aha ... możesz mi pomóc w Oke City ... mam kilka klarnetów do wzięcia ... oczywiście dostaniesz ode mnie jedzenie. Zrozumiano?

- Tak jest.

- A zatem nie ma na co czekać, tylko w drogę. Muszę ruszyć pierwszy, zanim wyjadą inni. Nigdy nie można być pewnym, czy gdzieś tu nie kręcą się gliniarze.

Rzucił na stolik wymięty banknot i nie czekając na resztę ruszył ku drzwiom.

Molly Malone miała sześćdziesiąt metrów długości oraz opływowe kształty. Z pewnością zastosowano tu napęd negatywny - Max był o tym przekonany jeszcze zanim zobaczył stery. Gdy zaczęli się unosić, wskaźnik wysokości podskoczył do kreski oznaczonej dziesiątką, gdy jednak wtoczyli się na autostradę, wskazówka opadła do szóstki i tak już pozostała.

- Odrzut pracuje zgodnie z prawem wzajemności regularnej - wyjaśniał Red - Im silniejsze

podmuchy wiatru uderzają w maszynę, tym mniej paliwa potrzebuje. Tak samo im szybciej jedziemy, tym bardziej jesteśmy bezpieczni. Red zapalił papierosa i wsparł się o stery.

- Lepiej będzie, mój chłopcze, jeśli pójdziesz do bunkra. Od punktu kontrolnego dzieli nas zaledwie czterdzieści mil. "Bunkier" był po prostu czymś w rodzaju skrzyni, przyrzuconej deską, a znajdował się z tyłu, za siedzeniem kierowcy. Max wczołgał się do środka i owinał w koc. Red dostarczył mu czapki ze znaczkiem firmowym.

- Wciągnij to sobie aż na uszy, ale zrób tak, by guziczek był z dala widoczny.

Max wiedział, że jest to oznaka jego gildii. Bez chwili zwłoki zrobił to, co mu kazano,

Wtem wiatr ucichł i silniki zamilkły. Pojazd opuścił się na drogę. Ktoś otworzył drzwi.

Max, zagrzebany po uszy w "bunkrze", wołał nie wychylać głowy i markował sen, tak, jak mu polecono. Nie widział więc, co się działo, tylko słyszał stłumione pudłem głosy.

- Jak długo siedzi pan przy kierownicy?

- Od śniadania w motelu Tony'ego.

- Co? A jak to się stało, że ma pan tak zaczerwienione oczy?

- Choroba zawodowa. Przy takim trybie życia to zupełnie normalny objaw. Może chce pan jeszcze obejrzeć mój język? ... Kontroler przeszedł nad tą propozycją do porządku dziennego.

- Pański kolega zapomniał podpisać się w książce jazdy ...

- Co pan mówi? ... A może mam go obudzić, żeby naprawił ten niewybaczalny błąd?

- Nie, nie ... Proszę to zrobić za niego. Ale niech w przyszłości nie będzie zbyt roztargniony. Nie wszyscy mają dobre serce ...

- W porządku.

Molly Malona znowu dźwignęła się do góry i ruszyła przed siebie. Max wyrzwał ze skrzyni.

- A już myślałem, że nas załatwi tym brakującym podpisem...

- Nie ... - roześmiał się Red - Zrobiłem to celowo. Kontrolerzy zawsze lubią szukać dziury w całym. Jeśli nie znalazłby czegoś, do czego mógłby się przyczepić, zaczęłby szukać po całej maszynie, aż w końcu wygrzebałby ciebie.

W pobliżu Oklahoma City przemknęli pod jednym z pierścieni linii Towarzystwa Przewoźniczego, właśnie w chwili, gdy nad głowami przeleciał pociąg ... zgodnie z obliczeniami Maxa powinien to być "Razor".

- Już tym raz jechałem - zauważył Red, spojrzawszy w górę.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przecież mówię ... Ale nie podobają mi się te maszynki. Zbyt działają na nerwy. Wyobraź sobie, że nagle grunt umyka ci spod nóg, a ty sam tracisz połowę swego ciężaru. Poza tym nigdy nie mogę uwolnić się od myśli, że pewnego dnia cały ten pociąg skręci gdzieś w bok i według własnego widzimisię pogna przed siebie, nie zwracając uwagi na pierścienie. Spotkałem kiedyś kierowcę tego monstrum ... właśnie zrezygnował z pracy. Mówił, że ani przez moment nie będzie żałował tego, co postanowił. Ja też uważam, że dwieście mil na godzinę to zupełnie wystarczająca szybkość i w ziemskich warunkach nie należy z tym przesadzać.

- Hm ... A co sądzisz o statkach kosmicznych?

- To zupełnie inna sprawa. W próżni można sobie baraszkować do woli. Gdy już dojedziemy do Portu, radzę ci: obejrzyj sobie jedno z tych wielkich pudeł. Zapewniam, jest na co popatrzeć.

Rejestr biblioteczny prawie wypalił dziurę w plecaku. Dopiero przy jednym z magazynów w Oklahomie znalazł skrzynkę na listy. Pospieszenie wrzucił tam swoją paczkę tylko po to, aby za chwilę żałować nierozważnego kroku. Miejsce, skąd wysłano, wskazywało na to, że się tam znajdował - w ten sposób Montgomery zostanie poinformowany o trasie jego wędrówki. Trudno.

Słumił wzbierające wątpliwości: książka powinna zostać dostarczona, ot i już.

Później usnął w zaimprovizowanym łóżku. Obudziły go dopiero kuksańce Reda.

- Wstawać! Pobudka! Stacja końcowa.

Wyszedł z "bunkra", ziewnął i popatrzył sennymi oczyma.

- Gdzie jesteśmy?

- W Porcie Ziemia. Rozprostujmy kości, a później do rozładunku. Dwie godziny po wschodzie słońca wszystko było już gotowe. Po raz ostatni Red zaprosił chłopca na wspólny posiłek. Jako pierwszy uwinął się ze śniadaniem, swoim zwyczajem rzucił na stół niedbale zmięty banknot, zaś drugi położył przy talerzu Maxa.

- Serdeczne dzięki, chłopcze. A to masz na szczęście.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Red owinął się wokół stołu i przepadł, pozostawiając go z szeroko otwartymi ustami.

Port Ziemia był największym miastem, jakie kiedykolwiek widział. Wszystko wprawiało go tu w osłupienie i zmieszanie.

Po raz pierwszy zobaczył "pozaziemską" istotę - ogromnego, prawie dwumetrowego mieszkańca Epsilon Gemini V, który ze spokojem zamożnego mieszczaucha wychodził ze sklepu, ściskając pod ręką jakąś paczkę. Max spojrzał nań, wytrzeszczając oczy.

Liczne gałki oczne, zwisające wokół głowy, niczym kiście żółtych winogron nadawały tej twarzy jakiś bezosobowy, pozbawiony wyrazu wygląd. Oglądając się za egzotycznym stworzeniem, omal nie skręcił sobie szyi.

Tymczasem Geminianin podszedł do jednego z policjantów, przyłożył rękę do daszka czapki i zapytał dziwnie nosowym głosem

- Przepraszam, czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie mieści się "Athletic Club"?

Max nie mógł stwierdzić, skąd wydobywa dźwięki, natomiast szybko się przekonał, że był jedynym z przechodniów, który obdarzał nieziemską istotę tak jawnym zainteresowaniem. To mogło wzbudzić podejrzenia. Odwrócił się i poszedł przed siebie.

Już zdążył się zorientować, gdzie jest Centrala Gildii Astronautów. Miał nadzieję, że przepuszczą go bez książek i dowodu osobistego. Najważniejsze, aby wuj Chet poczynił w swoim czasie stosowne kroki i nie zapomniał wypełnić kilku formularzy.

Stał właśnie przed "Imperialem" - nowoczesnym hotelem, dysponującym pokojami o każdym ciśnieniu, dowolnie wybranej temperaturze, oświetleniu i pseudo-grawitacji, jakiej tylko mogłyby sobie zażyczyć inteligentne istoty, zamieszkujące różne krańce Wszechświata. O cenach lepiej nie wspominać.

Zauważył, że policjant, pilnujący wejścia, przygląda mu się bacznie.

Już chciał zwiewać, gdy wpadł na pomysł, aby zapytać go o drogę. Ze zdziwieniem stwierdził, iż mówi tą samą barwą głosu, jaką wydobył z siebie Geminianin.

- Przepraszam, mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieści się Centrala Lotów? Policjant zmierzył go od stóp do głów.

- Na końcu Promenady Planetarnej ...

- Hm ... A w którym kierunku ...

- Czy pan niedawno przybył do tego miasta?

- Tak.

- Gdzie pan mieszka?

- Gdzie mieszkam? ... W tej chwili jeszcze nigdzie. Właśnie dopiero przyjechałem ... ja ...

- Czego pan szuka w Centrali?

- To z powodu wujka ... - odpowiedział nieomal płacząco.

- Wujka?

- Tak. On tam pracuje ... - używając czasu teraźniejszego zacisnął pięści. Co by wuj Chet na to powiedział? ...

Policjant ponownie obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- A zatem proszę wsiąść do kolejki i jechać aż do skrzyżowania. Tam należy wsiąść i pójść w kierunku na zachód. W ten sposób dojdzie pan do dużego budynku z godłem gildii ... Wschodzące Słońce nad drzwiami ... nie można tego nie zauważyć. Proszę się tylko trzymać z dala od strefy zastrzeżonej.

Max natychmiast ruszył w drogę, nie zastanawiając się nawet, w jaki sposób ma rozpoznać tę "strefę zastrzeżoną".

Siedzibę gildii znalazł bardzo łatwo. Ruchomy chodnik zawiózł go na zachód, skrył w tunelu, a gdy wynurzył się na powierzchnię ziemi, Max stanął tuż przed budynkiem, którego szukał.

Dom Centralny - Dom-Matka Gildii Astronautów błyszczał wprost od zupełnie zbędnego bogactwa - wszystkie te wspaniałości były dla Maxa zarazem podziwu godne i przerażające - czuł się zupełnie tak, jak w kościele.

Gdy podszedł do drzwi, ogromne wrota otwarły się bezszelestnie i znikły gdzieś w ścianach.

Postawił pierwsze kroki na podłodze, pokrytej kolorową mozaiką. Nie miał pojęcia, gdzie powinien się zwrócić. Właśnie postanowił przejść przez halę foyer, gdy usłyszał czyja mocny, dźwięczny głos.

- W czym mógłbym panu pomóc?

Obejrzał się za siebie.

Jakaś młoda kobieta patrzyła nań pytająco.

Siedziała przy biurku, wielkim i zbyt kownym, jak wszystko wokół, Podszedł bliżej.

- Być może zechciałaby mi pani powiedzieć, czego lub kogo mam szukać. Sam nie wiem, gdzie mam się zwrócić ...

- Chwileczkę. Pana nazwisko?

W ciągu kilku minut wydobyła zeń wszystkie szczegóły sprawy, z którą tu przyszedł, nie zapominając oczywiście o drobiazgowym sprawdzeniu personaliów.

- O ile się orientuję w tych kwestiach - odezwała się po krótkim namyśle - ... nie ma pan tu czego szukać.

- Ale przecież mówiłem ...

- Nieważne. Poza tym jeszcze nie skończyłam. Otóż chcę przekazać pańską sprawę do Biura Prawnego. Nacisnęła jakiś guzik. Nad biurkiem uniósł się ekran.

- Panie Hanson ... - uśmiechnęła się w stronę tafli - ... mogłabym zająć panu kilka sekund?

- Tak, Grace? ...

- Zgłosił się do mnie młody człowiek, który twierdzi, że ma dziedziczne członkostwo gildii. Chciałby pan z nim pomówić?

- Ależ Grace ... - odezwał się męski głos - ... przecież zna pani tę procedurę. Niech zostawi swój adres, a pani wyśle go do domu i prześle nam papiery do sprawdzenia.

Zmarszczyła brwi i nacisnęła jeszcze jeden guzik. Choć Max widział, że rozmowa trwa dalej, nie mógł słyszeć żadnego dźwięku. Wreszcie skinęła głową, ekran znikł gdzieś w biurku. Nacisnęła jeszcze jeden przycisk i powiedziała już zupełnie normalnym głosem.

- Skeeter!

Jakiś człowiek w liberii stanął w progu, spoglądając na Maxa zinnymi, taksującymi oczyma.

- Skeeter ... - powtórzyła, wskazując na chłopaka - ... Zaprowadź go do mr. Hansona.

Lokaj wypuścił powietrze nosem.

- Tego? ... - uśmiechnął się kpiąco.

- Właśnie tego. A na przyszłość trzymaj swój dziób nieco wyżej, nie rób min i wypluj gumę do żucia.

Hanson wysłuchał jeszcze raz opowieści Maxa, po czym odesłał go do swego szefa - najwyższego radcy prawnego gildii, który ponownie przepytął Maxa. Później dostojnik pobębnił w blat stołu i odbył z kimś rozmowę w ten sam sposób, jak panienka z recepcji - bezgłośnie.

- Masz szczęście, mój synu ... - powiedział, zwracając się do petenta, cierpliwie oczekującego

na decyzję zwierzchnika - Jego Wielbność, Najwyższy Sekretarz Gildii zechce poświęcić twej sprawie nieco swego cennego czasu. Gdy wejdiesz do jego gabinetu, nie siadaj, tylko stań przed Jego Magnificencją i myśl jedynie o tym, co masz mu do powiedzenia. Kiedy da ci znak, że posłuchanie skończone, wycofaj się, jak tylko możesz najszybciej.

Najwyższy Sekretarz leżał w ogromnym, przepaścistym fotelu, bardziej odpowiednim dla mamuta, niż dla istoty z grubsza człekokształtnej, zaś jakiś człowiek w usługowych podrygach masował mu skronie. Gdy w progu stanął Max, dostojnik podniósł głowę.

- Proszę, wejdź, mój synu ... - rzekł zapraszająco - Jak się nazywasz?

- Maxymilian Jones, Wasza Wielbność.

- I jesteś kuzynem Chestera Arthura Jonesa? ...

- Tak jest, Magnificencjo.

- Znałem brata Jonesa bardzo dobrze. Był genialnym matematykiem ... - zamyślił się przez chwilę - Jak mnie poinformowano, miałeś pecha, drogie dziecko i zgubiłeś dowód osobisty ... Karl? ...

Choć nie podniósł głosu, jak spod ziemi wyrósł przed nim jakiś młody człowiek.

- Słucham, Wasza Wspaniałość ...

- Proszę zdjąć odciski palców tego chłopca i przesłać do komendy policji ... tylko nie tutaj, lecz do samej centrali w Waszyngtonie. Niech pan przekaże szefowi serdeczne pozdrowienia w moim imieniu oraz powie, że będę zobowiązany za szybkie wykonanie stosownych badań. Proszę mnie poinformować, gdy tylko nadejdzie wynik ekspertyzy.

Odciski palców natychmiast pobrano i Karl gdzieś się ulotnił.

- Dlaczego pan tu przyszedł? - zapytał sekretarz, wyciągnąwszy, się w fotelu.

Max zaczął trwożnie opowiadać o swych marzeniach. Wspomniał oczywiście o obietnicy wuja Cheta.

- Hm ... to już słyszałem ... - pochylił się dygnitarz - Przykro mi, lecz muszę cię poinformować, drogi chłopcze, że brat Jones nie zdążył dopełnić swego przyrzeczenia.

Max nie mógł, nie był w stanie przyjąć do wiadomości tego prostego, rzeczowego wyjaśnienia. Jego duma i marzenia były tak mocno związane z zawodem wuja, tak bardzo ufał, że jest dziedzicem schedy Cheta, iż nie przyszło mu do głowy, aby kiedykolwiek mógł zaakceptować ten wyrok.

- Jest pan tego pewny? - wyrzucił jednym tchem - Czy pan sprawdził dokumenty?

Masażysta drgnął, rzucając w jego stronę zszokowane spojrzenie. Lecz Najwyższy Sekretarz był niewzruszony.

- Owszem. Archiwa zostały dokładnie przeszukane ... i to dwa razy. Bez wątplenia nie mamy żadnego aktu nominacji, podpisanego, przez twego wuja. Wyprostował się, skinął dłonią i masażysta znikł.

- Przykro mi, synu.

- Ale przecież wuj Chet mówił, że na pewno mnie nominuje - rozpoczął od nowa Max.

- Ale tego nie zrobił.

Powrócił człowiek, który zdjął mu odciski palców.

Położył przed dostojnikiem kawałek zadrukowanego papieru, który sekretarz, przebiegłszy krótko wzrokiem, podarł na dwie części.

- Nie mogę powiedzieć, że brat Jones nie wspominał o tej kandydaturze, trzeba jednak wiedzieć, iż akt nominacji oznacza w naszym czcigodnym Bractwie powzięcie na swe barki dużej odpowiedzialności. Owszem, często się zdarza, że bezdzietni bracia wyznaczają stosownych kandydatów, zanim jednak podpiszą dokumenty, jakiś czas obserwują swych faworytów, aby móc

stwierdzić, czy dokonali dobrego wyboru. Z powodów, których nie potrafię określić, Chet Jones nie dopełnił tych formalności.

Ta uwłaczająca historyjka, sugerowała, jakby on, Max, nie był godny zaufania swego wuja. Nic dziwnego, że chłopak nie mógł złapać oddechu. To nie mogła być prawda!

Przecież Chet obiecał mu nominację nieomal w przeddzień śmierci. Zebrał myśli i zdobył się na spokój.

- Magnificencjo ... chyba wiem, jak można by to wyjaśnić.

- Jak?

- Wujek zmarł nagle ... Chciał mnie ustanowić dziedzicem, lecz nie zdążył. Jestem tego pewny.

- Bardzo możliwe. Zdarzało się już przedtem, że ktoś został wezwany na ostatnią podróż, zanim zdołał załatwić wszystkie swe sprawy. W każdym razie prawo zobowiązuje mnie, abym zakładał, że brat Jonem nie chciał cię nominować.

- Ale ...

- To wszystko, młody człowieku. Nie, proszę jeszcze nie wychodzisz. Już rozmyślałem dzisiaj parę razy o pańskiej sprawie ... Max zrobił zdziwioną minę. Widząc jego zaskoczenie, Najwyższy Sekretarz roześmiał się i ciągnął dalej.

- Nie jesteś, dziecko, pierwszym Maxymilianem Jonesem, który zgłosił się do mnie ...

Sięgnął do kieszeni z boku fotela, wydobyl kilka książek oraz dowód osobisty.

- Książki wuja Cheta! - wykrzyknął z niedowierzaniem.

- Tak, to prawda. Jakiś młokos, nieco starszy od ciebie, przyszedł tu wczoraj z tym pakunkiem ... ale był mniej wymagający, niż ty ... - dorzucił po chwili przerwy sucho.

- Zupełnie zadowoliliby go jakaś inna praca ... niekoniecznie jako astronauta.

- I co dalej?

- Chcieliśmy mu zdjąć odciski palców, lecz wycofał się pod byle pretekstem. Kiedy usłyszałem, że dzisiaj rano zgłosił się kolejny Maxymilian Jones, zapytałem się w duchu, ilu jeszcze zechce nas zaszczyścić wizytą. Proszę dobrze schować te papiery ... Mam wrażenie, że dzięki nam uniknąłeś mandatu.

Max schował dokumenty do wewnętrznej kieszeni koszuli.

- Stokrotne dzięki, Magnificencjo ...

Zrobił ruch, jakby chciał schować do plecaka książki, lecz Najwyższy Sekretarz położył na nich swą ciężką dłoń.

- O, nie! Książki muszą zostać u nas.

- Ależ wuj Chet osobiście mi je podarował.

- Przykro mi! Mógł je co najwyżej pożyczyć ... a i to niezbyt oficjalnie. Wyposażenie członków naszej gildii nie jest ich prywatną własnością, ale należy do Bractwa. Pański wujek musiałby oddać te książki w chwili, gdy odszedłby na emeryturę. Nie zdążył. Poza tym dał się owładnąć sentymentalną słabością i wykroczył przeciwko regule, chcąc zachować je na własność. Proszę mi je oddać. Ich miejsce jest tutaj.

Max wzbraniał się, jak tylko mógł.

- Proszę bez takich sztuczek. Nie byłoby dobrze, gdyby wszyscy znali tajemnice zawodowe swych sąsiadów. Nawet cech fryzjerów nie dopuściłby do tego. Te książki może posiadać jedynie wykształcony, wypróbowany i wtajemniczony członek naszego Bractwa.

- Nie widzę w tym żadnej sprzeczności ... - głos Maxa był ledwo słyszalny - Nie mam zamiaru zdradzić tajemnic, które zawierają te książki ...

- Chyba nie jesteś anarchista, młody człowieku? ... Jeśli się nie mylę, to powinieneś wiedzieć,

że podstawą funkcjonowania naszego społeczeństwa jest zasada, aby dopuszczać do poufnych wiadomości tylko tych, którzy są tego godni ... Tak ... - westchnął, trochę zmęczony długim przemówieniem - Nie rób takiej kwaśnej miny, młody człowieku. Każdy członek naszego Bractwa, otrzymując podręczniki wpłaca Skarbnikowi stosowną sumę tytułem kaucji. Skoro zwróciłeś nam te książki i jesteś najbliższym krewnym brata Jonesa, powinieneś teraz otrzymać te pieniądze. Karl! ...

Młody mężczyzna ponownie wyrósł przed biurkiem.

- Przynieś, proszę, pieniądze.

Jednak nie musiał niczego przynosić - zwitek banknotów miał przy sobie. Najwyższy Sekretarz najwyraźniej dobrze wiedział, za co Karl pobiera swe wynagrodzenie.

Max, jakby bezwolnie zacisnął palce na zwoju - było tu więcej, niż kiedykolwiek zdarzyło się mu dotykać - zaś Karl zabrał książki, zanim zdołał wymyślić jakiś nowy argument.

Widocznie audyencja była już skończona, lecz gospodarz zawrócił zbierającego się do wyjścia chłopca,

- Jest mi bardzo przykro, że musiałem cię rozczarować, musisz jednak zrozumieć, iż jestem tylko sługą swych braci. To oni stanowią prawo, a ja je wykonuję. Nie mam wyboru. Wszelako ... - złożył dłonie - ... wszelako nasze Bractwo zajmuje się także działalnością charytatywną. Istnieje nawet specjalny fundusz, którym mogę rozporządzać zgodnie z własnym uznaniem. Co myślałbyś o zdobyciu jakiegoś solidnego wykształcenia?

- W szkole gildii?

- Nie ... to niemożliwe. Nie traktujemy członkostwa jako jednej z form dobroczynności. Ale masz do wyboru jeszcze tyle innych ciekawych zawodów: kucharz, stolarz, ślusarz ... czego sobie tylko życzysz. Możesz wybierać wśród wszystkich rodzajów rzemiosła, byleby tylko nie było obwarowane prawem dziedziczości. Bractwo zapłaci czesne, zapewni ci utrzymanie, a jeśli będziesz się dobrze sprawował, wykupi ci patent mistrzowski.

Było oczywiste, że powinien z wdzięcznością przyjąć tę propozycję. Zaoferowano mu bezpłatnie to, o czym marzyło większość chłopców, zaś ich rodzice gotowi byli słono zapłacić za urzeczywistnienie tych marzeń. Lecz ta sama duma, która nie pozwoliła mu przyjąć jedzenia od Sama, nie pozwoliła także na przyjęcie tej wielkodusznej oferty.

- Serdeczne dzięki - odpowiedział zgryźliwie - ... Nie sądzę, że mógłbym skorzystać z tej łaski.

- Skoro tak ... - odparł chłodno sekretarz - ... to trudno. Każdy żyje na własną rękę.

Strzelił palcami, ukazał się lokaj i wyprowadził Maxa z Domu Gildi.

Stał na schodach, prowadzących do wejścia, po czym zaczął rozmyślać, jaki następny krok należy uczynić.

Niejeden raz w polu widzenia ukazywały się statki kosmiczne - nie mógł obojętnie oglądać tego obrazu - gdy je widział, miał ochotę zawyć. Chcąc przezwyciężyć swój ból i nie dosypywać soli do świeżych jeszcze ran wykręcił się na wschód.

Przy koszu na śmieci dostrzegł jakiegoś znajomego człowieka. Gdy zaczął mu się przypatrywać uważniej, mężczyzna rzucił niedopałek papierosa na ulicę, po czym podszedł wprost do Maxa. Ten z kolei popatrzył nań, wyęzając pamięć.

- Sam?!

Z pewnością miał przed sobą cwaniaka, który dwa dni temu okradł go na autostradzie. Tym razem Sam był dobrze ubrany, ogolony i umyty - lecz niewątpliwie był to ten sam człowiek. Pospiesznie podszedł w jego stronę.

- Jak leci? - powitał go, bez śladu skrepowania - W jaki sposób dostałeś się aż tutaj?

- Powiniennem kazać cię aresztować!

- W porządku, już dobrze ... Mów sobie, co chcesz, byleby nie tak głośno. Chyba raczej rzadko zdarza ci się zachować rozwagę ... Max głęboko chwycił powietrze i powiedział już nieco ciszej

- Ukradłeś moje książki ...

- Twoje? Przecież nie należały do ciebie. Oddałem je prawnemu właścicielowi. Czy za to chcesz mnie aresztować?

- Ale ... nieważne! W każdym razie ...

Z boku odezwał się czyjś uprzejmy, lecz pewny i jakby nieco oficjalny głos.

- Czy ten człowiek napastuje pana?

Max obrócił się i zobaczył policjanta. Już chciał otworzyć usta, gdy ugryzł się w język - pytanie najwidoczniej było skierowane do Sama. Ten z kolei położył dłoń na jego ramieniu - tym ojcowskim gestem dawał do zrozumienia, że bierze go w swoją opiekę.

- Ależ w najmniejszym stopniu, panie sierżancie. Dziękuję za troskliwość.

- Jest pan tego pewny? Otrzymałem meldunek, że ten człowiek ... - odchrząknął - ... że ten człowiek jest właśnie w okolicy Centrali. Przez chwilę go obserwowałem. Zachowywał się co najmniej dziwnie.

- Już w porządku. To mój przyjaciel. Mieliśmy się tu spotkać.

- Kamień spadł mi z serca. Od dawna mamy mnóstwo zgryzoty z włóczęgami. Niekiedy mam nawet wrażenie, że hołota z całego świata poczytuje sobie za punkt honoru odwiedzin w naszym mieście.

- To nie włóczęga. Mój przyjaciel pochodzi ze wsi, stąd ten wygląd. Obawiam się, że w tej chwili nie czuje się najlepiej. Wezmę go ze sobą.

- Świetnie, szanowny panie.

- Drobiazg.

Max pozwolił poprowadzić się przez Sama. Gdy już policjant nie mógł ich słyszeć, jego przyjaciel odezwał się z triumfem.

- Znowu im umknęliśmy. Jeszcze trochę, a ten długonosy błazen spisałby nas obu. Całe szczęście przestałeś gadać w odpowiednim momencie. Niechby tylko usłyszał twe żale ...

Dopiero gdy skręcili w jakąś boczną uliczkę, Sam puścił ramię przyjaciela. Przystanęli.

- I co, chłoptasiu?

- Mógłbym powiedzieć mu wszystko, co tylko o tobie wiem!

- A dlaczego tego nie zrobiłeś? Przecież stał tuż obok ciebie, Max rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- Mniejsza z tym. Zapomnijmy o tej hecy.

- Dziękuję. Bardzo mi przykro, chłopcze, naprawdę ...

- W takim razie, czemu to zrobiłeś?

Sam zapatrzył się gdzieś w dal, a jego twarz jakby złagodniała. Szybko jednak wyraz smutku, czy zatroskania, ustąpił miejsca cynicznemu uśmieszkowi.

- Kiedyś ci powiem. A na razie proponuję wrzucić coś na ząb. Tu w pobliżu jest całkiem miła knajpka. Oprócz tego, że karmią dobrze i niedrogo można tam porozmawiać bez obawy, że jakaś długonosa menda będzie podsłuchiwała zza pleców.

- Nie wiem tylko, czy ...

- Ależ chodź ze mną. Wprawdzie rarytasów tam nie dostaniemy, lecz zawsze to lepiej, niż syntetyczna zupa.

Przystanęli przed jakimś starym szyldem, oznaczonym trzema złotymi kulami.

- Poczekaj tutaj. Zaraz wracam.

Max stał, obserwując zgiełk i rwetes tłumu. Rzeczywiście, niedługo czekał, gdyż po chwili w drzwiach ukazał się Sam, ale już bez płaszcza.

- Zostawiłeś płaszczyz?!
- Jesteś niesamowity, chłopie. Jak na to wpadłeś?

- Nie wiedziałem, że jesteś splukany. Gdybyś mi powiedział wcześniej, nie trzeba byłoby iść do lombardu. Wyglądałeś tak dostatnio, jakbyś przed chwilą wygrał na loterii ...Wracaj i wydobądź go stamtąd. Ja stawiam,

- Świetnie! Ale z płaszczem musimy się rozstać. Przy tej pogodzie to zbędny zbytek. To prawda, że się odstawiłem, ale tylko dlatego, że ... miałem ważne sprawy do załatwienia. Interesy, rozumiesz...

Po drugiej stronie ulicy znaleźli bar, mieszczący się na tyłach restauracji. Sam poprowadził Maxa przez sztywne jadalnie, do których przylegały pokoje gier, kuchnię i korytarz do skromnego pokoju. Wyszukał jakiś stolik w samym kącie. Jakiś wielki człowiek, silnie utykając na jedną nogę, przywłókł się po chwili do obu chłopców. Sam skinął głową.

- Dzień dobry, Percy ...

Zwrócił się do Maxa

- Czego się napijesz?

- Lepiej nie ...

- Niepoprawny dzieciak ... W porządku. Dla mnie jedną szkocką a potem dla obu to, co znajdziesz w karcie. Chyba nie będziesz miał wielkiego kłopotu z wyborem...

Człowiek czekał, nie mówiąc ani słowa. Sam wzruszył ramionami i położył banknot. Max zaprotestował.

- Ja płacę! ...

- Ty zapłacisz za jedzenie ... Ten facet ... - dodał, wskazując na kuśtykającego olbrzyma - ... jest właścicielem lokalu. W tej chwili siedzi na szmalu, ale z pewnością nie dorobił się forsy, ufając ludziom mojego pokroju. A teraz opowiedz coś o sobie. Jak się tu dostałeś, co z twoimi lotami w Kosmos ... a może zerwali specjalnie dla ciebie jakąś gwiazdkę z nieba? ... Wal, chłopie! Tylko krótko i zwięźle ...

Max nie bardzo wiedział, dlaczego to Sam nie miałby opowiadać mu o swych przygodach z ostatnich dwóch dni, ale ponieważ odczuwał potrzebę podzielenia się z kimś nowinami, rozpoczął opowieść.

Gdy skończył, przyjaciel skinął głową.

- Mniej więcej tego się spodziewałem. Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

- Nie mam pojęcia.

- Hm ... Powiał zły wiatr, a tego nigdy nie lubiłem. Jedz, a ja tymczasem się zastanowię. Po chwili podniósł wzrok.

- Powiedz mi, a co chciałbyś robić?

- Przecież wiesz ... Zostać astronautą.

- Wykluczone.

- Nie nowina.

- W takim razie skonkretyzujmy: czy chcesz koniecznie być astronautą, czy może wystarczyłaby ci jakaś inna praca, byleby w Kosmosie?

- Nigdy w ten sposób nie myślałem.

- To pomyśl.

Pomyślał.

- Chciałbym po prostu być w Kosmosie. Jeśli nie mogę zostać astronautą, zadowolę się czymkolwiek innym, byleby nie na Ziemi. Ale nie bardzo wiem, jak to zrobić. Gildia Astronautów ma monopol na cały Kosmos.
- Istnieją jeszcze inne drogi ...
- Myślisz chyba o emigracji ... Sam potrząsnął głową.
- Nie. Podróż do jednej z kolonii kosztowałaby cię więcej, niż mógłbyś zaoszczędzić przez całe życie. Zaś jeśli chciałbyś pojechać w charakterze pasażera nieco półoficjalnego ... Hm ... nie życzyłbym takiej jazdy nawet najgorszemu wrogowi.
- Co więc pozostaje? Sam najwyraźniej wahał się.
- Gdyby spojrzeć na tę sprawę uważniej, można byłoby -znaleźć kilka sposobów ... ale pod warunkiem, że zastosujesz się do moich poleceń. Ten twój wujek ... znałeś go dobrze?
- Oczywiście.
- Dużo ci opowiadał o Kosmosie?
- Tylko o tym rozmawialiśmy.
- Hm ... a zatem znasz ich żargon?

- Żargon? - Max był wyraźnie zmieszany - Sądzę, że wiem tyle, ile wie każdy inny człowiek.
- W takim razie powiedz mi, gdzie jest "skrzynka, w której człowiek się poci"?
- Przecież to kabina dowódcy.
- A jeśli "żałobnik" potrzebuje "zwłok", to gdzie je może znaleźć?
- Na pokładzie tak się nie mówi. Kucharz to kucharz i jeśli potrzeba mu mięsa, to po prostu

bierze je z lodówki.

- Czym się różni "bydlę" od "zwierzęcia"?
- "Bydlę" to pasażer, a zwierzę to zwierzę.
- Załóżmy, że lecisz na Marsa i nagle informują cię, że popsuł się napęd, a statek po spiralnej trajektorii dryfuje na Słońce. Co wtedy byś pomyślał?
- Że mam przed sobą idiotę. Nie istnieją żadne spiralne trajektorie, a poza tym, gdybym leciał na Marsa, w jakikolwiek sposób nie mógłbym trafić na Słońce. To nie po drodze.

Max wyprostował się i spojrzał w oczy przyjaciela.

- Sam ... Ty już byłeś w Kosmosie, prawda?
- Jak na to wpadłeś?
- Do której gildii należysz?
- Przestań, Max. Nie zadawaj głupich pytań. Być może Kosmos to moje hobby ...
- Nie wierzę.

Sam spojrzał z zakłopotaniem, zaś Max ciągnął dalej.

- Co to wszystko ma znaczyć? Zasypujesz mnie stertą dziwnych pytań ... Oczywiście, wiem mnóstwo o warunkach, panujących na statkach, gdyż zajmowałem się tym jeszcze razem z wujkiem Chetem, ale po co te pytania? Czemu to służy?

Sam obrzucił go niepewnym spojrzeniem, po czym odezwał się ... mówił tak cicho, że w końcu zaczął szeptać.

- W następny wtorek odlatuje "Asgard". Chciałbyś być przy tym?

Max rozmarzył się.

Być pośród załogi legendarnego "Asgarda" to chyba największe szczęście, na jakie mógł kiedykolwiek liczyć ... Przetarł powieki.

- Nie mów do mnie w ten sposób, Sam. Wiesz dobrze, że dałbym sobie odciąć prawą rękę, byleby tylko się tam dostać. Czemu mnie denerwujesz?

- Ile masz pieniędzy?
- Jak to? ...
- Ile?
- Nawet nie miałem czasu, żeby je przeliczyć.

Już chciał wyciągnąć z kieszeni zwitek, gdy Sam powstrzymał go gwałtownym ruchem ręki.

- Pst! Tutaj nie powinieneś pokazywać nawet złamanego centa. A może chcesz udławić się pineską? ... Schowaj to szybko pod stół.

Przerażony schował szybko pieniądze. Przeraził się jeszcze bardziej, gdy przeliczył banknoty - dostał więcej, niż mógłby przypuszczać nawet w najśmielszych marzeniach.

- Ile? - nie ustępował Sam.

Kiedy Max mu powiedział, pogwizdał cicho przez zęby.

- Tyle nam właśnie potrzeba.

- Na co?

- Zobaczysz. Schowaj je dobrze.

Włożywszy je znowu do kieszeni, odezwał się szczerze zdumiony.

- Nigdy nie przypuszczałem, że te książki są aż tyle warte.

- Bo i nie są ...

- Jak to?!

- To tylko blef. Prawie wszyscy członkowie gildii pracują w ten sam sposób. Najpierw więc rozgłaszają, że posiadli jakieś niestychane tajemnice, a później biorą łapówki od kandydatów do zawodu. Im bardziej niesamowite tajemnice skrywają, tym większe jest wpisowe. Gdyby ujawniono ten proceder i umożliwiono naukę każdemu, kto tylko miałby szczerą chęć, natychmiast ceny by spadły.

- Ale to zupełnie sprawiedliwe. Jak powiedział Najwyższy Sekretarz nie jest wcale konieczne, aby każdy posiadał całą wiedzę.

- No i co z tego ... - Sam westchnął i uczynił ruch, jakby chciał splunąć - ... Co z tego, że posiadłbyś jakąś wiedzę, skoro i tak nie miałbyś statku, którym mógłbyś polecieć ku gwiazdom?

- Ale ... - Max przerwał, śmiejąc się pod nosem - W takim razie nie rozumiem, czemu zabrali mi te książki. Skoro samą wiedzę nie mogę im zaszkodzić, równie dobrze mogliby mi je podarować. Przecież i tak pamiętam wszystko, o czym tam pisano.

- Nie wątpię - odparł Sam - Z pewnością znasz ogólne teorie, może kilka z metod ... Lecz brakuje ci całych kolumn liczb, wyliczeń, równań i tabel, które są niezbędne w czasie lotu. O to im głównie chodzi.

- Skądże znowu! - zaperzył się Max - Znam te rachunki ... znam na pamięć całą książkę. Zmarszczył czoło i zaczął recytować.

- "Strona 272. Rozwiązania równań według metody Ricardo ... Wyrzucił jednym tchem całą serię siedmiocyfrowych liczb i symboli. Sam przyglądał się mu z rosnącym osłupieniem, aż wreszcie przerwał.

- Skoro masz taki talent, może powinniśmy posłać do diabła pierwotne plany i spróbować innych możliwości ...

- O czym myślisz?

- Hm ... pierwszy pomysł nie był wcale aż taki zły ... w dodatku była to pierwsza rozsądna myśl, jaka mi wpadła do głowy od chwili, gdy się tu znalazłem. Dzięki twojej niezwyklej pamięci nasze szanse wzrastają. Choć orientowałeś się w żargonie pokładowym, miałem jeszcze pewne wątpliwości. Teraz mogę powiedzieć, że już się ich pozbyłem.

- Przestań wreszcie z tymi zagadkami! Mów po ludzku!

- W porządku. Karty na stół.

Rozejrzał się wokół, pochylił się w stronę Maxa i zaczął mówić jeszcze ciszej, niż dotychczas.

- Weźmiemy twoje pieniądze, po czym roztrwonimy pewną część ... oczywiście z zachowaniem wszelkich ostrożności. Za to, gdy "Asgard" wystartuje, będziemy należeli do załogi.

- W jakim charakterze? ... Praktykantów? Przecież nie mamy nawet najbardziej elementarnych wiadomości, którymi dysponuje każdy uczeń pierwszej klasy. Gdzie się podziejemy do przyszłego wtorku? Poza tym jesteś za stary na czeladnika.

- Poruszaj trochę główką, chłoptasiu. Mamy wystarczająco dużo pieniędzy, aby zapłacić za wykształcenie jednego z nas ... o drugim można zamilczeć. Poza tym na "Asgardzie" nikt nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. A zatem ... co innego pozostaje? ... Jesteśmy przecież wykształconymi astronautami... członkami gildii i mamy w rękach odpowiednie papiery ... Mucha nie siada!

Max pomyślał, że właśnie przed paroma godzinami pańskim gestem odrzucił szansę darmowego wykształcenia, a teraz miesza się w niesłychaną aferę. Czy warto? ...

- A jak zamierzasz zabrać się do tego?

Na początku Sam wynajął skromny pokoik nad lokalem Percye'a. Wychodził stamtąd po wielokroć, nie mówiąc, dokąd i po co, a wraz z nim ubywały pieniądze Maxa. Gdy zaniepokojony właściciel nieśmiało zaprotestował, Sam odparł zmęczonym głosem.

- Czego ty właściwie chcesz, chłopcze? Czy mam ci dać w zastaw serduszko? A może chcesz włóczyć się razem ze mną i jeszcze bardziej powikłać sprawy, które już w tej chwili są wystarczająco skomplikowane! A może wyobrażasz sobie, że sam zdołasz przepchnąć ten biznes? Owszem, to ty dajesz pieniądze, prawda. Ale ja nakręcę interes. W ten sposób wygląda nasze partnerstwo, zapamiętaj!

Gdy Sam wyszedł po raz pierwszy, Max odliczał każdą sekundę, lecz dziwny przyjaciel wrócił.

Pewnego razu przyprowadził jakąś starą, grubą kobietę, która zmierzyła Maxa takim wzrokiem, jakby miała przed sobą barana na sprzedaż. Nie przedstawiono jej, tylko Sam rzucił dziwne pytanie.

- I jak? ... Sądzę, że broda mogłaby mu nieco pomóc. Obejrzała Maxa wpierw z jednej, później z drugiej strony.

- Nie ... to byłby najgorszy numer.

Po czym dotknęła głowy chłopaka wilgotnymi, zimnymi palcami. Kiedy Max rzucił się pod ścianę, napomniała go łagodnie.

- Ej że, słodziutki ty mój ... Ciocia Becky musi trochę popracować nad twą buźką. Nie ... najlepiej będzie ująć mu nieco włosów ze skroni, przeredzić na górze i zrobić lekką łysinę ... oprócz tego przydałoby się kilka zmarszczek nad oczami ... Hm ... To chyba wszystko. Lepiej nie przesadzać.

Gdy wiedźma skończyła swą robotę, Max wyglądał dziesięć lat starzej. Becky zapytała tylko, czy powinna zlikwidować cebulki, czy raczej wolałby zachować swój zwykły skalp.

Ponieważ Sam spieszył się i nie chciał wszczynać dyskusji, baba wręczyła mu jakąś buteleczkę.

- Tutaj masz kochanie "Cudowny eliksir na porost włosów". Koszty wkalkulowane w honorarium ... nie ma tu nic, poza spirytusem. Kiedy zechcesz mieć bujną szopę, natrzyj sobie łysinę, a pobudzone cebulki zaczną pracować w wariackim tempie. Jesteś jeszcze za młody, aby całe życie świecić łysiną.

Max oddał jej buteleczkę - albo da mu gwarancję całości fryzury, albo nici z honorarium. W końcu doszli do zgody.

Sam zabrał mu także dowód osobisty, a gdy wrócił z kolejnej wyprawy, ścisnął w dłoni zupełnie inny.

Max nosił swe zwykłe nazwisko, lecz był starszy, numer ewidencyjny był ten sam, ale zawód fałszywy, odciski palców były oczywiście jego własne, jednak adres zupełnie inny. Właściciel obejrzał dokument z żywym zainteresowaniem.

- Wygląda jak oryginalny.

- Oczywiście. Człowiek, który się tym zajmuje, robi same "prawdziwe" dokumenty, ale żąda także prawdziwych pieniędzy.

Wieczorem wrócił Sam z książką pt. "Ekonomia statku kosmicznego", opatrzoną pieczęciami Gildii Stewardów, Kucharzy i Rachmistrzów.

- Radziłbym ci posiedzieć dziś w nocy nad tym dziełem. Właściciel tej książki na razie śpi, ale wątpię, czy potrwa to dłużej, niż dziesięć godzin, choć Percy dobrze się spisał, waląc go w

podbródek. Chcesz środek orzeźwiający?

- Chyba nie będzie mi potrzebny.

Max obejrzał książkę.

Była świetnie wydana i w dodatku nie należała do cienkich. Mimo to zdążył ją przeczytać, zanim wybiła piąta rano.

Obudził Sama, zaś sam z głową wypełnioną "nadwagą" i "niedowagą", obliczeniami masy, problemami hydrauliki statku, wzorami pisania listów, wypełniania formularzy, sporządzania kosztorysów, przepisami, dotyczącymi sprawozdań dobowych, tygodniowych i kwartalnych poszedł spać.

- Śmieszne - mruknął, zanim zasnął, dziwiąc się, jak można coś podobnego uważać za zbyt trudne dla laików.

Czwartego dnia Sam dostarczył mu ubranie pokładowe, składające się z samej starzyzny oraz wręczył prześmieszoną książkę, w której zapisano jego - rzekomo odbyte już - rejsy.

Pierwsza strona głosiła, że jest członkiem zwyczajnym Gildii Stewardów, Kucharzy i Rachmistrzów, zaś przywilej ten uzyskał, zdając określony przepisami egzamin, na którym otrzymał ocenę bardzo dobrą. Po czym następowała długa lista jego zdolności i umiejętności oraz składek, wpłacanych regularnie od siedmiu lat. Zygzak, markujący jego własny podpis widniał nieco poniżej podpisu Naczelnego Stewarda, a oba były ostemplowane pieczęcią gildii.

Następne strony zawierały wykaz jego lotów, zasług oraz bieżących zadań, pod którymi widniały podpisy oficerów oraz rachmistrzów. Z zainteresowaniem odnotował fakt, że pewnego razu, gdy stacjonowali na Cygnusie, został skazany na karę pieniężną w wysokości trzydniowego żołdu, gdyż palił papierosy w sposób zabroniony ...

- Coś nie tak? - zaniepokoił się Sam.

- To wszystko jest takie śmieszne ...

- Możesz wyczytać, że byłeś na Księżycu ... kto nie był dzisiaj na Księżycu? ... Prawie cały świat tam lata. Statki, gdzie pełniłeś służbę, są już wycofane z obiegu i żaden z pracujących tam rachmistrzów nie przebywa obecnie w mieście. Jedyne gwiazdołot, gdzie przez Pewien czas pracowałeś, zaginął podczas ostatniej podróży. Ty już nie brałeś w niej udziału. Rozumiesz wszystko?

- Chyba tak.

- Jeśli zdarzy ci się rozmawiać z kimkolwiek o którymkolwiek ze statków ... nieważne, czy według tej księgi służyłeś na nim, czy nie ... masz mówić, że go nie znasz, nie widziałeś ani razu w życiu i tak dalej ... Poza tym nikomu nie pokazuj swoich dokumentów ... oczywiście poza zwierzchnikami.

- A jeśli spotkam tych, z którymi oficjalnie miałbym odbyć już kiedyś jakiś lot?

- To niemożliwe ... przynajmniej na "Asgardzie". Zaufaj mi. Aha Z powodu wrzodu żołądka pijesz tylko ciepłe mleko, a gdy go nie dostaniesz, masz kłąć, jak szewc. Ulubionym i jedynym tematem do rozmów są kolejne symptomy postępującej choroby. Jeśli będziesz milczał, to dobrze, przynajmniej nie grozi ci wpadka. I nie zapominaj, że wszędzie kręcą się astronauty. Gdy obsunie ci się noga, nie licz na moją pomoc. Zostawię, cię w gównie, masz to jak w banku ... A teraz zrób kilka kroków ... muszę widzieć, jak chodzisz. Wstał i przeszedł parę metrów.

- Do diabła ... - rzucił niezadowolony Sam - Stawiasz nogi tak ciężko, jakbyś przed chwilą odszedł od pługa.

- A teraz jest dobrze?

- Nic innego nie wykombinujemy. Bierz czapkę i kujmy żelazo, póki gorące. Niech się dzieje, co

chce.

Nadszedł dzień odlotu.

Max od rana tkwił w pełni gotowości, usiłując dobudzić Sama. To zadanie przekraczało jego siły. Gdy wreszcie dopiął swego, Sam przeciągnął się i jęknął.

- Co za bałwan ... Która godzina?

- Prawie szósta.

- I o tej porze ośmieliłeś się mnie niepokoić? Tylko mój pożałowania godny stan nie pozwala mi wysłać cię do królestwa przodków. Zwiewaj stąd i kładź się spać.

- Ale przecież dzisiaj...

- I co z tego? Statek startuje dopiero w południe. Wejdziemy na pokład w ostatniej chwili, żebyś nie zdążył pieprznąć jakiegoś głupstwa.

- A skąd wiesz, że w ogóle zechcą nas tam wpuścić?

- Poczciwcze, skąd się tu wzięłeś? Przecież wszystko już załatwione. Zamknij się, zaśnij, albo pójdz na dół i każ podać sobie śniadanie. Z nikim teraz nie rozmawiam ... Byłbyś niezmiernie miłym facetem, gdybyś przyniósł mi za dziesięć minut dzbanuszek kawy.

- A co z jedzeniem?

- Na Boga, nie mów w mojej obecności o jedzeniu. Czy ty o niczym nie masz pojęcia?

To mówiąc naciągnął koc na głowę i zasnął.

Było prawie pół do dwunastej, gdy stanęli przed bramą lotniska. Dziesięć minut później autobus podwiózł ich pod sam statek. Max wysiadł, wpatrując się w wysokie ściany, lecz wkrótce jego kontemplację przerwał krzyk człowieka, stojącego na podeście windy. W ręce dzierżył kilka kartek - najwidoczniej lista załogi.

- Nazwiska? ...

- Anderson...

- Jones ...

Odnaczył ich haczykami.

- Szybko na pokład! Powinniście tu być już godzinę temu. Cała trójka weszła do klatki, którą po chwili wciągnięto na górę, niczym wiadro z wodą. Sam spojrzał na dół i zadrżał.

- Nigdy nie rozpoczynaj żadnego rejsu z trzeźwą głową ...- poradził tonem bardziej doświadczonego - Ta decyzja, choć chwalebna, może cię dużo kosztować. Klatka dobrnęła do luku.

Zamek trzasnął, drzwi ustąpiły i obaj chłopcy postawili swe pierwsze kroki na pokładzie "Asgarda". Max drżał z powodu silnej tremy.

Sądził, że zgodnie z prawem zostanie wpierw przedstawiony pierwszemu oficerowi, który wciągnie go na oficjalną listę załogi. Tymczasem człowiek, który zabrał ich na pokład, polecił, aby poszli za nim, wprost do biura rachmistrza. Szef odfajkował ich w księdze pokładowej, zdjął odciski palców, co ostatecznie miało go przekonać o ich tożsamości. Chyba jednak nie bardzo mu na tym zależało, gdyż podczas tego przeglądu ziewał przepastnie, prztykając w przedni ząb. Max podał mu swą księgę, mając przy tym uczucie, jak gdyby jego oszustwo wypisano na okładce dużymi, złotymi literami. Mr. Kuipes rzucił ją jednak na półkę z aktami, gdzie piętrzyły się stosy jej podobnych, zaś sam zwrócił się do nowoprzybyłych.

- "Asgard" to przyzwoity statek, na którym szanuje się dyscyplinę. Panowie zrobili bardzo zły początek, spóźniając się ponad godzinę ... To smutne.

Sam milczał, zaś Max wyrwał się z rześkim okrzykiem:

- Tak jest, panie naczelny rachmistrzu?

Szef ciągnął dalej...

- Proszę uporać się z bagażem, zjeść coś i zameldować się tu ponownie. Rzucił okiem na plan kajut, rozwieszony na ścianie.

- Jeden z was pójdzie do D-112, drugi do 3-009.

Max miał już zamiar zapytać, jak można tam trafić, gdy Sam chwycił go za łokieć i wypchnął z kabiny.

- Nie stawiaj zbędnych pytań ... - powiedział, gdy zatrzasnęły się drzwi biura - W tej chwili wiemy już wszystko, co wiedzieć powinniśmy. W razie potrzeby dowiemy się czegoś więcej. Doszli do jakichś schodów. Zeszli na dół.

Wtem Max poczuł nagłą zmianę ciśnienia. Sam skrzywił się tylko lekko.

- Właśnie zahermetyzowano statek - wyjaśnił - To nie powinno się już powtórzyć.

Byli w D-112 - ośmioosobowym bunkrze, gdzie miał zamieszkać Jones. Sam właśnie demonstrował koledze, w jaki sposób uruchamia się zamek przy szafie, gdy z głośnika dobiegł ich jakiś daleki sygnał. W tej samej chwili Max poczuł silną falę nudności, a jego ciało jakby straciło na wadze.

- Chyba mieli lekkie opóźnienie przy wejściu w pole ... - wymamrotał Sam, po czym wyrznął przyjaciela w kręgosłup.

- Załatwione, chłopcze!

E-009 było jeszcze niższym pomieszczeniem niż to, które przed chwilą oglądali i znajdowało się na drugim końcu statku. Zostawili tobolek Sama a za moment wyszli, w poszukiwaniu jadalni. Po drodze Sam zatrzymał jeden z mijających ich automatów.

- Ej, ty tam ... Jesteśmy tu zupełnie świeży. Gdzie znajduje się mesa?

- Ten poziom ... osiemdziesiąt metrów przed siebie ... - wydukał, oglądając ich od stóp do głów.

- Jeszcze jacyś nowi? - zdziwił się - No tak. Wkrótce zobaczycie, jak tu wszystko leci

- Źle?

- Gorzej, niż źle. Jak w prawdziwym dom wariatów. Nawet gdybym nie była mężatką, z pewnością nie oddałabym się żadnemu z was.

To powiedziawszy automat ruszył przed siebie.

- Nie zważaj na to, co mówił - powiedział Sam - Wszystkie stare wygi mają zwyczaj narzekać na każdy statek, gdzie właśnie zaokrętowali. Ich nic nie jest w stanie zadowolić. Taki tu już panuje obyczaj ... Niemniej ich kolejne przeżycia zdawały się potwierdzać opinią rozmówcy. Automatyczny kelner był wyłączony, choć nie minęła jeszcze pora obiadowa, a statek wystartował, przed kwadransem. W mesie świeciło pustkami.

Max był już gotowy zacisnąć pasa i czekać do kolacji, gdy nagle w drzwiach do kambuza pojawił się Sam z dwiema wyładowanymi tacami. Usiedli przy stoliku.

- Skąd to wytrzasnąłeś?

- Każdy kucharz znajdzie coś w lodówce, o ile dasz mu wystarczająco dużo czasu aby mógł się przekonać, jakim jesteś cwaniaczkiem ... Oczywiście pod warunkiem, że nie pozwolisz mu podnieść głosu ...

Jedzenie było dobre.

Przyzwoitej wielkości sznycel z jarzynami, biały chleb, budyń oraz kawa stanowiły całkiem niezły zestaw.

Wokół nich wrzały żywe dyskusje, lecz, tylko jeden raz zagroziło niebezpieczeństwo zdradzenia się ze swym nowicjatem. Właśnie jeden z rachmistrzów miał zamiar zarzucić ich stekiem bredni o

swych niezwykłych wyczynach, których dokonał podczas ostatniego lotu, gdy Sam wybił mu z głowy tę chęć.

- Inspekcja rządowa ... - mruknął krótko - Nie wolno nam rozmawiać.

Tym samym opanował panikę Maxa. Lecz natręt nie był ukontentowany tą odprawą.

- A gdzieście się do tej pory ukrywali? - zapytał ze zdziwieniem

- Już od lat nie mieliśmy podobnych gości ...

- Owszem, owszem. Nasza misja jest tak bardzo tajna, że nawet nie zechcieli cię poinformować

- odparł Sam - Zawsze możesz złożyć zażalenie.

Wstał z krzesła.

- Skończyłeś już Max?

Wracając do biura głównego rachmistrza, Max łamał sobie głowę, rozmyślając, jaką pracę otrzyma. Przerzucał w myśli wszystkie zdolności i umiejętności, które zgodnie z dokumentami powinien był posiadać. Okazało się, że jak zwykle martwił się przed czasem.

Mr. Kuipes nie miał zamiaru zwracać uwagę na takie szczegóły i po prostu mianował go świniopasem.

"Asgard" był zarówno statkiem pasażerskim, jak i frachtowcem. Dlatego na pokładzie znajdowało się trochę bydła: dwa byki, dwa tuziny krów oraz bogaty wybór mniejszych reprezentantów ziemskiej fauny, które były potrzebne koloniom ze względów ekonomicznych i ekologicznych zarazem.

Zabrano także sporo kotów, lecz ich status na pokładzie "Asgarda" był szczególny: w większości zwierzęta te stanowiły prężną grupę drobnych przedsiębiorców, którym poruczono zadanie przetrzebieienia stada szczurów i myszy, towarzyszących ludziom. Nie trzeba chyba dodawać je jak pełnoprawnych członków załogi.

Jeden z licznych obowiązków Maxa polegał właśnie na tym, aby zmieniał piaseczek, umieszczony w wielu różnych skrzynkach i skrzyneczkach po wszystkich kątach statku. Brudny żwir poddawał procesowi oksydacji.

Istniała także inna grupa kotów - tych, które należały do pasażerów. Te z kolei pędziły na "Asgardzie" żywot zwierząt łownych, a jeśli udało się nielicznym z nich przeżyć, to tylko dlatego, że nie opuszczały ani na krok swego więzienia - kłamki windy niedaleko stajni. Podobnie było z psami, z tym, iż wszystkie, bez wyjątku, musiały uiścić specjalną opłatę.

Max chętnie przyjrzałby- się teraz Ziemi, która musiała w tej chwili przypominać niewielki globus, zawieszony w granatowej otchłani, ale ten przywilej był niestety zastrzeżony wyłącznie dla pasażerów. W rzadkich chwilach wolnych od zajęć próbował zaprowadzić w stajni hodowlę delikatnej tymotki, co powinno przynieść znakomite rezultaty w pomieszczeniach wyposażonych w klimatyzację. Zajmował się tym z przyjemnością i niechęcią jednocześnie. Była to jednak jedna z niewielu prac, którą mógł wykonać naprawdę dobrze.

Jego bezpośrednim zwierzchnikiem był główny steward Giordano - mister "Gi", jak go powszechnie zwano.

Swoje zadanie dzielił razem z mister Dumonfem, który występował w roli pierwszego stewarda mesy pasażerskiej. Granica, rozdzielająca strefy ich wpływów, przebiegała wzdłuż pokładu Charlie'go. Dumont zajmował się więc pasażerami, oficerami, stacją kontroli lotu oraz radiostacją, zaś Giordano wszystkim, co leżało na dolnym pokładzie, z wyjątkiem urządzeń technicznych, a zatem: kajutami załogi, kambuzem i messą, magazynami, stajniami, chlewami, windami, przechowalniami

oraz zbiornikami wody. Obaj podlegali głównemu rachmistrzowi, a ten z kolei pierwszemu oficerowi.

Pierwszy oficer był niewątpliwym panem statku i mądry kapitan nie wchodził mu w drogę.

Choć prawo stanowiło, że kapitan jest panem życia i śmierci w tym miniaturowym państewku, człowiek ten starał się patrzeć w przeciwną stronę, niż miał zwyczaj spoglądać jego zastępcę.

Dopóty, dopóki wszystko szło zgodnie z planem, kapitan zajmował się wyłącznie astronautyką, przesiadując nieustannie w swej kajucie, Z kolei pierwszy oficer wypełniał wszystkie obowiązki ich obu. Astronaucci, radiowcy, rachmistrz oraz astrofizycy podlegali bez wyjątku temu jednemu człowiekowi o żelaznej ręce, choć praktycznie nie mieli z nim nic wspólnego, gdyż wraz z kapitanem przesiadywali w "saunie", czyli centrali dowodzenia, pracując pod jego kierownictwem. Także naczelny inżynier podlegał pierwszemu oficerowi, choć w istocie bardziej przypominał jakiegoś wschodniego satrapę. Swoich poddanych trzymał tak krótko, że oficer nie miał mu nic do zarzucenia i w końcu przestał się nimi zajmować.

W praktyce naczelny inżynier był odpowiedzialny za wszystkie maszyny pracujące na tym statku, choć teoretycznie powinni go w tym wspomagać główny steward oraz szef rachmistrzów.

"Asgard" żył swym własnym życiem, niczym mały, samowystarczalny świat. Mieli swego monarchę, bezrobotną i bezużyteczną szlachtę w postaci gromady pasażerów, aparat sprawowania władzy oraz sądownictwo, techników, woziwodów i palaczy.

Wewnątrz statku bujnie krzewiła się flora i fauna, wzrastające pod czujnym okiem ekologów, wspomagane miniaturowym słońcem oraz łagodnym klimatem, jaki gwarantowały urządzenia. Chociaż plan lotu zakładał tylko miesięczny pobyt w otwartej przestrzeni, podróż mogłaby właściwie trwać wiecznie. Być może musieliby się obyć bez kawioru, z pewnością jednak nie powinno zabraknąć podstawowych środków odżywczych, powietrza, ciepła i światła.

Max doszedł do wniosku, że miał szczęście, będąc przydzielonym do sekcji mr. Giordano. Podczas gdy Kuipes dokładnie patrzył na ręce swoich ludzi, mr "Gi" niezwykle rzadko dźwigał swe cielsko poza drzwi gabinetu. Dzięki temu mógł poświęcić więcej czasu swej najważniejszej czynności - produkcji cieczy, której właściwości przypominały nieco wódkę, w procesie destylacji wykorzystywał urządzenia hydroponiczne, skąd czerpał także większość niezbędnych surowców.

"Tajemny" handel z załogą kwitł i wszyscy byli zadowoleni. Max, trzymając oczy na wszystko otwarte, a gębę zamkniętą na kilka kłódek, nauczył się, że uprawianie tego rodzaju procederów było jednym z głównych przywilejów głównego stewarda, na co nie należało zwracać większej uwagi, oczywiście pod warunkiem, iż wszyscy zachowywali stosowny umiar i nie przekraczali pewnych granic. Oczywiście, na statku była piwiarnia, a nawet winiarnia, lecz; korzystały z niej tylko "bydlęta" - załoga nie miała tu czego szukać.

- Byłem kiedyś na statku ... - mówił Sam - ... gdzie pierwszy oficer rozbił całą aparaturę, a stewarda zdegradował do stopnia babki klozetowej ... - przerwał na chwilę, zapalił cygaro "wygospodarowane" specjalnie dla niego przez stewarda górnego "eleganckiego" pokładu. Stali właśnie w jednym z zacisznych kątów obok stajni, wykorzystując chwilę spokoju. - ... Ale to do niczego nie doprowadziło.

- Dlaczego?

- Sam się zastanów. Wszędzie trzeba przecież zachować równowagę sił. Na każdym rynku znajdzie się cała banda dostawców, o ile tylko istnieje popyt na jakiś towar. Jedynym skutkiem tej wymuszonej prohibicji był fakt, że tydzień później we wszystkich zaułkach rozkwitły niewielkie gorzelnie, a załoga tak bardzo zesła na psy, iż do niczego nie była już zdolna. Kapitan wezwał oficera na krótką rozmowę, przywrócono dawne porządki i wszystko wróciło do ładu. Max pomyślał

przez moment.

- Sam ... Czy to nie ty byłeś przypadkiem tym stewardem?

- Jak na to wpadłeś?

- Byłeś już przynajmniej raz w Kosmosie ... nawet nie próbuj się z tego wyłgać. Uświadomiłem sobie przed chwilą, że ani nie powiedziałeś mi, do jakiej gildii należysz, ani dlaczego znalazłeś się znowu na Ziemi, ani nie zdradziłeś powodów, dla których musisz tak kręcić, by móc powrócić do czynnej służby. Cóż ... jak sobie chcesz. W końcu to nie moja sprawa.

Cyniczny uśmieszek, ozdabiający zwykle twarz przyjaciela, zastąpił wyraz zatroskania.

- Mój drogi ... - odezwał się po kilku sekundach - ... jeśli ktoś próbuje zrozumieć ten cholerny świat, zawsze musi być przygotowany na silne ciosy. Spójrz chociażby na przypadek mego przyjaciela Roberta. Facet był pomocnikiem w lotnictwie miał znakomite referencje, kilka niezłych lotów oraz jedno, lub dwa odznaczenia bojowe ... taki sobie chłopaczek, który miał talent, aby zostać oficerem w znacznie krótszym czasie, niż jest to zazwyczaj przyjęte. Pewnego razu zdarzyło się jednak, że przegapił start swego statku bo po prostu zbyt długo świętował powrót na Ziemię. Oczywiście powinien natychmiast stawić się dowództwie, poprosić o degradację i zaczynać wszystko od początku. Całe nieszczęście polegało jednak na tym, że miał w kieszeni jeszcze trochę pieniędzy. Gdy wreszcie stawił się, gdzie należało, było już za późno. Nigdy później nie odważył się zacząć od nowa. Każdy i wszystko ma swoje granice.

- Chcesz przez to powiedzieć, że i ty byłeś w lotnictwie wojskowym?

- Ja? ... Skądże znowu. Opowiedziałem ci tylko o swoim kumplu, abyś zrozumiał, co ci może grozić, jeśli nie będziesz miał oczu szeroko otwartych. Ale pomówmy o czymś przyjemniejszym. Jakie masz plany na przyszłość?

- O co ci chodzi?

- Co chcesz robić po tym skoku?

- Myślę, że już niczego w tym rodzaju. Kocham podróże między gwiazdy, a nie wakacje w stajni. Postaram się otrzymać czyste papiery i awansować. Może na stewarda ...

Sam pokręcił głową.

- Ale rozważ tę sprawę do końca, chłopcze. Co się stanie, jeśli twoja służba na tym statku zostanie zarejestrowana w księgach gildii, a do Urzędu Pracy pójdzie inny raport?

- A co się może stać?

- Właśnie chcę ci to powiedzieć. Przede wszystkim, zupełnie możliwe, że nic się nie stanie. Równie dobrze jest jednak możliwe, że ktoś sprawdzi archiwum, porówna raport ze statku z twoimi nowymi papierami i stwierdzi, iż żaden Max Jones nie jest zarejestrowany w dokumentach gildii. A kiedy powrócisz wreszcie na swym wspaniałym krążowniku, pełen wrażeń i wspomnień wspaniałych przygód, przy zejściu na ziemię będzie czekało kilku uzbrojonych panów, którzy zaprowadzą cię do mamra. Nieprędko stamtąd się wydostaniesz ... Maxa ogarnęły w tej chwili uczucia podobne do tych, jakich doświadczył w momencie, gdy dowiedział się od Montgomery'ego o sprzedaży gospodarstwa. Zbladł, jak kreda. Sam położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie martw się na zapas, chłopcze. To nie jest aż takie pewne ...

- Ale więzienie!

- Na razie masz jeszcze przed sobą kawał życia i nie radziłbym zbytniego pośpiechu. Do kicia zawsze zdążysz trafić. Gdy wrócimy na ziemię, będziesz miał w kieszeni wystarczająco dużo pieniędzy, by móc się wesoło zabawić, zanim ktoś w Waszyngtonie odkryje nasz szwindel. Z pewnością możesz liczyć na parę dni ... tygodni a może nawet miesięcy ... A może odłożą twe papiery na półkę i pozwolą raczej, aby zbutwiały, niż zainteresują się ich treścią ... Kto wie?

Niewykluczone, że uda ci się przekonać jakiegoś faceta z biura Kuipesa, aby zagubił gdzieś duplikaty, zanim zdążą je przesłać do Centrali ... Na przykład Nelson ... on ma zawsze takie głodne spojrzenie ... Sam popatrzył nań badawczym wzrokiem i ciągnął, dalej

- Albo po prostu zrobisz to, co moim zdaniem rozwiązałoby tę sprawę bez większych kłopotów

...

- Co radzisz?

- Nie wracać.

Zgodnie z przepisami prawa zbiegów oczekiwały znacznie sroższe kary niż tych, którzy dopuścili się drobnego szwindlu w papierach. Dezercja była przecież równa zdradzie.

- Nie wygłupiaj się! - jęknął Max.

- A spróbujmy przebiec w myśli rozkład jazdy ... - zaproponował Sam - Na początku mamy planetę Garsona ... kolonia pod kopułą, tak samo jak na Marsie, czy Księżycu. W takich inkubatorach na ogół panują rządy niewiele różne od władzy azjatyckich tyranów ... albo będziesz wykonywał rozkazy, albo przestaniesz oddychać. Żadna możliwość ucieczki nie istnieje, bo i dokąd, skoro wszystko przykryte jest kopułą? Co prawda, można zrzucić skórę, niczym wąż i zmienić twarz, ale nie zmienia to faktu, że ciągle tkwisz w tym samym miejscu. Więcej wolności mielibyśmy na Terrae. Z kolei Pegazi VI Halycon... całkiem niezły, tylko trochę zimny ... Poza tym import przeważa tam nad eksportem, w sklepach wyprawiają się istne rzeźnie i dlatego władze są skłonne nawet spod ziemi wygrzebać tego, kto bezprawnie pozbawia prawowitych obywateli trudno dostępnych dóbr konsumpcyjnych ... a niczego nie można tam dostać za darmo. Później mamy Terrae Novae ... Beta Aquarii X. Mam wrażenie, że właśnie dokładnie tego szukamy.

- Byłeś tam kiedyś?

- Raz. I powinienem był tam pozostać. Wyobraź sobie tylko coś w rodzaju Ziemi, lecz znacznie piękniejsze, o łagodniejszym klimacie, większym bogactwie ...

- A nie zechcą nas ścigać?

- Zbyt wielki obszar do przeczesania. Koloniści potrzebują po prostu siły roboczej i nie przejmują się ustawami. Poza tym nikt nie ośmieliłby się poszukiwać dezertów poza wielkimi miastami.

- Dlaczego?

- Bo to się nie opłaca. Pewnego razu wysłali urzędnika za jakimś zbiegiem, lecz gdy chłopaczek rozejrzał się po okolicy, spostrzegł jakąś złotowłosą dziewczynę, córkę pobliskiego farmera. Pogłównował, porozmyślał i w ciągu kilku dni ubił interes. Został pełnoprawnym członkiem rodziny, zapuścił brodę, zmienił nazwisko, a o powrocie do miasta nawet nie chciał słyszeć. Farmerzy mają przeciętnie od ośmiorga do dziewięciorga dzieci, a nawet sam rząd centralny nie jest w stanie zmienić ludzkiej natury.

- Nie chcę się żenić!

- To już twoja sprawa. Najważniejsze jednak, że na tej planecie nikt nikogo do niczego nie zmusza. Poza miastami nie płaci się żadnych podatków i nikt nikogo za to nie karze. Jest więcej pracy, niż wolnych rąk i dlatego nikt nie interesuje się cudzymi sprawami. Każdy ma wystarczająco dużo własnych.

Max usiłował wyobrazić sobie tę idyllę, lecz nie był w stanie, gdyż nigdy w życiu czegoś podobnego ani nie doświadczył, ani nawet nie widział.

- A gildie ... nie protestują?

- Jakie gildie? ... Oczywiście na początku Domy Matki podniosły wielki rwetes, ale ponieważ rząd nie poparł protestu, wszystko ucichło. Oni nie są tacy głupi, jak się to wydaje. Dobrze wiedzą,

że nie można przelać wody z oceanu za pomocą łupiny orzecha.

- I tam właśnie chcesz osiąść na stałe? ... Brzmi całkiem zachęcająco ...

- Nie tylko brzmi. Tak po prostu jest, możesz mi wierzyć. Poznałem tam dziewczynę ... Hm ... z pewnością już dawno temu wyszła za mąż. Z tymi sprawami nikt tam nie zwleka, ale to nie powód do płaczu. Jej siostry są przecież jeszcze wolne. Posłuchaj, jak to sobie wyobrażam.

Gdy tylko staniemy na lądzie, nawiążę z nimi kontakt, a ostatniej nocy tuż przed startem zwieję. Będę gnał w takim tempie, że po chwili ale będę widoczny nawet w postaci małej plamki na horyzoncie. Ciemności powinny mi ułatwić całe to przedsięwzięcie. A później ... - rozmarzył się - ... później wyciągnę się nad szemrzącym strumykiem w jednym z dziewiczych lasów, zacznę hodować brodę i pomyślę o nowym nazwisku. Max niespokojnie spojrzał to w jedną, to w drugą stronę.

- Zastanowię się ...

- Zrób to. Mamy przed sobą jeszcze kilka tygodni. To dużo czasu do namysłu. Powstał.

- Muszę już iść, zanim ten stary osioł Dumont zacznie rozmyślać, gdzie utknąłem. Weź pod uwagę, że stanowimy spółkę: sam niewiele zdziałasz. Poza tym najprostsze drogi nie zawsze są najlepsze.

Obowiązki zawiodły Maxa na pokład G, gdzie musiał wymienić piasek w skrzynkach dla kotów jeszcze przed pobudką pasażerów. Chętnie obejrzałby sobie sterownię, lecz, niestety, centrala dowództwa leżała Jeszcze wyżej, niż kabiny pasażerskie, a tam nie miał już nic do roboty.

Najczęściej odwiedzał swoje psy i koty. Niekiedy przychodzili ich właściciele, chcąc sprawdzić, jak się wiedzie ich milusińskim. Przy okazji wciskali Maxowi napiwki.

Jego chłopska duma nie pozwalała mu korzystać z tej pańskiej łaski, lecz gdy Sam dowiedział się o tym, szybko go zmonitował.

- Nie bądź idiotą. Oni mogą sobie na to pozwolić, a ty jesteś od tego, by im dziękować. Gdzie ty masz chłopie rozum?

Jedynym pozaziemskim stworzeniem, które powierzono pieczy Jonesa była małpa-przedrzeźniaczka - zwierzę, pochodzące z Hespery. Gdy Max rozpoczął swą służbę na "Asgardzie", znalazł je w klatce, przeznaczonej z pewnością na potrzeby kotów. Po otwarciu drzwiczek dostrzegł małpie oblicze, które na jego widok cofnęło się w głąb.

- Hallo, człowieku.

Wprawdzie już wcześniej wiedział, że niektóre z tych stworzeń umieją naśladować ludzką mowę, niemniej był zaskoczony.

- Hallo ... - odparł, podchodząc bliżej - Mój Boże, jakiś ty biedny !

Zwierzę miało lekko połyskujące zielone plecy, zaś skóra na bokach i brzuchu przechodziła w głęboki oranż.

- Chcę na spacer ... - zawołał płacząco więzień.

- Nie mogę cię wypuścić. Mam zbyt dużo innych zajęć. Na klatce zauważył tabliczkę z metryką stworzenia.

"Mr. Chips, peudocanis heiapoda hesperae.

Właściciel: miss E. Coburn, A-092".

Pod tą wizytówką był dokładny opis, jak należy odżywiać zwierzę i obchodzić się z nim.

Mr. Chips jadł robaki, których wystarczająco duży zapas zgromadzono w lodówce H-118, owoce i warzywa, zarówno gotowane, jak i surowe, a ponieważ nie było na statku ani trawy morskiej, ani karczochów, powinien otrzymywać codziennie nieco jodu.

Max przetrząsnął swą pamięć, przywołał wszystkie wiadomości, jakimi dysponował na temat tego rodzaju stworzeń, po czym doszedł do wniosku że wskazówki były całkiem rozsądne.

- Chcę na spacer! - domagał się mr. Chips. Ten apel chwycił za serce.

Pomieszczenie, przeznaczone w zasadzie dla kotów, było zbyt małe dla obecnego gospodarza. Ponieważ całe szczęście nie zapomniano o wbudowaniu drzwiczek, nic nie stało na przeszkodzie, aby zadośćuczynić tej prośbie. Ale przedtem trzeba załatwić codzienne obowiązki,

- Jeśli cię wypuszczę, czy zechcesz później wrócić do klatki? Zwierzę zaczęło się zastanawiać.

Najprawdopodobniej skomplikowana budowa zdania i bogate słownictwo przekraczało jego semantyczne zdolności, gdyż po chwili powtórzył samym tonem:

- Chcę na spacer!

Max w końcu ustąpił.

Gdy tylko skrzypnęły drzwiczki, zwierzątko wskoczył mu na ramię i zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Cukier! - zabrzmiało kolejne żądanie.

Max pogłaskał stwora.

- Przykro mi, ale nie przewidziałem tej możliwości.

- Cukier!

- Nie mam cukru.

Mr. Chips raz jeszcze powołał żądanie, a ponieważ niczego nie wskórał, ulokował się na ręce Maxa, gdzie - jak się wydawało - zamierzał spędzić co najmniej tydzień, a może i dłużej.

Gdy Jones próbował z powrotem wsadzić go do klatki, musiał stoczyć prawdziwą walkę, która trwała z małymi przerwami ponad dwadzieścia minut.

Mr. Chips wskoczył na drugą skrzynię i wprawił koty w stan, graniczący z obłędem wojen religijnych. Dopiero kiedy się zmęczył, ponownie usiadł na ramieniu Maxa i chociaż ten ostatni prosił, groził a nawet zaczął płakać, za żadną cenę nie dał wpakować się do klatki. Nie pozostawało nic innego, niż tylko obnosić go po pokładzie, aż zaśnie. To był oczywiście poważny błąd.

Ponieważ dozorca dopuścił do precedensu, od tej chwili za każdym razem gdy otwierał klatkę, musiał liczyć się z tym, że będzie skazany na odgrywanie roli niańki i to przez kilka ładnych godzin. Kim jednak była miss Coburn, figurująca na tabliczce jako właścicielka tej egzotycznej bestii?

Wszyscy inni posiadacze zwierząt stawili się już w przechowalni, aby zobaczyć, jak wiedzie się ich faworytom. Jedynie miss Coburn zwlekała z dopełnieniem tego towarzyskiego obowiązku.

Po pewnym czasie Max zaczął ją sobie wyobrażać jako skwaśniałą starą pannę, która otrzymała mr. Chipsa w formie podarunku pożegnalnego, choć ofiarodawca dobrze wiedział, że ta kobieta nie znosi zwierząt. Im bardziej umacniała się jego przyjaźń z dziwnym stworem, w tym bardziej ponurych barwach widział obraz jego właścicielki. "Asgard" już od tygodnia pruł w przestrzeni kosmicznej i tylko jeden dzień dzielił statek od przejścia na nową trajektorię lotu, gdy wreszcie otrzymał możliwość porównania swych wyobrażeń z oryginałem. Właśnie czyścił stajnie, jak zwykle w nieodłącznym towarzystwie zwierzęcia, siedzącego mu na ramieniu, gdy z przechowalni zwierząt dobiegł go jakiś wysoki, ostry głos.

- Kr. Chips? ... Mr. Chips! ... Gdzie jesteś?

Małpa-pająk wyprostowała się, przez moment nasłuchiwała, aż wreszcie odwróciła głowę. Prawie w tej samej chwili w drzwiach stanęła właścicielka.

- Ellie! - pisnął mr. Chips i w mgnieniu oka wylądował w ramionach dziewczynki. Tak, to była dziewczynka!

Max miał wystarczająco dużo czasu, by móc się jej przyjrzeć: miała szesnaście, może siedemnaście lat. W żaden sposób nie można jej było nadać tytułu "piękności", zaś wyraz twarzy, jaki przybrała, jeszcze bardziej pogłębiał jej brzydotę.

Po kilku sekundach wzajemnych pieszczot, obmacywań i pocałunków dziewczynka spojrzała na Maxa, pytając ponuro.

- Co pan zamierzał zrobić z mr. Chipsem? ... Proszę natychmiast odpowiedzieć!

- Nic - odparł krótko - Proszę o wybaczenie, lecz muszę zająć się własną pracą ...

To mówiąc pokazał jej plecy i chwycił za miotłę.

Dziewczynka była jednak nieustępliwa. Chwyciła go za ramię i zmusiła by na nią spojrzeć.

- Proszę natychmiast odpowiedzieć. W przeciwnym razie złożę skargę do kapitana ... Tak, tak ...

Ja nie żartuję.

Max policzył do dziesięciu.

- To pani słuszne prawo, panienko ... - odezwał się nadzwyczaj spokojnym, nieco scenicznym głosem - ... Ale po pierwsze: proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa i kto panią upoważnił, aby mogła pani wejść do tego pomieszczenia? Zgodnie z rozkazem kapitana to wszystko, co pani widzi,

włącznie ze zwierzętami, zostało powierzone mojej pieczy i ja sam odpowiadam za to, co się tu dzieje.

W tej chwili szermował fragmentami regulaminu pokładowego, choć dobrze wiedział, że były one dość dowolnie wybrane.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Jak to? ... Przecież jestem Eldreth Coburn - odparła takim, tonem, jakby wypowiadała prawdy oczywiste.

- A co pani tu robi?

- Przyszłam zobaczyć mr. Chipsa ... nic poza tym.

- W porządku, panienko. Ale odwiedziny są dozwolone tylko w określonym czasie. Gdy się skończą, proszę odnieść swego milusińskiego do klatki i nie niepokoić innych zwierząt. Dokarmianie surowe wzbronione.

Chciała już coś odpowiedzieć, lecz w porę ugryzła się w język. Tymczasem mr. Chips nasłuchiwał rozmowy, znacznie przekraczającej jego zdolności pojmowania, choć oczywiście bez trudu wyczuł podniecenie obojga ludzi. Gdy umilkli, wyciągnął jedno ze swych ramion i poskubał Maxa w rękę.

- Max! - wykrzyknął radośnie - Max!

Misa Coburn ponownie przybrała zdziwioną minę.

- Czy to pańskie imię?

- Tak jest, panienko. Max Jones. Przypuszczam, że ten zwierzak chciał mnie panience przedstawić. Prawda? ...

- Max! - powtórzył mr. Chips - Ellie!

Eldreth Coburn wbiła wzrok w podłogę, a gdy znowu spojrzała na Jonesa, jej twarz ozdabiał wymuszony uśmiezek.

- Widzę, że jesteście dobrymi przyjaciółmi ... - rzekła przepraszającym tonem - Proszę o wybaczenie, ale chyba znowu straciłam umiar ... Ja i moja jadaczka ...

- Jestem przekonany, że nie ze złej woli ... - uspokoił ją Max ciągle tym samym tonem formalisty. Lecz Ellie mówiła dalej.

- Nie mogłam się pohamować ... Taka już jestem. Naprawdę żałuję ... Jest mi niewypowiedzianie przykro, ale poniosły mnie nerwy. Gdy zobaczyłam otwartą klatkę, przyszło mi do głowy, że ktoś porwał Chipsa.

Max musiał uśmiechnąć się wbrew woli.

- Z pewnością. Nie mam tego pani za złe. Była pani po prostu przestraszona.

- Tak. To prawda. Byłam wręcz przerażona. Rzuciła nieśmiałe spojrzenie.

- Chips nazywa pana "Max". Czy ja też mogłabym się tak zwracać?

- Czemużby nie? Każdy mnie tak nazywa. W końcu to moje imię.

- W takim razie proszę się do mnie zwracać "Eldreth", albo po prostu "Ellie".

Pozostała w stajni, bawiąc się ze zwierzakiem, aż do chwili, gdy Max skończył swoją pracę. Kiedy odstawił miotłę i spojrzał nią, odezwała się nieco przekornie.

- Pójdę już ... W przeciwnym razie znowu coś sknocę.

- Przyjdzie pani znowu?

- Oczywiście.

- Hm ... panienko ... Eldreth ...

- ... Ellie ...

- Tak jest ... Ellie ... Czy mógłbym zadać pani jedno pytanie? Nie czekał na zgodę, lecz ciągnął

dalej.

- Być może to nie wypada, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pani tak długo nie przychodziła?

Przecież ten zwierzak był straszliwie samotny. Z pewnością myślał, że zapomniano o nim.

- Nie "on", lecz "ona".

- Co proszę?...

- Mr. Chips jest dziewczynką ... - wyjaśniła - To był błąd, który każdemu może się przydarzyć.

Gdy się zorientowaliśmy, było już za późno, aby cokolwiek zmienić. Nie przeżyłaby łatwo takiego wstrząsu, W tej samej chwili zwierzę ukazało jedną ze swych bardziej promiennych min i wykrzyknęło radośnie.

- Mr. Chips jest dziewczynką. Cukier, Ellie?! ...

- Następnym razem, skarbeczku.

Max nie sądził, aby kwestia imienia była aż tak ważna, skoro inne zwierzęta tego gatunku, a zwłaszcza samce, znajdowały się w odległości kilku lat świetlnych od mr. Chipsa.

- Ale pani nie odpowiedziała jeszcze na moje pytanie.

- Tak. Omal nie oszalałam z rozpaczy, gdy nie pozwolili mi tu przyjść.

- Kto?

- Kapitan i pani Dumont.

Max stwierdził, że ta niejasna odpowiedź nie zadowalała go tak samo, jak jej brak.

- Widzi pan ... przywieźli mnie na ten statek karetką pogotowia Nic groźnego, po prostu gorączka, spowodowana głupim zatruciem mięsnym. Pani Dumont oświadczyła, że nie powinnam schodzić niżej, niż na pokład C, bo choć lekarz w końcu pozwolił mi wstać z łóżka, nie powinnam się stykać z brudem. Muszę przyznać, że ta kobieta nie ma najlepszego zdania o czystości, panującej na niższych poziomach.

Max rozumiał, czemu stewardessa nie chciała pozwolić na samotne wycieczki w rejony kajut załogi - już kilka razy słyszał ten wesoły ton swych kolegów, rozprawiających o pasażerkach. Nie sądził jednak, aby te ostrożności były naprawdę konieczne - w razie zaistnienia jakiegokolwiek incydentu kapitan Blaine z pewnością umiałby znaleźć winnego i bez dłuższych dochodzeń po prostu wyrzuciłby go za burtę.

- Dlatego przyszedłam tu w tajemnicy. Zapewne już mnie szukają. Muszę, wracać.

Wszelako mr. Chips za nic nie chciała słyszeć o rozstaniu. Zwierzę uczepliło się w dziewczynę wszystkimi ramionami i zaczęło szlochać. Raz po raz wykrzykiwała rozpaczliwie - "Ach, kochanie" i ocierała piąstką łzy, gęsto skapujące z oczu.

Mr. Chips była w stanie wzruszyć nawet kamień.

- Chyba goją trochę rozpieściłem - zaniepokoił się Max, po czym opowiedział o swych wędrówkach ze zwierzęciem na ramieniu. Eldreth zaczynała się niepokoić.

- Ale ja już muszę wracać. Co mam robić?

- Trzeba zobaczyć, czy zechce wrócić do swej dawnej niańki. Mr. Chips dała się w końcu namówić. Eldreth przekonała ją lekkim klapssem, dlatego minęło nieco więcej czasu, niż zazwyczaj, zanim zasnęła i została ulokowana w klatce.

Max miał zamiar czuwać podczas pierwszej zmiany kursu, lecz zasnął w środku nocy i przegapił tę niezwykłą chwilę. Obudzono go o piątej

rano czasu pokładowego. Wściekły wskoczył w ubranie, po czym popędził na górę.

Korytarze pokładu pasażerskiego były zupełnie puste - nawet ranne ptaszki miały zwyczaj wstawać najwcześniej o szóstej, czyli pozostawała im jeszcze prawie godzina spokojnego snu.

Max ruszył do salonu. Podszedł do ogromnego wizjera, ulokowanego tu dla wygody pasażerów i wyjrzał w Kosmos. Gwiazdy wyglądały zupełnie normalnie - jedynie znane z Ziemi konstelacje gdzieś znikły. Pozostała jedynie stara, poczciwa Droga Mleczna - dla zbiorowiska gwiazd o przekroju kilkuset tysięcy lat świetlnych ta niewielka zmiana kursu niewiele znaczyła. W końcu czy można porównywać marne sześćdziesiąt lat świetlnych z setkami tysięcy?

Spośród morza połyskujących punkcików jeden świecił szczególnie mocno. Max sądził, że ta jasnożółta gwiazda to Theta Centauri - słońce planety Garsona - miejsca ich pierwszego postoju.

Tymczasem, ponieważ nie chciał, aby ktokolwiek dostrzegł go w miejscu, gdzie w zasadzie nie powinien przebywać, wziął się do pracy.

Lot do planety Garsona, nawet mimo potężnej szybkości, jaką rozwijali, trwał prawie miesiąc. Eldreth odwiedzała dolny pokład nieomal codziennie: po pierwsze - aby spotkać się z mr. Chipsem, po drugie - aby mieć okazję do poplotkowania z Maxem, z którym grała także w trójwymiarowe szachy.

Dzięki temu Jones mógł się dowiedzieć, że choć Bllie urodziła się w Auckland na Terrae, swą prawdziwą ojczyznę znalazła na Hesperze.

- Ojciec wysłał mnie na Terrae, abym nabrała manier i ogłady, ale jak zwykle, nic z tego nie wyszło.

- Jak mam to rozumieć?

- Po prostu. Jestem, jak sam widzisz, dość żywą osobką i szybko zyskuję tak przyjaciół, jak wrogów. Trudno ze mną wytrzymać, dlatego ojciec wezwał mnie z powrotem do domu. Szach! ... Chipsie, postaw tę figurę na właściwe miejsce ... Coś mi się zdaje, że ta mała diablica chce przechylić szalę na pańską stronę, Max.

Wreszcie udało się Maxowi pozbierać wszystkie części tej skomplikowanej mozaiki i wyrobić sobie właściwy obraz całej sprawy. Szkoła miss Mimsey była już trzecią z kolei instytucją oświatową, która podjęła ryzyko udzielenia Ellie stosownych nauk. Tak, jak w dwóch pozostałych zakładach, tutaj także Eldreth rozpętała istną burzę, puściła w ruch cały aparat szkolnego terroru i odleciała z Ziemi, której nigdy nie darzyła zbyt dużą sympatią.

Ojciec, który był wdowcem, z całego serca pragnął, aby jego córka posiadała bodaj minimum wiadomości, koniecznych do prowadzenia normalnego życia, jednak Ellie miała za sobą przewagę lepszych pozycji strategicznych. W każdej chwili mogła sprzeciwić się jego woli, gdyż doprowadzenie pełnomocników ojca do białej gorączki nie przedstawiało dla niesfornej dziewczicy najmniejszej trudności. I tym razem dopięła swego. Sam popełnił poważny błąd, próbując osmieszyć ich przyjaźń.

- Czy zabrnąłeś już aż tak daleko, że trzeba będzie ustalić datę ślubu?

- O czym mówisz?

- Nie zgrywaj się przede mną. Cały statek trąbi o waszych zaręczynach i chyba tylko sam kapitan

trwa w błogiej nieświadomości. Czy myślisz, że ja także dam się wydrwić?

- Przestańże wreszcie! Naprawdę nie wiem, do czego pijesz.

- Zrozum mnie dobrze, Max ... - ciągnął nieubłaganie - ... nie chcę w tym momencie uprawiać żadnych złościwości. Po prostu wyrażam swe najwyższe zdumienie. Nigdy jeszcze nie przyszło mi do głowy, aby zarzucić wędkę na taką grubą rybę. Istnieją trzy skuteczne sposoby, żeby się odkuć w tym parszywym życiu: po pierwsze - pracować w, pocie czoła, po drugie - urodzić się w dobrej rodzinie, po trzecie: - wżenić się w dobrą rodzinę. Z tego wszystkiego najlepsza jest ta druga ewentualność, ponieważ ... Na Boga! Czemu się tak denerwujesz, ja tylko żartuję!

- Odszczekaj to ostatnie zdanie!

- W porządku, wycofuję się, nigdy tego nie mówiłem. Już dobrze, dobrze ... Czemuś taki przewrażliwiony? Po prostu się dziwiłeś, a ty mnie źle rozumiałeś! Skoro tak, to przepraszam.

- Ale ... - Max nie umiał obrócić wszystkiego w żarty. - ... ale ja wiem, że nie mówiłeś serio.

Tylko skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym myśleć o żeniacze, skoro mamy we dwóch ...

- Człowieku, czy ty nie umiesz mówić ciszej? ... - wyszeptał Sam...

- A tak mimochodem: zdążyłeś się już zastanowić nad moją ofertą?

- Tak. To jedyne rozsądne wyjście. Nie wracam na Ziemię.

- Kochany chłopie! - wyciągnął ręce - Nigdy tego nie pożałujesz. Jednak po chwili na jego twarzy ukazał się wyraz zakłopotania.

- Ale musimy zdobyć kupę forsy.

- Przecież chyba już coś zarobiliśmy na tej krypie!

- Nie wygłupiaj się. Jeśli tylko zechcesz podjąć z kąta jakąś zna cniejszą sumę, możesz być pewny, że cię nie wypuszczą ze statku, aż na Ziemi. Trudno. Oszczędzaj swe napiwki, staraj się o więcej i zostaw wszystko mnie. Ja już się tym zajmę.

- Ale jak?

- Istnieje wiele możliwości. Nie twój interes ...

- Świetnie. Powiedz mi tylko, o czym myślałeś, gdy ... Załóżmy, że naprawdę chciałbym poślubić Ellie ... To czysta teoria, gdyż ona jest jeszcze dzieckiem, a ja z pewnością nie stanowiąc dobrej partii... ale załóżmy tę ewentualność. Co to w ogóle obchodzi wszystkich ze statku? Sam sprawiał wrażenie człowieka porządnie zaskoczonego.

- Jak to? Czy ty naprawdę nie wiesz, kim ona jest?

- A co miałbym wiedzieć? Nazywa się Eldreth Coburn, wraca do domu, pochodzi z Hespery. Czy coś jeszcze?...

- Biedaku! W takim razie nie wiesz, a i ona ci nie powiedziała, że jest jedyną córką Jego Ekscelencji Sir Johna Fitzgeralda Coburna, generała w stanie spoczynku, OBE, KB, OSU, a także prawdopodobnie XYZ. Ojciec Ellie jest ambasadorem, a także urzędującym przedstawicielem Najwyższego Komisarza.

- Mój Boże!

- Rozumiesz teraz wszystko, naiwniaku? Jeśli jesteś z nią, w tak serdecznych stosunkach, powinieneś to wykorzystać, dopóki jeszcze nie dobiliśmy na Hesperę.

- Powinienem ci w tej chwili urwać głowę! Ona jest zbyt miła, by móc z nią tak postępować.

- Z pewnością ... - zachichotał Sam - Ale sam dobrze wiesz, że trzeba korzystać z deszczu, dopóki pada.

Wiadomość o ojcu Eldreth wprowadziła Maxa w duże zakłopotanie. Oczywiście, przypuszczał, że nie należy do grupy zwykłych zjadaczy chleba - w przeciwnym razie nie mogłaby sobie pozwolić na luksus lotu w kabynie pasażerskiej, ale bogactwa się nie obawiał. Jednak nowina o tak wysokich

koneksjach była nie do zniesienia.

Postanowił, że skończy ten romans. Miał zamiar w ten sposób ułożyć swój rozkład zajęć, aby mógł ze spokojnym sumieniem oświadczyć Ellie, że nie ma czasu na gry w szachy. Ciekawe, jak na to zareaguje? Ellie po prostu rzuciła zabawę i zaczęła mu pomagać, aby mógł szybciej skończyć. Dlatego musiał uderzyć bez zastony dymnej.

- Widzisz, Ellie ... pasażerowie, którzy przychodzą tutaj, odwiedzają zwierzęta, zaczynają coś plotkować na nasz temat. Jestem zdania, że nie powinna pani zadawać się dłużej ze mną.

- Bzdura!

- O, nie. Choć oboje dobrze wiemy, że to tylko niewinna zabawa, skąd mają wiedzieć o tym wszyscy inni?

Wysunęła wzgardliwie dolną wargę.

- Czy i z panem muszę się pokłócić? Mam wrażenie, że pobierał pan nauki u miss Mimsey.

- Skądże znowu. Oczywiście, może pani nadal odwiedzać Chipsie, ale lepiej będzie, jeśli zechce pani przychodzić w towarzystwie innych pasażerów.

Już miała na końcu języka ostrą ripostę, lecz rozmyśliła się i wzruszyła ramionami.

- W porządku. Nie powiem żeby tu było przyjemnie rozmawiać. Zgoda. Dlatego już od dzisiejszego popołudnia, gdy tylko skończy pan pracę, będziemy się spotykali w bawialni. Liczę, że przyjdzie pan także wieczorem.

Max zaprotestował. Mr. Giordano z pewnością nie dopuściłby do tak ostentacyjnego łamania reguł, obowiązujących na statku. Lecz i na to miała gotową odpowiedź.

- Proszę się nie przejmować pańskim szefem. Mogę go sobie obwinać wokół małego palca ... - tę uwagę poparła oczywiście odpowiednim ruchem ręki.

Gdy Max wyobraził sobie opasłego mr. "Gi", kręcącego się wokół małego palca Ellie, umilkł na moment, lecz w końcu zdołał wydobyć z siebie głos.

- Chyba pani nie wie, że załoga nie ma prawa wstępu do salonu. To jest ...

- Ależ skądże. Przecież już nieraz zapraszałam mr. Dumonta i kapitana Blain'a na kawę.

- To zupełnie inna sprawa. Mr. Dumont jest oficerem, a jeśli kapitan pozwoli w tym wypadku będzie pan moim gościem.

- Nie. Tego zaproszenia nie mogę przyjąć. A kapitan ... Gdyby kapitan zobaczył nas teraz razem, chyba wyszedł by z siebie ... oczywiście nie z powodu pani, lecz z racji mojej bezczelności ... - usiłował wyjaśnić jej tę subtelną różnicę między prawami pasażerów a tym, co wolno było załozdzie - A gdyby jeszcze dojrzał mnie w salonie, osobiście pogoniłby mnie aż na pokład H. Niżej jest już tylko próżnia ...

- Nie wierzę ...

- To pani prawo ... - wzruszył ramionami - Ale dobrze. Przyjdę dzisiaj wieczorem, żeby się pani mogła przekonać na własne oczy, jak sprawy stoją. Oczywiście, sam kapitan nie wypchnie mnie z salonu ... to byłoby poniżej jego godności. Zastąpi go mr. Dumont, zaś jutro rano stanę przed kapitanem, który ukarze mnie wstrzymaniem żołądka ... co najmniej na miesiąc. Wreszcie zauważył, że przejęła się jego słowami.

- Na coś takiego mogę tylko odpowiedzieć, że to śmierdząca sprawa co cuchnie, aż pod niebiosa. Przecież wszyscy ludzie są równi ... Wszyscy ludzie! Tak mówi prawo!

- Czy aby na pewno? Moim zdaniem chyba tylko ci z góry ...

Wtem wstała i wyszła. Max musiał się zająć uspokajaniem mr. Chipsa, lecz nie było nikogo, kto mógłby dokonać tej sztuki. W końcu doszedł do wniosku, że dzień, kiedy wraz z Samem miał zniknąć ze statku, nadejdzie raczej nieprędko.

Następnego dnia Ellie znowu pojawiła się koło stajni, ale tym razem w towarzystwie pani Mendoza, która wyglądała niczym właścicielka cyrku na wakacjach. Eldreth zwracała się do Maxa tyleż uprzejmie, co bezosobowo, tonem szlachetnie urodzonej lady, która chce być miła dla służby. Gdy tylko jednak mrs. Mendoza znalazła się poza zasięgiem wzroku, szybko zmieniła ton.

- Max?

- Słucham, panienko.

- Chciałabym ... Max, jak nazywał się pański wujek? Czy przypadkiem nie Chester Jones?

- Tak, Ale dlaczego? ...

- Ach ... to nie ma właściwie nic do rzeczy ... - dokończyła zupełnie innym głosem, gdyż pani Mendoza zbliżyła się na niebezpieczny dystans. Temat upadł. Następnego dnia rano wezwał go szef kantyny.

- Hej ... Lec chłopcze do grubasa. Kazał cię natychmiast przysłać do biura. Chyba czeka cię ciężka przeprawa.

Max wymagłował wszystkie płaty mózgowie, próbując przypomnieć sobie, czy przypadkiem czegoś nie przeszkrobał. Ponieważ jednak nic nie przychodziło mu do głowy, zaczął się obawiać, że za tym wszystkim stoi Ellie i już z góry usiłował stłumić potężny strach. Gdy stanął przed szefem, nie zauważył nic niezwykłego. Mr. Giordano poinformował go tylko krótko.

- Proszę się zgłosić do biura rachmistrza. Szybko!

Max pognał w stronę biura.

Głównego rachmistrza nie było. W zastępstwie gospodarza przyjął go mr. Kuipes, który chłodnym okiem zmierzył go od stóp do głów i zakomenderował sucho.

- Proszę się ubrać w czysty mundur, a później biegiem do kajuty kapitana. Max stał nieporuszony. Przełknął tylko ślinę.

- Czego jeszcze? Wykonać rozkaz!

- Proszę o wybaczenie ... - wyrzucił z siebie Max, prężąc się służbiście - ... ale nie wiem, gdzie jest kabina kapitana!

- Chyba żartujesz, chłopcze! Pokład A, 09.

Max ruszył.

Kapitan był właśnie u siebie. Oprócz gospodarza dostrzegł mr. Samuela - głównego rachmistrza, mr. Walthera - pierwszego oficera oraz doktora Hendrixa - astronautę.

Szybko przypomniał sobie, co powinien powiedzieć.

- Pomocnik stewarda trzeciej klasy, Jones Max melduje się na miejscu.

Kapitan Blaine spojrzał nań niechętnie.

- Ach, to pan ... Proszę zająć miejsce - wskazał krzesło, po czym zwrócił się do pierwszego oficera.

- Sądzę, że w tej sytuacji jest to jedyne rozsądne wyjście, choć może się wydawać nieco drastyczne. Czy panowie mnie zrozumieli? Rachmistrz skinął głową.

Max zaczął rozmyślać, jak bardzo drastyczne było to rozwiązanie i czy będzie w stanie jakoś to przeżyć.

- W księdze pokładowej zapiszemy to jako sprawę precedensową, a ja sam sporządzę dla Centrali oddzielne wyjaśnienie. W końcu przepisy są po to, aby je łamać. Na tym koniec.

Kapitan zwrócił się do biurka, dając tym samym do zrozumienia, że odprawę uważa za skończoną. Jednak pierwszy oficer pochylił się w stronę dowódcy.

- Panie kapitanie ... - wskazał na Jonesa. Kapitan ponownie podniósł wzrok.

- Ach, rzeczywiście! Młody człowieku, nazywacie się Jones?

- Tak jest, sir!

- Właśnie przeglądałem pańskie papiery. Widzę, że próbował pan kiedyś szczęścia w roli kartografa ...

- Tak jest, sir!

- Czy to panu nie odpowiadało?

- Nie, panie kapitanie! ... - zaczął rozmyślać, co w tych okolicznościach odpowiedziałby Sam.

- ... To było tak, że ... prawdę mówiąc nie robiłem tam nic innego, tylko czyściłem popielniczki w saunie ... w centrali dowodzenia ... Kapitan uśmiechnął się krótko.

- Może tym razem coś z tego wyjdzie. Czy miałby pan ochotę, aby spróbować raz jeszcze?

- Co? ... Tak jest, sir.

- Kapitanie! ... - to padło z miejsca, gdzie siedział rachmistrz.

- Słucham ...

- Kapitanie ... na ogół nie widzę żadnych przeszkód, jeśli ktoś ma pełnić dwa razy tę samą pracę, ale tym razem mamy jeszcze ... tę sprawę osobistą ...

- Hm ... rzeczywiście. Ale co to ma do rzeczy?

- Wiele, kapitanie. Na swoim obecnym stanowisku nie musi się przepracowywać ... - roześmiał się rubasznie - Pilnuje stajni. Ma czas na amory.

Kapitan także się uśmiechnął i zwrócił się do astronauty.

- Nie widzę żadnych przeszkód.

- Kelly jest gotowy, aby go przyjąć. Potrafi to zrozumieć ...

- Dobrze. Jeśli teraz ...

- Jeszcze moment, kapitanie ... - astronauta zwrócił się do Maxa - Jones ... pan miał krewnego w mojej gildii ...

- Tak jest. Wujka. Chestera Jonesa ...

- Służyłem pod jego dowództwem. Mam nadzieję, że pan zachował coś z jego talentu w zapamiętywaniu liczb ...

- Ja także, sir.

- Zobaczymy. Proszę się zgłosić do szefa rachmistrzów.

Maxowi udało się odnaleźć drogę do sterowni, nie pytając nikogo o kierunek, choć przecież nie wiedział, dokąd go nogi niosą.

Nieoczekiwany awans zmienił jednocześnie wszystkie plany życiowe Maxa. Zmiana stanowiska nie poprawiła tylko jednego - jego stosunków z pozostałymi członkami załogi.

Mr. "Gi" po prostu go nie zauważał - gdyby Max w porę nie uskakiwał gdzieś na bok, zostałby z pewnością rozdeptany przez grubasa. Awans Jonesa odczuwał najwyraźniej jako osobistą zniewagę. W centrali dowodzenia pracowało siedem osób - dwóch oficerów oraz : doktor Hendrix /astronauta/, mr. Simes /zastępca/, Kelly /główny rachmistrz/, Kovak /kartograf I klasy/, Smythe /kartograf II klasy/, Noguchi i Lundy /obaj rachmistrze II klasy/.

Był tu jeszcze Bennet /telegrafista I klasy/, lecz on właściwie nie należał do ścisłej obsady sterowni, choć właśnie w "saunie" pracował - statki kosmiczne raczej rzadko porozumiewały się z Ziemią - właściwie jedynie na początku podróży i przy lądowaniu. Dlatego Bennet pełnił drugą funkcję - był drugim sekretarzem kapitana. Ponieważ znaczną część lotu spędzał, leżąc w śpiworze, nazwano go "Workiem". Jako że "Asgard" cały czas pędził z pełną szybkością, wszyscy już zdążyli zapomnieć owe wspaniałe dni lotów gwiazdnych, gdy na dziesięć minut nawigacji przypadał tydzień beczynności - wówczas statek leciał siłą bezwładności, zdany na łaskę losu.

Na pokładzie "Asgarda" nie było żadnych praktykantów, którzy przysposabialiby się do trudnego fachu astronautów, dlatego obaj oficerowie musieli pełnić non-stop wachty, zmieniając się co jakiś czas /kapitan Blaine posiadał oczywiście stosowny patent gildii, lecz z racji swego stanowiska nie mógł pomagać podwładnym/. Gdyby nie Kelly, który ochotniczo włączył się w cykl dyżurów, życie w sterowni byłoby naprawdę nie do zniesienia. Pozostała czwórka musiała więc dawać sobie radę z najróżniejszymi obowiązkami, jakie spadały na nich w wymiarze znacznie przekraczającym to, czego nauczyli się w szkole - czego jeszcze nie umieli, szybko sobie przyswajali. W przeciwnym razie długo nie zagrzałiby tu miejsca. Ponieważ wszystko podporządkowane było rytmowi wacht, Max musiał się przystosować. W zasadzie nie przydzielono mu żadnego samodzielnego dyżuru, gdyż przedtem miał przejść długi cykl szkoleniowy - dlatego praca zajmowała mu cztery godziny regularnej służby, a potem tyleż samo czasu wolnego - kiedy powinien był odpocząć, zjeść, umyć się oraz wyspać.

Niewiele sobie z tego robił - wręcz przeciwnie - na ogół wcześniej przychodził do pracy, zaś sterownię opuszczał dopiero pod przymusem. Znacznie później poinformowano go, że ten żelazny tryb życia był dziełem Kellye'a, który chciał go złamać i pognać do stajni, o ile by mu się to udało.

Nie wszystkie wachty stanowiły dlań jedynie pożyteczną rozrywkę. Po raz pierwszy pełnił dyżur pod dowództwem mr. Simes'a. Gdy wszedł po schodach, prowadzących do sterowni, najpierw stanął i rozejrzał się, pełen zdumienia.

Ze wszystkich czterech kątów dużego pomieszczenia obojętnym wzrokiem spoglądały nań kosztowne kamery. Miejsce głównego rachmistrza zajmował Lundy.

Popatrzył na przybysza, skinął w powitalnym geście, ale nie przemówił ani słowem. Mr. Sims siedział przy urządzeniu kontrolnym, naprzeciwko schodów. Nie mógł nie zauważyć wchodzącego, lecz zachowywał się tak jakby istotnie go nie dostrzegł.

Oczywiście było tu jeszcze mnóstwo wielu innych instrumentów, które znał albo z obrazków, albo z opisów. Musiał jednak przyznać, że większość z nich była mu całkowicie obca.

Przez kopułę wpadał wspaniały widok uniwersum gwiazd. Z otwartymi ustami zapatrzył się w górę.

Żyjąc i pracując w stajennych oparach nie miał jeszcze okazji, by móc zobaczyć coś podobnego,

choć przecież znalazł się w samym środku połyskujących mgławic.

- Ejże ... Proszę pana!

Max drgnął, spojrzął w stronę, skąd dobiegł głos.

Mr. Limes kiwnął nań palcem.

- Tutaj proszę ... Podeszedł bliżej.

- Czy pan nie wie, jak należy się meldować oficerowi, pełniącemu właśnie wachtę?

- Oh ... przepraszam ...

- Poza tym pan się spóźnił.

Max spojrzął na chronometr, połyskujący na pulpicie urządzenia kontrolnego - do pełnej godziny brakowało jeszcze pięciu minut. Jednak: Sims, nie zrażony, ciągnął dalej.

- To smutne, jeśli załoga wcześniej kończy pracę, niż oficer wachtowy ... Jak się pan nazywa?

- Jones, sir.

Mr. Sims wciągnął kilka razy powietrze nosem - był to całkiem młody mężczyzna o nalanej czerwieni twarzy i rzadkich, rudych włosach.

- Proszę zaparzyć świeżej kawy, Jones.

- Tak jest, sir.

Już miał zapytać, jak i gdzie ma to zrobić, lecz w porę zdołał się powstrzymać, gdyż Sims ponownie pograżył się w lekturze. Max rzucił rozpaczliwe spojrzenie w stronę Lundy'ego, zaś ten niemym spojrzeniem wskazał mu miejsce, w którym znalazł garnki. Gdy podał szefowi filiżankę, uznał, że jemu także się coś należy, Z kubkiem kawy usiadł nad maszyną liczącą.

Właśnie był zajęty smakowaniem aromatycznego napoju, kiedy z tyłu dobiegł go zirytowany głos oficera.

- A co to ma znaczyć, Jones? Zakładacie kafejkę? ...

- Słucham, sir?

- Proszę natychmiast zrobić tu porządek. Cała sterownia wygląda tak, jakby buszowało w niej stado świń.

Choć Max uważał, że jest zupełnie czysto z trudem znalazł kilka papierków, wetkniętych gdzieś po kątach, wyrzucił je do śmietniczki i usiłował doprowadzić lśniące okucia do zwierciadlanego połysku. Właśnie chciał zacząć tę samą pracę po raz drugi, gdy Lundy wezwał go do siebie. Miał mu pomóc przy wymianie płyt w kamerach. Trzymając w ręku skrzynkę z przyrządami obserwował, jak Lundy nastawia zegar elektroniczny. Tymczasem mr. Sims osobiście nacisnął jeden z wielu guziczków i była to chyba jedyna pracochłonna czynność, stora zmąciła jego spokój podczas tej wachty.

Lundy zdjął płytę, zajrzał we wpuszczony w ścianę spektrograf, odczytał zapis, wniósł go do książki, po czym wyzerował licznik.

Max usiłował nie pętać się pod nogami, tylko być pomocnym, oczywiście w miarę swoich skromnych możliwości. Przy okazji mógł się czegoś nauczyć. To była bardzo długa wachta.

Pijanym krokiem powędrował w końcu do swojej kabiny i rzucił się, na koję, wypłukany z wszystkich złudzeń, jakie do tej pory jeszcze żywił.

Zupełnie inaczej wyglądały dyżury z doktorem Hendrixem oraz Kellye'm. Zwłaszcza w obecności tego ostatniego "sauna" zaczynała przypominać miejsce, którego nazwę zapożyczono jako jej przezwisko. Kelly zachowywał się niczym perski satrapa: panował niepodzielnie ze swego fotela, mrużąc, przeklinając, domagając się nieustannie świeżej kawy, przycinał swoim podwładnym oraz pozwalał, aby mu odpowiadano, byleby tylko inteligentnie i złośliwie.

Gdy Kelly dowodził, Max nie miał czasu, aby choć raz dotknąć szmat, do ścierania kurzu: był

zbyt zajęty, nie tylko szybkim wypełnianiem łypiących się jak z rękawa poleceń, lecz także bacznym obserwowaniu procedury.

Uczył się ciągle, a fotograficzna pamięć była dlań najdoskonalszą pomocą. Kelly był zeń zadowolony.

- Mam wrażenie, że pan nieco przesadził, mówiąc, iż poprzednio czyścił pan tylko popielniczki.
- Z pewnością niezbyt wiele
- Na "Thule" pełnił wtedy służbę Johansen, o ile mnie pamięć nie myli. Mam rację?
- Chyba tak ... _ westchnął Max, ufając, że nie padnie więcej pytań o nazwiska, fakty i daty.
- No właśnie ... Ten idiota chyba jeszcze nigdy nie zadowolili własnej matki, poprawnie odpowiadając na pytanie, ile ma lat. W końcu doszło nawet do tego, że Kelly powierzył mu obliczenie współrzędnych kolejnej zmiany kursu. Noguchi zajął się tabelami, a sam rachmistrz objął rolę nawigatora. Cały ten proces przebiega "od ust do ust" - wszyscy podają jeden za drugim rzędy liczb, a kierujący akcją wciela je w konkretne manewry. Nierzadko zdarzało się już, że obciążeni ciężką pracą ludzie mylili się, zaś statek przekraczał prędkość światła, powodując śmierć całej załogi.

Tym razem cała zabawa przebiegała o wiele wolniej, niż jest to ogólnie przyjęte. Noguchi odszukał w tabelach odpowiednie liczby i wykrzykiwał je w kierunku Maxa. Początkowo chłopak się denerwował: palce zaczynały mu drżeć, tak, że z największym trudem wkładał w dziurki kolejne znaczki. W końcu opanował się i znalazł prawdziwą radość w przekonaniu, że urodził się do współpracy z maszyną.

- ... logarytm binarny z dziewięć koma osiem siedem zero dziewięć dwa ... - monotonicznie ciągnął Kelly.

Noguchi powtarzał tę samą kwestię równie monotonicznym głosem, lecz Max miał przed oczyma właściwą stronicę jeszcze zanim ten drugi skończył mówić. Nie włączając świadomego myślenia wprawnymi ruchami robił swoje.

- Błąd!!! - ryknął Kelly - Ty baranie, nie nanoś teraz żadnych współrzędnych, tylko poczekaj, aż Noguchi poda ci nowe dane ... Jak długo mam to jeszcze powtarzać?! ...

- Ale przecież ... - zaczął Max, przerywając posłusznie pracę. Aż do tej chwili nie przyszło mu nawet do głowy, że ktokolwiek z "Asgarda" mógłby cokolwiek zarzucić jego fenomenalnej pamięci.

- Co pan zrobił? ... - ciągnął Kelly i już chciał ruszyć z kolejnymi liczbami, gdy spojrzał na tablicę.

- Co to ma znaczyć?

Max wiedział, że racja jest po stronie Kelley'a.

Zawstydził się, jakby rzeczywiście popełnił jakiś błąd i zaczął nieśmiało wyjaśniać.

- Bo właśnie ... Przed chwilą naniósłem tu liczby, które za chwilę miał mi podać Noguchi. Pospieszyłem się ...

- Jak to? ... - popatrzył zdumiony szef - Czy pan umie czytać w myślach?

- Nie ... Tego jeszcze nie umiem. Ale te liczby są w porządku.

- Hm ... - Kelly pochylił się nad tablicą - Niech pan podaje te liczby, Noggy.

Noguchi wyrzucił z siebie całą litanię zer i jedynek. Kelly sprawdził naniesione współrzędne. Ściągnął wargi.

- Czy to przypadek, Max?

- Nie.

- Noggy, podaj mi książkę.

Kelly doprowadził zadanie do końca, podając Maxowi jedynie liczby w systemie dziesiętnym. Ten z kolei w mgnieniu oka zamieniał je na system dwójkowy i wprowadzał do maszyny.

- W porządku. Podarujmy sobie resztę - powiedział rachmistrz.

Maszyna w ułamku sekundy opracowała cały program, po czym wyświetliła wynik w postaci całej tabeli liczb, zapisanych w systemie dwójkowym. Kelly sprawdził go, używając tabel książkowych, spisanych w systemie dziesiętnym. Później raz jeszcze spojrzął na wydruk, zamknął opasły tom i oddał Noguchi'emu.

- A teraz koniecznie potrzebuję filiżanki kawy ... - wysapał, kierując się w stronę fotela.

Z kolei Noguchi porównał oba wyniki. Spojrzął na Maxa dość dziwnym wzrokiem i zatrzasnął książkę.

Jones stwierdził, że kawa nie pomogła rachmistrzowi - ciągle wpatrywał się weń z jakimś nabożnym strachem. Skoro zadanie wykonano, wyłączył maszynę. Światelka zgasły.

Nikt nie odezwał się ani słowem aż do końca wachty. Następny dyżur wypadł mu pod dowództwem doktora Hendrixa. W jego towarzystwie na nic nie mógł się skarżyć: był to miły, starszy pan, nie wadził nikomu i nikomu nie utrudniał życia. Kiedy jednak Max skończył wachtę, zatrzymał go na chwilę rozmowy.

- Kelly mówił mi, że uczysz się obsługiwać maszyny liczące.

- Tak jest, sir.

- Dobrze. A zatem poćwiczysz trochę razem ze mną. Ujął grubą księgę i wybrał zadanie podobne do tego, jakie niedawno zadał mu Kelly. Jones czekał, aż zacznie mu podawać translację na system dwójkowy, ponieważ jednak nic takiego nie nastąpiło, zaczął działać sam.

Historia powtórzyła się w ten sam sposób po raz drugi. Obecny w sterowni Kelly nic nie mówił, tylko z przygryzionymi wargami sprawdzał wyniki, podczas gdy doktor jednym tchem wyrzucał z siebie jedną kolumnę liczb za drugą. W końcu zamknął księgę.

- Wystarczy ... - westchnął, jak gdyby skończył przed chwilą jedną z codziennych żmudnych czynności.

- Jones, posiada pan zadziwiający talent ... Co prawda czytałem kiedyś o czymś podobnym, ale po raz pierwszy stykam się z tym osobiście. Może słyszał pan o "Ślepym łamie"?

- Nie, sir.

- Chyba można znaleźć coś o nim w bibliotece pokładowej ... - na moment umilkł - Jestem daleki od oczerniania pańskich umiejętności, ale w czasie prawdziwych manewrów radziłbym nie robić zeń użytku. Czy Pan rozumie, dlaczego?

- Tak jest, sir. Dziękuję.

- Albo może raczej powiedzmy, że nie powinien pan korzystać ze swych umiejętności, aż do chwili, gdy zauważy pan jakiś błąd. W tym Przypadku oczywiście należy zareagować. W każdym bądź razie ostatni głos mają u nas tablice.

- Tak jest.

- Świetnie. A kiedy skończy pan dyżur, proszę mnie odwiedzić. Będę czekał w kajucie.

Gdy kończył służbę, był już dzień. Poszedł korytarzem i stanął przed drzwiami kabiny Hendrixa. Wtem drogę zabiegła mu Ellie.

- Max!

- Hallo, Ellie! - w jednej chwili zrobiło mu się głupio, gdyż uświadomił sobie, że od momentu swego awansu ani razu nie widział przyjaciółki.

- Hallo! ... - przywitał ją tak po prostu, jak gdyby nigdy nic. Stała naprzeciwko.

- Wygląda pan niezwykle przystojnie z tymi przekrwionymi oczami .. bardzo pasują do wypustek na koszuli. A gdzie się pan tak długo podziewał? Może to z powodu nagłego awansu? Strasznie zważniałeś, Max. Nawet nie byłeś ani razu u Chipsie.

To akurat było nieprawdą. Poszedł raz na dół, lecz nie spotkał tam Ellie. Wizyty nie ponowił, gdyż człowiek, który go zastąpił, nie znosił zwierząt i tę nagłą odmianę losu przypisywał niecnym knowaniom samego Maxa.

- Przykro mi ... - odparł jednak, nie wspominając o swej bytności w stajni - Nie miałem czasu.

- Głupia wymówka. Ale teraz pójdzie pan ze mną do salonu, a ja natrę panu uszu. Już wymyśliłam taką zagrywkę, że pozostanie pan absolutnie bez szans. Szach i mat! Max otworzył usta, szybko zamknął, lecz po chwili znowu je otworzył.

- Nie.

- Proszę mówić głośniej! Użył pan słowa, którego nie rozumiem.

- Niech pani zechce mnie wysłuchać, Ellie. Czekam tu właśnie na doktora Hendrixa, a gdy tylko wypuści mnie z powrotem, będę musiał skombinować przynajmniej kwadrans drzemki. Jestem do tyłu na dziesięć godzin!

- Może pan spać kiedy indziej.

- Nie mogę. Mam cztery godziny odpoczynku na przemian z czterema godzinami służby. Spojrzała ze zdziwieniem.

- To przecież samobójstwo!

- Można wytrzymać ...

- O, nie! Kuszę dojść z tym do ładu! Porozmawiam z kapitanem.

- Ellie! Niech pani mi się nie waży niepokoić kapitana!

- A dlaczegożby nie? Kapitan Blaine to pocieszny, stary mors. Proszę się nie martwić. Zaraz wszystko naprawię.

- Niech pani nie mówi doń ani słowa. Dano mi tutaj ogromną szansę i nie zamierzam zastanawiać się, czy z niej korzystać. To po pro-stu jest zrozumiałe samo przez się. Jeśli zaś pani zacznie interweniować, może mi pani popsuć szyki, a wtedy wrócę z powrotem do stajni.

- Nie miałam takich intencji.

- Ale ciągle pani nic nie rozumie. Być może Blaine jest istotnie starym morsem, ale tylko dla pani. Dla mnie pozostaje on niezmiennie kapitanem tego statku i moim najwyższym zwierzchnikiem. Zrobiła nadąsaną minę.

- Chciałam tylko pomóc.

- Tak też i myślałam. A poza tym przykro mi, lecz do salonu wejść nie mogę. To zabronione.

- Ale myślałam ... myślę, że pan po prostu nie chce się ze mną spotykać, choć przecież ma pan taki ładny mundur i pracuje na wyżętym pokładzie. Dlaczego? Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się doktor Hendrix.

- Dzień dobry, Jones. Dzień dobry, miss Coburn. To mówiąc zamknął się w kabinie.

- Ellie ... muszę już iść - powiedział niepewnie Max. Obrócił się i nie czekając na odpowiedź zapukał do kajuty. Doktor Hendrix przeszedł do porządku dziennego nad tym, co zobaczył w korytarzu. Nie wspomniał ani słowem o tej podejrzanym schadzce, tylko od razu przystąpił do rzeczy.

- Niech pan siada, Jones. To, co pan dzisiaj zaprezentował, jest niezwykle interesujące. Chciałbym jednak wiedzieć, jak dalece sięga pański talent. Czy dotyczy tylko liczenia?

- Chyba nie, sir.

- Zapewne ciężko pan pracował, aby móc osiągnąć takie wyniki ...

- Nie sędzę, sir.

- Hm ... A zatem spróbujmy raz jeszcze. Może czytał pan jakąś sztukę Szekspira?

- Tak, w szkole. Czytałem "Hamleta" i "Jak się wam podoba", a później jeszcze "Opowieść zimową" ... ale nie wzbudziło to we mnie entuzjazmu ... - dodał po chwili wahania.

- Przypuszczam, że nie chciałby pan czytać tego po raz drugi, co? Ma pan jakieś wspomnienia z tej lektury?

- Oczywiście, sir.

- Hm ... - doktor Hendrix zdjął z regału gruby, oprawny w skórę tom - Weźmy na przykład ... akt drugi, scenę trzecią. Mówi tam Leontes "Hor night nor day nor reat s it is but weakness ... "

- " ... it. is but weakness to bear the matter thus; merę weakness. If the cause were not in being ... " I tak dalej, aż Hendrix mu przerwał.

- W porządku. Rozumiem, że można czytać Szekspira, bo chociaż niekiedy wydaje się, jakby ten facet był nieco głupkowany, w końcu jednak coś w sobie ma. Ale tabele ... Muszę przyznać, że nigdy ich nie czytałem ... w każdym razie nie we właściwym sensie tego słowa

- Ta sprawa wygląda następująco, sir. Wuj Chet, w chwili, gdy przechodził już na emeryturę, zostawił mi swe książki nawigacyjne oraz wiele mi opowiadał o lotach kosmicznych. A ponieważ szybko przeczytałem te książki ...

- ... ma pan w głowie całą bibliotekę zawodowego astronauty, czy tak?

- Przeczytałem wszystko, co otrzymałem, sir.

Doktor Hendrix wyciągnął książki, dotyczące swej własnej specjalności. Już nie interesowały go tabele, których znajomości Max dowiódł dwa razy. Przekładał kartkę za kartką, stawiał pytania, a w końcu rzucał tylko numery stron. Wreszcie się zmęczył.

- Chociaż wiem ... - zaczął nieomal szeptem - ... że historia psychologii odnotowała już kilka podobnych przypadków, jednak muszę przyznać, że osobisty kontakt z podobnym fenomenem jest dla mnie wstrząsający.

Uśmiechnął się.

- Ciekaw jestem co myślałby o tym Witherspoon.

- Kto?

- Najwyższy Sekretarz. Obawiam się, że bardzo bolałby nad pańskim przypadkiem ... Jest bardzo konserwatywny, zwłaszcza w kwestii chronienia tajemnic naszego zawodu.

Maxowi odszedł dobry humor.

- Czy pan myśli, że mógłbym mieć jakieś trudności? Nie wiedziałem, iż nie należy czytać tych książek.

- Co takiego? Absurd. W astronautyce nie istnieją żadne tajemnice. My wszyscy posługujemy się tymi samymi książkami i ja sam nie mam osobiście nic przeciwko temu, aby czytali je pasażerowie. Astronautyka to nie nauki tajemne ... co najwyżej ciężka praca. Tylko nieliczni ludzie są wystarczająco pojętni, by móc zrozumieć istotę tych skomplikowanych obliczeń, które, na przykład, towarzyszą tranzycji. Cała aura niesamowitości i tajemnicy pochodzi raczej od polityków ... od tych członków naszej gildii, którzy za wszelką cenę chcą zachować zawodowy prestiż. Doktor Hendrix pobębnił palcami w poręcz.

- Jones ... - przemówił po dłuższej pauzie - ... chciałbym, żeby pan mnie właściwie zrozumiał. Kelly jest zdania, że powinniśmy pana zatrzymać u siebie na stałe.

- Oh ...

- Proszę jednak nie wyobrażać sobie, że wie pan więcej, niż my wszyscy razem wzięci tylko dlatego, że zmagazynował pan w pamięci całą bibliotekę astronautyki.

- Skądże znowu, sir,

- W istocie jest pan niezbędny w sterowni. Ale ci nieliczni cnotliwi, którzy się już tam znajdują, muszą się cechować niezwykle sumiennością, poczuciem obowiązku, znakomitą znajomością sprzętu, niesłychaną pieczołowitością i drobiazgowością, oddaniem oraz wiernością dla pracy, załogi, statku i wszystkich, którzy sprawują nad nimi władzę. Kelly nie potrzebuje fotograficznej pamięci. Wystarcza mu zupełnie normalna, byleby była połączona z inteligencją i prawością ... tego wymaga od nas zawód. Sądzę, że ja sam, będąc dowódcą, także miał bym podobne życzenia wobec własnej załogi.

- Zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, sir.

- Myślę, że wkrótce zostanie pan całkiem niezłym kartografem. Rozmowa zmierzała ku końcowi.

Max powstał.

- Aha ... jeszcze coś.

- Tak, sir? ...

- Istnieją wystarczające powody natury dyscyplinarnej, dla których członkowie załogi powinni się trzymać z dala od pasażerów.

- Wiem, sir ... - Max przełknął tę gorzką pigułkę bez mrugnięcia okiem.

- Proszę więc postępować zgodnie z zasadami. Pracownicy mego wydziału przykładają do tego punktu regulaminu szczególną wagę choćby tylko dlatego, że jest to bardzo ciężki sprawdzian ich kwalifikacji.

Zbity jak pies, opuścił Max kabinę.

Wchodząc do środka przypuszczał, że zostanie wynagrodzony za swe niezwykle osiągnięcia. Wychodząc, miał uczucie, że jest kompletnym zerem i tak też został oceniony.

W następnym tygodniu ani razu nie spotkał się z Samem - plan zajęć był tak bardzo napięty, że po prostu nie miał czasu na składanie wizyt. Lecz i Sam nie próżnował. Tak, jak wszystkie duże statki, "Asgard" posiadał własną służbę porządkową, składającą się z doświadczonych, wypróbowanych ludzi, przydzielonych pod bezpośrednią komendę pierwszego oficera.

Dzięki swemu talentowi i żylce do polityki Sam wkrótce doszedł do stanowiska szefa policji w oddziale rachmistrzowskim. Oczywiście, ze swego zadania wywiązywał się doskonale.

Nikommu nie wchodził na odciski, tolerował wszystkie uchybienia, za którymi stały pradawne obyczaje i nie dopuszczał jedynie do tych przewinień, które szkodziły zdrowiu, bezpieczeństwu lotu oraz jaskrawo wykaczały przeciwko, dyscyplinie statku. Nawet jednak w tych przypadkach nie ciągnął delikwentów przed sędziego, tylko załatwiał sprawy bez rozgłosu, cc odpowiadało zarówno życzeniom Walthers'a i interesom załogi.

Kiedy Maginnis - pracownik magazynów - zrobił zbyt duży użytek z produktów destylacji mr. "Gi", Sam zabrał go ze sobą do kambuza i otrzeźwił czarną kawą, aż wreszcie przestał śpiewać pijackie serenady, głośnym echem odbijające się po statku. Jednak następnego dnia urządził mu małą wycieczkę w celach poznawczych - zawiódł go aż na pokład H, odłożył swe insygnia władzy i sprawił mu porządne lanie, które co prawda w niczym nie zaszkodziło urodzie delikwenta, ale odbiło się trwałym śladem w jego wrażliwej duszy. W mrocznej przeszłości, niechętnie i półsłówkami jedynie wyciąganej niekiedy na światło dzienne opanował Sam taką sztukę walki, która pozwalała nieuzbrojonemu człowiekowi przedzierzgnąć się w maszynę śmierci, bez zadawania jakichkolwiek ran.

Oczywiście ofiarę wybrał po długim namyśle. Gdyby zgłosił ten przypadek do raportu, mógłby narazić nietykalność jednej ze świętych krów, co zaniepokoiłoby pozostałych. Dzięki swej dyplomacji nie naraził na szwank niczyjej reputacji, zaś w osobie Maginnisa uzyskał najgorliwszego poplecznika i propagandzistę.

Już w chwili, gdy tylko trafił na "Aegarda" upatrzył sobie to stanowisko. Uprawnienia szefa policji pokładowej sięgały bardzo daleko, a dopóki nie wkraczał w interesy Kuipesa, Giordano i Dumonta, dopóki trzymał się z dala od "sauny" oraz maszynowni, był najpotężniejszym człowiekiem na statku. W praktyce miał w rękę większą władzę, niż sam pierwszy oficer, gdyż był jego widzialnym cieniem i mógł wejść tam, gdzie jemu już nie wypadało. Taka więc była sytuacja, kiedy wylądowali na planecie Garsona.

Pierwsze lądowanie miało się odbyć na ogromnej skale, pozostałości po Wielkim Wybuchu, w którego rezultacie powstał cały Wszechświat. Grawitacja miała tu wartość o jedną czwartą wyższą od ziemskiej, co znacznie utrudniało życie, nie mówiąc już o metanowej atmosferze, uniemożliwiającej oddychanie. W Kosmosie jest wiele znacznie bardziej przyjemnych miejsc, niekiedy wprost stworzonych dla człowieka, nic więc dziwnego, że mieszkańcy tej planety z największą przyjemnością, opuściliby to ponure otoczenie, gdyby nie fakt, że znajdowała się tu stacja tranzytowa dla statków, podróżujących na Thetę Centauri. Dlatego też planeta Garsona była jednym z punktów kluczowych transportu Unii Solarnej.

Max wyszedł tylko raz na zewnątrz, lecz i to było zbyt ciężkim przeżyciem, aby chciał je powtórzyć.

Kolonia mieściła się częściowo pod kopułą, częściowo pod powierzchnią ziemi. Najpierw zaskoczył go fakt, że nie musi się przebierać w skafander próżniowy - po prostu służyć statku

połączono rękawem ze służą kolonii. Sam skierował się od razu do podziemi. Max zaprotestował.

- Rozejrzyjmy się najpierw na górze ...

- Nic tu nie ma do oglądania - odparł krótko - Tylko hotel, kilka marnych, lecz drogich sklepów oraz restauracyjki dla pasażerów. Czy masz ochotę wydać cały żołąd na żylasty sznycel?

- Nie. Po prostu chciałbym nieco pozwiedzać. Skoro już tu jestem, powinienem skorzystać z okazji. Gdy lądowaliśmy, nic nie widziałem, a teraz mogę tylko obejrzeć ten rękaw od służby do służby. To trochę za mało.

- Tam, na zewnątrz, nie ma nic do oglądania, oprócz gęstej, żółtej mgły, która nigdy się nie podnosi. Jest jeszcze gorzej, niż na

Wenus. Ale skoro chcesz ... Jeśli niemiłe ci moje towarzystwo, idź, dokąd dusza zapragnie. Sam wszystko załatwię.

W końcu zdecydował się, że usłucha bardziej doświadczonego. Poszli razem szerokim, jasno oświetlonym korytarzem, który, gdyby nie zadaszanie, bardzo przypominał uliczkę obok restauracji Percy'eya. Ponieważ w porcie było jeszcze kilka innych statków, wszędzie panował ożywiony ruch. Sam rozejrzał się wokół.

- Tak ... Teraz musimy tylko znaleźć miejsce, gdzie można byłoby usiąść w spokoju, czegoś się napić i porozmawiać.

- Co myślisz o tym? - Max wskazał na szyld, zapraszający do "Najlepszej Koi" - Wygląda całkiem miło ... Sam popchnął go, przyspieszając kroku.

- Owszem, ale to nie dla nas. Przebili się przez tłum i przeszli sto metrów.

- Tutaj zajrzemy ... - wskazał na jakieś drzwi - Ciekawe, czy Lippy trzyma jeszcze ten interes.

Napis nad wejściem zapraszał do "Bezpiecznego Lądowiska". Lokal był wprawdzie duży, ale nie tak przytulny, jak poprzedni.

- Kto to ten Lippy?

- Najprawdopodobniej nie będziesz miał szczęścia, aby go poznać, Sam wszedł jako pierwszy i znalazł jakiś wolny stolik. Max rozejrzał się.

- Ciekawe, czy dostanę tu sok ananasowy?

- Spróbuj. Z pewnością cię nie wyrzucą.

- W porządku. Czy przypominasz sobie tę historyjkę, którą kiedyś mi opowiadałeś ... Tę o sierżancie Robertsie? ...

- O kim? ...

- Rotertsie, czy Richardzie ... nie pamiętam ...

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

- Ale ...

- Mówię przecież, że nie znam faceta! Kelner już idzie ... Max poprosił o "stare heidelberskie", choć był przekonany, że w promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych ani Heidelbergu, ani Niemiec nie sposób uświadczyć. Smakowało to jak zimne popłuczyny, ponieważ jednak Sam od czasu do czasu przyglądał mu się uważnie, udawał, że pije.

- Posiedź tu chwilę ... - powiedział nagle Sam - Zaraz wrócę. Zamienił kilka słów z barmanem i zniknął gdzieś z tyłu. W tej samej chwili do stolika podeszła jakaś młoda kobieta.

- Jesteś samotny, kochanie?

- Nie ... niecałkiem ...

- Ale ja tak. Miałyby pan coś przeciwko temu, gdybym usiadła obok? ... - nie czekając na odpowiedź zajęła krzesło Sama.

- Proszę. Ale mój kolega za moment wróci.

Udała, że nie słyszy. Odwróciła się w stronę baru.

- Duże ciemne, skarbie.

Max energicznie pomachał ręką.

- Nie, nie ... Nic z tego!

- Co to ma znaczyć, kruszynko?

- Niech pani posłucha ... - rozpoczął zdenerwowany Max - ... Być może wyglądam na zielonego w tych sprawach i prawdopodobnie taki jestem, ale nie mam zamiaru stawiać pani farbowanej wody, wyrzucając na te kupę szmalu. Nie mam zbyt dużo pieniędzy. Spojrzała nań z miną urażonej damy.

- Albo mi pan coś postawi, albo się zmywam.

- Hm ... - rzucił okiem na kartę - Myślę, że kanapka wystarczy?

Zawołała kelnera.

- Pozostaje tak, jak było, a do piwa proszę kanapkę z serem i musztardą.

Zwróciła się w stronę osłupiałego Maxa.

- Jak masz na imię, o ile mogę być aż tak śmiała ...

-Max.

- Miło mi. Dolores. Skąd przybywasz?

- Z Ozark Mountains ... z Terrae ...

- Cóż za spotkanie! Jesteśmy prawie sąsiadami. Pochodzę z Winnipeg.

Dolores nie zamykała słodkich usteczek, a Max zastanawiał się, czy w tym wszystkim, co mówi, jest bodaj ziarno prawdy. Z dalszej gadaniny zorientował się jednak, że jego towarzyszka ani Ozarks, ani Ziemi w ogóle nie znała. Opowiadała, jak bardzo adoruje statki - są tak romantyczne - i właśnie pochłaniała ostatni kęs kanapki, gdy wrócił San. Zlustrował ją od dołu do góry.

- I jak? ... Na ile go pani wyceniła? - wskazał na Maxa. Dolores drgnęła z oburzenia.

- Mój panie, a cóż to za mowa? Mr. Lipski nie pozwala ...

- Tym razem wybaczy, ślicznotko ... - ciągnął niezrażony Sam, a w jego głosie nie było można dosłyszeć jawnej wrogości, co najwyżej lekką nutę sarkazmu - Nie wiedziała pani, że mój przyjaciel jest gościem Lippy'ego? W każdym razie żadnych naciągań na "czarne ekstra" i w ogóle żadnych "zaproszeń" ... Ile wystukał licznik? - zwrócił się do Maxa.

- Na razie w porządku. Tylko kanapka z serem ... - pośpiesznie wyjaśnił.

- Dobra ... A na razie zechce pani zostawić nas samych ... Może później...

Wzruszyła ramionami, lecz powstała z miejsca.

- Stokrotne dzięki, Max.

- Nie ma za co. Na wszelki wypadek przekażę pozdrowienia dla całego Winnipeg.

- Tak, proszę nie zapomnieć.

Sam ciągle stał i nic nie wskazywało na to, że zamierza zająć zwolnione przed chwilą krzesło.

- Muszę jeszcze na chwileczkę skoczyć w jedno miejsce ...

- To idź ... - Max także zamierzał wstać od stołu, ale towarzysz zmusił go do pozostania.

- Nie ... Lepiej będzie, jeśli to zrobię sam. Pozostań na miejscu, już nikt nie powinien się naprzykrzać, a jeśli tak, to zawołaj Lippy'ego.

- Sądzisz, że nie spartaczę czegoś ...

- Mam nadzieję - spojrzał z z troskaniem - Nie wiem, dlaczego ciągle się tak niepokoję, ale masz w sobie coś, co budzi we mnie odruchy macierzyńskie ... Prawdopodobnie to wina twych niebieskich oczu ...

- Mam brązowe oczy ...

- Mówiłem raczej o oczach duszy ... - wyjaśnił Sam - W każdym razie, gdy mnie tu nie będzie,

nie wdawaj się w żadne dysputy z obcymi, rozumiesz?

Max potwierdził, czyniąc wyraz twarzy zapożyczony od mr. "Gi". Sam rzucił porozumiewawcze spojrzenie i przepadł gdzieś za barem. Niestety, przestrogi przyjaciela nie mogły się odnosić do pana Simes'a, który nagle stanął w drzwiach. Jego czerwona twarz była bardziej szkarłatna, niż zazwyczaj, a niewielkie, świńskie oczka błyszczały wśród dorodnych policzków niczym dwa guziczki. Wolno przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę posuwał się przejściem między stolikami, szukając miejsca dla siebie. Gdy dostrzegł Maxa, strzelił groźnym spojrzeniem, a w kącikach ust zagościł sadystyczny uśmiezek.

- Pomyśleć tylko, że ten dziarski młodzian przesiaduje w knajpie! - zawołał, zmierzając w kierunku Jonesa.

- Dobry wieczór, mr. Sims - podniósł się Max.

- Tak, tak ... "Dobry wieczór"! ... A co chciałbyś tak naprawdę powiedzieć, pętaku?

- Nic innego, sir.

- Mnie nie nabierzesz. Ja też chciałbym odpowiedzieć inaczej, niż powinienem, ale chyba zrobiłbym to znacznie lepiej od ciebie... Max nic nie mówił, zaś mr. Simes ciągnął swoje.

- Nie zapraszasz mię, żebym się przysiadł?

- Zechce pan usiąść - wydeklamował bezbarwnie Max.

- Coś podobnego! Nasz geniusz życzy sobie, abym usiadł przy jego stoliku!

Zajął miejsce, zawołał kelnera, złożył zamówienie i ponownie zwrócił się do Maxa.

- A czy ty chociaż wiesz, dlaczego dosiadłem się do ciebie?

- Nie, sir.

- Żeby ci wyrwać jeden ząbek, słoneczko. Od kiedy stałeś się czarownikiem w programowaniu, Kelly uważa cię za swego ulubieńca ... faworyta ... pieszczocha ... pieszczozka ... Ale u mnie niczego nie zyskałeś. I zapamiętaj sobie: jeśli zechcesz wodzić za nos także Hendrixa, wtedy do akcji wejdę ja i wyrzucę cię ze sterowni ... Ogniem wypalę, jeśli nie będzie można inaczej, rozumiesz? Max czuł, jak grdyka zaczyna mu drgać nerwowo.

- Co pan miał na myśli, mówiąc o "czarowniku"?

- Wiesz lepiej, niż ja. Wyuczyłeś się na pamięć tuzin operacji, a wmawiasz Kelly'emu i profesorowi, że znasz całą książkę. Geniusz! .. A wiesz, co to jest naprawdę? Szwindel!

Całe szczęście, że mr. Sims nie zdołał dokończyć swego przemówienia. Urwał nieomal w pół słowa, gdy na ramieniu poczuł czyjąś mocną dłoń, a po chwili dotarły doń spokojne słowa Sama.

- Dobry wieczór, mr. Sims.

Ten z kolei zamrugnął oczami, w końcu poznał, kto zacz i spuścił nie-co z tonu, wywołując na twarz jedną z bardziej promiennych min.

- A kogóż ja widzę ... Glina we własnej osobie! Usiądź, chłopaczku. Napijesz się czegoś?

- Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu ... - odparł Sam, przyciągając ku sobie krzesło.

- Znasz tego krzepkiego młodzianina? - Simes wskazał oczami na Jonesa.

- Z pewnością już go gdzieś widziałem.

- Nie spuszcza go z oka. To rozkaz, rozumiesz! Niezły z niego cwaniaczek, zbyt cwany, jak na nasze przyzwyczajenia. Jest bardzo, bardzo cwany. Zadaj mu jakąś liczbę ... między jedyneką a dziesiątką.

- Siedem. Mr. Simes uderzył pięścią w stół ...

- I co, nie mówiłem? Ten chłopak znał tę liczbę, zanim ją sobie Zdołałeś pomyśleć. Ale nie ze mną te numery ... Pewnego dnia trafi na takiego, który wypali mu cyferkę na piersi, że zapamiętał ją już na całe życie. Zgadnij, kto to będzie? Tylko dlatego, że przy stoliku siedział Sam, Max zdołał

zachować spokój. Jones zauważył, że przyjaciel pisze coś na odwrocie menu, po czym dyskretnie wzywa kelnera i wręcza mu kartę z pewną sumą pieniędzy.

Mr. Simes, zbyt przejęty swą rolą, nie dostrzegł tych manewrów. Paplał bez przerwy, aż do chwili, gdy Sam nagle przerwał mu wywód, wskazując w stronę baru.

- Mam wrażenie, że zdołał pan nawiązać jakieś ciekawe znajomości, sir ...

- Ja? ...

Sam wskazał raz jeszcze w tym samym kierunku: przy barze, na wysokim stołku siedziała Dolores, uśmiechając się zachęcająco do pijanego Simes'a, który po chwili, wyszczerzył zęby.

- Tak, to moja cioteczna babka Sadie ...

Zerwał się z krzesła i niepewnym krokiem podszedł do dziewczyny. Sam zatarł ręce.

- Tak, jego mamy już z głowy. Chyba ci nieco dogryzł, prawda?

- Troszeczkę. Dziękuję, że w porę przyszedłeś. Inaczej nie byłoby z nim łatwo ... ale szkoda mi Dolores.

- Nie przejmuj się ... Umiem docenić oficera, który zachowuje się jak oficer, ale ten ... - spojrzał chłodnym wzrokiem - Jeśli chce komuś zająć za skórę, powinien to robić w czasie służby, a nie w knajpie. Mniejsza z nim. Mam wrażenie, że ostatnio wydarzyło się parę zmian. W każdym razie rzeczy wyglądają nieco inaczej, niż w chwili, gdy wyruszyliśmy z Ziemi.

- Też tak sędzę.

- Podoba ci się w "saunie"?

- Bardziej, niż potrafiłbym to opowiedzieć. Przede wszystkim robię szybkie postępy ... tak mówi Kelly. Nie narzekam. Jest tam całkiem miło i gdyby nie ten facet ... - wskazał na Simes'a.

- Nie przejmuj się. Nawet w najlepszej zupie można spotkać muchę. Nie pozwól mu tylko, żeby przyszył ci łatkę ...

- Oczywiście. Sam rozejrzał się wokół i zniżył głos do szeptu.

- Jesteś gotowy do skoku?

- Co?

- Właśnie dopiąłem wszystko na ostatni guzik. Wszystko jest już gotowe ...

Z największym trudem przyszło mu zdobyć się na odpowiedź. Choć dobrze wiedział, że w gruncie rzeczy jego sytuacja niewiele się poprawiła, a ten nagły awans nie usuwa niebezpieczeństwa, które ciągle wisiało nad jego głową, trudno mu było jednym słowem przekreślić wszystkie dotychczasowe wysiłki. W sterowni spędzał większość czasu, polubił tę pracę i dałby wiele, żeby nie musiał dokonywać tego wyboru, przed którym stał w tej chwili.

- Życzyłbym sobie, aby istniała jakaś inna możliwość ...

- Przecież ci już mówiłem, że istnieje ... Twoja książeczka pracy w każdej chwili może się gdzieś zapodziać ... Max podniósł głowę.

- I co to by zmieniło? Oczywiście, zaokrętowałbym się gdzie indziej ale przecież nie o to chodzi. Chcę zostać na "Aegardzie". Umoczył palec w niby-piwie i zaczął kreślić jakieś wzorki na blacie stolika.

- Ale dobrze wiem ... - zaczął po chwili milczenia - ... że powinienem uciekać. Gdybym wrócił na Ziemię, niczego sam bym nie zdołał, o ile w ogóle uniknąłbym więzienia.

- Bzdura!

- Jak to? ...

- W każdej chwili możesz pozostać na statku. Już ja ci przygotuje takie dossier, że nawet dziecko nie miałoby bardziej chlubnego świadectwa swej niewinności ... choć oczywiście muszę przyznać, że wolałbym cię mieć przy sobie.

- Ale w jaki sposób?

- Wystarczy zmienić gildię. W tej chwili możesz pełnić służbę w charakterze stewarda, pisarza lub kucharza. Jeśli papiery zginą i otrzymasz nowe, będziesz mógł zaczynać wszystko od początku i to jako rachmistrz lub kartograf.

- A co z raportem do Centrali?

- To samo. Odpowiednie papiery na odpowiednim miejscu. Jeden dokument zgubiony zastępuje nowy dokument, choć już nieco inny. Nieważne, jaki. Byleby liczba się zgadzała.

- Powiedz mi w takim razie, dlaczego nie chcesz tego samego dla siebie? Z twoim sprytem ...

- O, nie ... - Sam pokręcił smutno głową - Istnieją powody, dla których najchętniej skryłbym się gdzieś głęboko pod ziemią. Nie mam wyboru.

Ponownie poweselał.

- Na razie powiem ci tylko tyle: zanim prysnę ze statku, zdradzę ci swoje nowe nazwisko i coś jeszcze ze swojej przeszłości. A za dwa, trzy lata, może za lat dziesięć lub dwadzieścia będziesz mógł pojawić się na Nowej Ziemi i odwiedzić starego druha. Wtedy porozmawiamy dłużej o tych wspaniałych czasach, gdy byliśmy jeszcze piękni i młodzi ... he, he ...

Max musiał się roześmiać razem z nim, choć wcale nie miał na to ochoty.

- Z pewnością, Sam. Niewątpliwie ... Zmarszczył brwi.

- Ale zapomniałeś, że bez ciebie nie dam sobie rady.

- Załatwię wszystko, jeszcze zanim dam nogę z tego statku. W tej chwili Nelson jest za daleko, żebym mógł coś skombinować, ale później to żaden problem. Aha ... połowa należności tytułem zaliczki, reszta przy dostawie. Poza tym urządzę wszystko w ten sposób, żeby ten stary krętacz miał wobec ciebie jakieś zobowiązania ... Ale na razie dajmy sobie spokój. Gdy wrócisz do Portu Ziemia, Nelson po prostu zacznie cię błagać, abyś wyręczył go i zaniósł raport do Centrali, gdyż on sam musi załatwić pilną sprawę na statku. Do ciebie będzie tylko należała zamiana jednego sprawozdania na drugie. Wtedy też zapłacisz mu resztę doli. Zrozumiałeś?

- Chyba tak. Sądzę, że to najlepsze wyjście - potwierdził Max, ale w jego głowie nie było nawet cienia entuzjazmu.

- A teraz zapamiętaj: każdy ma jakiś słaby punkt. Najlepiej trzy mać go zawsze gdzieś z dala od gawiedzi. Nie można się afiszować swymi słabościami. Odsunął pusty kufel.

- Chyba to już wszystko. Masz zamiar spędzić tu noc, czy wracasz ze mną na statek?

- Oczywiście.

- A więc idziemy. Muszę załatwić kilka spraw na pokładzie i będę potrzebował pomocy.

Z planety Garsona na Halycon droga jest śmiesznie krótka, na pewno nie dłuższa od dwóch kocich skoków: należy wykonać zaledwie trzy tranzycje - po 105, 487 i 19 lat świetlnych, a później pruć prosto przed siebie gładkim gościńcem przez lat 250.

Pierwszy skok odbył się miesiąc po starcie. Max pracował w tym rejsie pod czujnym okiem Kelly'a, który przydzielił go na swoją wachtę - dzięki temu praktykant miał więcej czasu, żeby móc się porządnie

wyspać. Ale nie tylko o sen tu chodziło - dzięki takiemu ustawieniu dyżurów Max miał więcej możliwości do nauki - dotychczasowe wachty z Simes'em okazały się zupełnie bezwartościowe.

Dyżury Jones'a stały ciągle pod znakiem nabywania nowych umiejętności. W końcu doszło do tego, że do sterowni przychodził przed Kelly'm i wychodził nie wcześniej, zanim szef go nie zmusił. Po skończeniu dyżuru Kelly miał zwyczaj zostawać na moment w centrali, aby wygłosić coś w rodzaju krótkiego przemówienia, podczas gdy doktor Hendrix, który przejmował po nim służbę, dopytywał się o postępy adepta.

Także kapitan przystał do tego towarzystwa, gdyż wkrótce po odlocie Hendrx skorzystał z okazji i poinformował go o niezwykłym talencie Maxa.

Jak zwykle, Jones pracował bezbłędnie, choć świadomość obecności Blaina wprawiała go w lekkie zakłopotanie. Kapitan obserwował uważnie te popisy, z wyrazem zdumienia na twarzy, a gdy zadanie było wykonane, odezwał się po krótkim milczeniu.

- Dziękuję, chłopcze. To zadziwiające ... ale jak się pan właściwie nazywa?

- Jones, sir.

- Jones ... rzeczywiście. Starszy pan zamyślił się na moment.

- To zdumiewające, że nawet o północy pamięta pan te kolumny cyfr Proszę jednak nie zapominać także o czystym sumieniu, Jones. Po upływie dwunastu godzin Hendrix odezwał się do Maxa, który właśnie kończył wachtę,

- Niech pan jeszcze nie wychodzi, Jones. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Tak jest, sir.

Astronauta zamienił kilka słów z Kelly'm, po czym zwrócił się do chłopca.

- Kapitan jest w pełni zamroczony pańskim wodewilem. Ale niepokoi go problem, czy oprócz pamięci posiada pan także wystarczający zasób wiadomości z dziedziny matematyki.

- Hm ... Nie jestem błyskawicznym liczydłem, sir. Wiele rzeczy nie umiem i nie potrafię, choć dobrze znałem kogoś, kto posiadał podobne umiejętności. Hendrix nie zagłębiał się w tę sprawę.

- Nieważne. Przypominam sobie jednak, że mówił mi pan o swoim wujku. Podobno przerabiał z panem matematykę.

- Tak, ale tylko te partie, które są pomocne w astronautyce.

- A zatem, czy umie pan rozwiązać równanie tranzycyjne?

- Oczywiście, sir.

- Mówiąc szczerze, nie byłbym tego taki pewny, niezależnie od matematycznych talentów starego Cheta. Trudno, musimy spróbować ...

- Teraz?

- Oczywiście. Załóżmy, że jest pan oficerem na służbie. Kelly jest pańskim asystentem, a ja postronnym słuchaczem. Proszę obliczyć współrzędne przesunięcia, wychodząc z obecnej pozycji statku. Oczywiście, wiem, że jesteśmy jeszcze zbyt daleko,, ale pomińmy tę kwestię. Proszę

pracować tak, jakby od pańskich obliczeń zależało nasze bezpieczeństwo. Max zaczerpnął głęboki oddech.

- Tak jest, sir.

Już miał wkładać nowe dyskiety, gdy Hendrix go powstrzymał krótkim "Nie".

- Jak to, sir?

- Jeśli jest pan teraz szefem, musi mieć pan załogę. Noguchi proszę go wyręczyć!

- Tak jest, sir.

Noguchi, śmiejąc się, podszedł do Maxa. Podczas ładowania pierwszej skrzynki, nachylił się nad uchem "szefa" i wyszeptał z łobuzerską miną.

- Niech pan nie pozwoli zbić się z tropu. Powinniśmy mu pokazać, ile jesteśmy warci. Poza tym Kelly pomoże w najtrudniejszych przekształceniach.

A jednak Kelly nie pomógł. Wykonywał jedynie najprostsze mechaniczne czynności i nawet najmniejszym kiwnięciem głowy nie dał Maxowi do zrozumienia, czy pracuje poprawnie, czy się myli.

Gdy Jones sprawdził wydruki i porównał z mapą, nie podał obliczeń do maszyny, lecz Kelly'emu i Noguchi'emu. Po chwili rozbłyły światła, które powinny wyświetlić ostateczny wynik.

Doktor Hendrix nie odezwał się ani słowem, ale wraz z pozostałymi dwoma stał pochylony nad wydrukami. Po chwili lampki znowu zamigotały, zaś astronauta odłożył tabele i wystukał własny wynik.

- Różnimy się tylko dziewiątą cyfrą po przecinku. Nieźle.

- Czy to znaczy, że pomyliłem się?

- Niekoniecznie. Ja także mogłem popełnić omyłkę.

Na twarzy Maxa zagościł uśmiech, natomiast czoło Hendrixa przecięły głębokie bruzdy.

- A dlaczego nie uwzględnił pan efektu Dopplera?

Przez plecy przebiegł mu zimny dreszcz.

- Ja ... zapomniałem, sir...

- Myślałem, że pan nigdy nie zapomina, Jones.

Po chwili ciągnął dalej.

- Człowiek, dowodzący statkiem nie ma prawa zapomnieć niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie dla życia załogi. Dlatego, jako ćwiczenie, wykonał to pan całkiem nieźle, ale zapomniał pan o tempie. Gdyby się to działo w rzeczywistości, a nie na próbę, cały ten statek zdążyłby wylądować w Hadesie i rozbić się o Styks, a pan ciągle tkwiłby po uszy w rachunkach. Tu trzeba szybko i bezbłędnie! Trudno, mamy jeszcze dużo czasu. Jak na początek, bardzo dobrze.

Odwrócił się. Kelly uczynił jakiś ruch w kierunku wyjścia. Max zrozumiał, że czas na niego i zniknął w drzwiach.

Zanim zasnął, przemyślał całą tę sprawę od początku. Czy przypadkiem doktor Hendrix nie chciałby ... Nie! To niemożliwe. Odsunął tę myśl. W końcu Kelly także mógł to zrobić - wystarczająco często widział, jak przeprowadza podobne obliczenia, w dodatku znacznie szybciej niż dzisiaj. Prawdopodobnie wina leżała po stronie Noguchi'ego - on przewinił ... i to z pewnością. W końcu nie była to jakaś wielka tajemnica.

Kiedy zbliżali się do pierwszej anomalii, z dotychczasowych czterech wacht uczyniono dwie i w dodatku z pełną obsadą: astronauta, asystent, kartograf oraz rachmistrz.

Max został włączony w skład jednego z zespołów, gdzie powierzono mu pełną odpowiedzialność za wszystko, co robi. Gdy nadszedł decydujący moment, pracowały obie drużyny, a przy maszynie liczącej stał Kelly. Asystował mu Lundy.

Smythe wraz z Kovakiem pracowali nad mapami, podając dane Hendrixowi, który przekazywał je programistom. To właśnie on, jako astronauta, dowodził teraz statkiem. W obu rękach trzymał suwaki: jednym z nich utrzymywał prędkość "Asgarda" tuż przy granicy prędkości światła, drugim regulował kurs lotu.

Z wszystkich mężczyzn, uwijających się gorączkowo w sterowni, tylko kapitan Blaine zachował stoicki spokój, królując na swym tronie z cygarem w zębach. Przyglądał się szaremu ze zmęczenia Hendrixowi i nic nie mówił.

Tymczasem astronauta wyrzucał z siebie nieskończone potoki liczb, zachowując doskonałą dykcję, tak, aby nie było możliwości pomylenia się oraz niepotrzebnego powtarzania po raz drugi tego samego.

Max przysłuchiwał się, dziwił i uczył.

Co chwila spoglądał na kopułę, za którą widniała bezgraniczna przestrzeń - pustka, pożerana przez niewyobrażalną szybkość. Wtem Hendrix umilkł.

Max spojrzał na astronautę, zaś kiedy prowadzący całą tę operację powiedział - Uwaga ... teraz! - ponownie zapatrzył się w gwiazdy. Niebo jakby się zachwiało, zapadło w sobie, przygasło, a po chwili nad kopułą rozbłysł nowy Wszechświat, czy raczej ten sam, lecz oglądany z innej strony.

- To jest Albert Memoriał ... a ten tutaj to Hexagon...

Hendrix westchnął.

- Wszystko wskazuje na to, kapitanie, że i tym razem nam się udało. Spojrzał na Simes'a.

- Niech pan kontynuuje.

Przepuścił przed sobą kapitana, po czym obaj zniknęli za drzwiami. Wachty znowu wróciły do czterostopniowego cyklu, powrócił stary porządek i nieco monotonii, gdyż kolejna tranzycja miała się odbyć dopiero za kilka dni.

Max był zaskoczony, gdy podczas jednej z wolnych godzin został wezwany do Hendrixa. Założył najlepszy mundur, przyczesał włosy i poszedł na górę.

- Kartograf Jones melduje się na rozkaz.

Astronauta przyjął do wiadomości meldunek, lecz nie poprosił, by zechciał zająć miejsce.

- Wszystko w porządku, Jones ... - Hendrix spojrzał na Kelly'eya, który również był obecny w kabinie.

- Może pan mu to powie ...

- Skoro tak pan uważa! - Kelly najwyraźniej nie czuł się dobrze w tej roli - Widzi pan ... Jones ... sprawa jest następująca ... otóż pan nie należy do mojej gildii ... Max był tak zaskoczony, że nie potrafił odpowiedzieć. Chciał mówić, że myślał ... że sądził ... że nie przypuszczałby ... ale w końcu nie wy dobył z siebie ani jednego słowa. Kelly ciągnął dalej.

- Faktem jest, że musiałyby pan mieć wykształcenie astronomiczne.

Właśnie omawialiśmy to razem.

Brzęczenie, które od pewnego czasu dawało mu się we znaki, spotężniało.

- I co, Jones? ... - dotarło doń jakby z dużej odległości pytanie Hendrixa - Chce pan spróbować?

- Tak jest, sir.

- To dobrze. Obserwowaliśmy pana razem ... ja i Kelly ... i doszliśmy do wniosku, że dałoby się nauczyć pana niezbędnej szybkości i zręczności. Hm ... mam nadzieję, sir.

- Ja także chciałbym w to wierzyć - odparł sucho Hendrix. - Ale to się dopiero okaże. Jeśli coś nie wyjdzie, zawsze może pan ponownie wstąpić do swojej gildii, nie obawiając się żadnych szykan. W każdym razie nabędzie pan nieco doświadczenia, a to też się liczy.

Astronauta znowu spojrzął na Kelly'eya.

- Chciałbym jeszcze przez chwilę porozmawiać z tym panem. Później podejmiemy wspólną decyzję.

Gdy Kelly już wyszedł, Hendrx podszedł do biurka, wyciągnął książeczkę lotów Maxa i nieoczekiwanie surowym tonem zapytał ciągle stojącego w postawie zasadniczej Jonesa.

- Czy to pańska książka?

- Tak jest, sir.

Hendrx popatrzył mu prosto w oczy.

- Nie ma co, piękny obraz kariery. Mógłby pan opowiedzieć coś więcej na ten temat?

Chwila przerwy, która nastąpiła po tym pytaniu, nie trwała dłużej, niż czas, potrzebny na dwanaście uderzeń serca, lecz Maxowi wydawało się, że trwa całą wieczność.

W końcu poczuł się niezbyt pewnie, gdyż zaczęły dawać się we znaki wyrzuty sumienia oraz żal za grzechy.

Usłyszał swoje własne słowa, choć nie był pewny, że to właśnie on je wypowiada.

- To nie jest obraz pięknej kariery, sir. Ta książka od początku do końca kłamie.

Sam nie wiedział, jak mu się to udało. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiał, iż w ten sposób niszczy wszystkie szanse, burzy z takim trudem wzniesioną konstrukcję, ale było już za późno. Mimo to, zamiast poczuć się załamanym lub zdruzgotanym, wrócił nastrój beztronski, jakiegoś dziwnego odprężenia. Hendrx odłożył dokument na biurko.

- Bardzo dobrze, Jones, znakomicie. Gdyby udzielił mi pan innej odpowiedzi, wypędziłbym pana ze sterowni i to na zawsze. Lecz skoro tak, może zechciałby mi pan nieco dokładniej opowiedzieć, co się stało? ... Proszę usiąść. Max zajął miejsce i zaczął opowiadać. W tajemnicy zachował jedynie imię Sama oraz te szczegóły, które mogłyby wskazywać na jego udział w całym tym przedsięwzięciu.

Oczywiście nie uszło to uwagi gospodarza, który bez owijania w bawełnę zapytał, o co tu chodzi.

- Niestety, tego nie mogę powiedzieć, sir..

- W porządku. Chcę pana zapewnić, że nie zamierzam przedsięwziąć żadnych kroków w celu odszukania tego człowieka ... o ile oczywiście, znajdowałby się przypadkiem na "Asgardzie".

- Dziękuję, sir.

- A teraz, drogi chłopcze, powiedz mi, co cię skłoniło do tego oszustwa? Chyba nie sądziłeś, że nikt na to nie wpadnie?

- Nie ... Wiedziałem, że kiedyś tak się stanie. Ale chciałem poznać Kosmos i nie miałem żadnej innej możliwości.

Ponieważ Hendrix nie odpowiedział, Max ciągnął dalej. Po uczuciu uspokojenia, odprężenia, ulgi, teraz czuł nagłą potrzebę usprawiedliwienia się, obrony, przedstawienia swoich racji, gdyż nie chciał, aby doktor Hendrix pożegnał go, mając fałszywy obraz sytuacji. Zależało mu na tym człowieku. Wiedział, że zrobił to, co musiał uczynić ... - tak przynajmniej mu się zdawało.

- A co pan sam zrobiłby na moim miejscu, sir?

- Ja? Może pan zamierza przez to pytanie dowiedzieć się, czy oceniam pański występ tak samo z punktu widzenia prawa, jak i moralności?

- Zakładam, że tak właśnie jest.

- Uważam, iż nie jest dobrze, jeśli ktoś ucieka się do kłamstwa, aby zdobyć to, na czym mu zależy. To niegodne! Doktor Hendrix poskubał się w wargę.

- Być może przedstawiam w tej chwili nieco faryzejski osąd pańskiej sprawy ... to moja własna

słabość ... W końcu muszę przyznać, że włóczęga, jakim pan był, nie mógł sobie pozwolić na luksus godności osobistej. A jeśli chodzi o wszystko inne, to trzeba powiedzieć, iż człowiek jest istotą z osobowością kompleksową ... nie wiem, nie czuję się dobrze w roli sędziego. Nie umiem wydać wyroku w pańskiej sprawie, Jones. To należy do pana. Władze osądzą ten postępek. Mnie w tej chwili interesuje jedynie fakt, czy posiada pan zdolności, które chciałbym wykorzystać ...

Uczucia Maxa znowu opadły parę stopni niżej, gdyż ponownie powróciła myśl o tym, że przegrał wszystkie szanse.

- Jak mam to rozumieć, sir?

- Proszę nie wyciągać fałszywych wniosków, Jones ... – Hendrix postukał w leżącą ciągle na biurku książkę - To nie jest po mojej myśli ... nie pochwalam tego rodzaju metod. Ale, być może, jest pan w stanie naprawić swój błąd. Ponieważ potrzebuję pilnie jeszcze jednego oficera, pańskie szanse są dosyć duże. Jeśli okaże się, że jest pan odpowiednim kandydatem, rozpatrzemy tę sprawę przychylnie. Nie ukrywam, że moja decyzja jest w znacznym stopniu uzależniona od względów natury osobistej. Pański wuj zobowiązał mnie, abym to zrobił.

- Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, sir. Dziękuję.

- Proszę mi nie dziękować. Niezależnie od tego, co postanowię, muszę przyznać, że nie jestem szczególnie dobrze do pana nastawiony ... przynajmniej w tej chwili. Proszę z nikim nie rozmawiać na ten temat - Poproszę kapitana, aby zwołał zebranie gildii. Ja, Blaine i mr. Simes będziemy za panem głosować. W międzyczasie wystawimy pana na próbę, aby móc się dowiedzieć, czy naprawdę spełnia pan wszystkie wymagania. Poza tym formalności będą nieco inne od ogólnie przyjętych ... chyba nie dziwi to pana, Jones? Max nie miał pojęcia o jakichkolwiek formalnościach, choć wiedział, że niekiedy oficerowie wysiadają przez "luk załadunkowy". Na razie interesowała go jednak inna sprawa.

- Mr. Simes, sir?

- Oczywiście. Wszyscy astronauta, z którymi pan pracuje, będą się musieli wypowiedzieć w tej sprawie.

- Hm ... I decyzja musi być jednogłówna?

- Tak.

- A zatem ... a zatem może pan już w tej chwili zrezygnować z całej tej sprawy. Sądzę ... umiem docenić pańskie trudy, ale ... Głos uwiązł mu w gardle. Doktor Hendrix uśmiechnął się zimno.

- Nie zechciałby pan zostawić tego wszystkiego w moich rękach?

- Przepraszam, sir.

- Kiedy sprawa zostanie załatwiona, porozumiem się z panem ... A może inaczej: o ile sprawa zostanie załatwiona, dam panu znać.

- Tak jest, sir! - Max powstał - Proszę o wybaczenie raz jeszcze, ale istnieje kilka wątpliwości, które chciałbym wyjaśnić.

Astronauta pochylał się już właśnie nad biurkiem, chcąc przystąpić do własnych zajęć, lecz spojrzawszy w stronę Maxa, ukazując złą, zniecierpliwioną twarz.

- O co chodzi?

- Może powiedziałby mi pan ... pytam tylko przez ciekawość ... otóż, może zechciałby mi pan powiedzieć, w jaki sposób odkrył pan to fałszerstwo, sir?

- Ach, to chcesz wiedzieć, Jones! So cóż ... sam się zdradziłeś. Jestem przekonany, że nie tylko ja znam tę sprawę ... Kelly chyba też ... on zawsze ma szczęście w rozwiązywaniu tego rodzaju łamigłówek. Pewnego razu słyszałem, jak Lundy zapytał pana o pewną knajpkę na Księżycu. Z pańskiej odpowiedzi wywnioskowałem, że nie wie pan, o czym mowa, a to jest niemożliwe. Każdy

astronauta, każdy, kto lata w Kosmosie, musi znać to miejsce ... Ta knajpka znajduje się tuż naprzeciwko wschodniej śluzy do księżycowego kosmodromu.

- Oh!

- Lecz cała sprawa wyjaśniła się już ostatecznie w połączeniu z tym ... - ponownie postukał w książeczkę lotów.

- Jak pan wie, Jones, stale mam do czynienia z liczbami, dlatego nie mogę nie zwracać uwagi na wymowę liczb, tak samo, jak nie mógłbym sam z siebie przestać oddychać. A z tego dokumentu wynika, że wyruszył pan w Kosmos na rok przed odejściem pańskiego wuja. Dobrze jednak wiem, że w tamtym czasie Chet kształcił pana u siebie w domu i nie mogło być inaczej, gdyż był pan zbyt młody. A zatem dwa równoważne fakty stoją wobec siebie w jawnej sprzeczności ... czy potrzebne są dalsze wyjaśnienia?

- Widzę, że nie wykazałem się zbyt wielką inteligencją ...

- Z pewnością nie można tego panu przyznać. Język liczb jest jednoznaczny, dlatego lepiej z nimi nie kręcić. Co poza tym leży panu na sercu?

- Niepokoją mnie jeszcze konsekwencje tego, co zrobiłem ... - Wskazał na sfalszowany dokument.

- Ach, to tutaj ... - westchnął Hendrix, podając książeczkę Jonesowi - Nie wiem. To jest już wyłącznie sprawa Gildii Stewardów i Pisarzy. Mój cech nie będzie się mieszał w kwestie natury dyscyplinarnej, należące do innej gildii. Nie mam jednak wątpliwości, że sklasyfikują to jako wykroczenie przeciwko etyce zawodowej i wyciągną wnioski ...

Z tą słabą pociechą Max wyszedł z kabiny Hendrixa. Mimo to czuł się znacznie lepiej, niż w chwili, gdy wchodził onegdaj na pokład. Myśl, o czekającej go karze nie była aż tak bardzo nie do zniesienia, jak życie z obawą, kiedy i gdzie go nakryją. Wkrótce jednak i o tym zapomniał - wizje ponurej przyszłości ustąpiły radości z powodu pierwszego kroku, jaki wreszcie zrobił na drodze do astronautyki. Chciałby móc opowiedzieć o tym Samowi ... albo Ellie ...

Tego samego dnia wpisano do księgi pokładowej, że Maximilian Jones został przyjęty na aspiranta do stopnia oficerskiego. Sam kapitan wezwał go do siebie, odebrał przysięgę, złożył życzenia pomyślności i nazwał go "mister Jonesem". Ceremonia była niezwykle prosta, odbyła się jedynie w obecności doktora Hendriaa oraz pisarza. Lecz to był dopiero początek. To, co nastąpiło później, zaskoczyło Maxa bardziej, niż sama nominacja.

- Myślę, że będzie znacznie lepiej, jeśli resztę dnia spożytkuje mr. Jones na przeprowadzkę i aklimatyzację - powiedział kapitan z lekkim mrugnięciem oka - Zrozumiał pan moje Intencje, doktorze?

- Oczywiście, panie kapitanie.

- A zatem w porządku. Bennett, będzie pan tak miły i wezwie Dumonta ...

Główny steward na pokładzie pasażerskim nie posiadał się ze zdumienia, ujrawszy, jak dotychczasowy pomocnik stewarda III klasy nieomal w ciągu paru chwil przedzierzgnął się w oficera. W odpowiedzi na pytanie kapitana odparł zaskoczony

- Sądzę, że mr. Jones mógłby zamieszkać w kabynie B-014. Czy jest pan zadowolony, sir?

- Oczywiście, oczywiście.

- Zaraz polecę, aby przeniesiono pańskie rzeczy na górę ...

- W porządku. A pan, mr. Jones, zechce pójść razem z Dumontem. Ale chwileczkę ... jeszcze moment. Przecież musimy znaleźć dla pana Jakąś czapkę. Kapitan podszedł do szafy i zaczął szukać.

- Pamiętam, że miałem jakąś, która powinna być odpowiednia.

- Kapitanie, niech pan nie szuka - powstrzymał go Hendrix - Mam jedną przy sobie. Poza tym mr. Jones i ja nosimy ten sam numer.

- Dobrze. Choć przypuszczam, że w ciągu ostatnich kilku minut jego głowa mogła nieco napuchnąć ...

- Już ja się postaram, aby wszystko wróciło do normy - nieprzyjemnie roześmiał się Hendrix, po czym podał Maxowi czapkę. Nowomianowany oficer odniósł wrażenie, jakby ten gest miał rangę symbolu, był echem sentymentu, świadectwem dawnych czasów. Omal nie wyszedł z siebie, gdy zaczął mrużyć coś, co miało oznaczać podziękowanie, a kiedy wychodził z kabiny, był bliski potknięcia się o własną nogę.

Gdy już zamknęły się drzwi kapitańskiego apartamentu, Dumont przystanął.

- Nie trzeba, aby pan szedł na dół, do kabiny załogi ... - zwrócił się do Jonesa - Jeśli z łaski swojej poda mi pan numer swojej szafki, sam to załatwię.

- Ależ, mr. Dumont! ... Mam bardzo niewiele rzeczy i poradzę sobie bez pańskiej fatygi. Lecz Dumont stał nieporuszony.

- Za pozwoleniem ... Niech pan obejrzy swoją nową kabinę, a ja już wszystko załatwię.

W swym nowym, jednoosobowym oczywiście, pokoju znalazł materac piankowy, zasłany kocem. Przy drzwiach znajdowała się niewielka umywalka oraz lustro. Nad łóżkiem wisiała półka na książki, obok szafa. Gdzieś w kącie znalazł opuszczony blat do pisania, telefon oraz brzęczyk, podłączony do pełniącego służbę oficera. W skład inwentarza wchodziło także ruchome krzesło, kosz na śmieci oraz niewielki dywanik na podłodze. Najbardziej jednak przypadł mu do gustu solidny zamek przy drzwiach - dobra gwarancja minimum prywatności. Właśnie oglądał zawartość szuflad, gdy wrócił Dumont z jego rzeczami - oczywiście sam nie niósł skąpego tobołka, gdyż ceniąc swą

godność zatrudnił przy tej pracy pomocnika, pełniącego służbę.

Steward wszedł za swym szefem i zapytał ze stosowną czołobitnością

- Gdzie mam złożyć te rzeczy, sir?

Max rozpoznał człowieka, który już od dawna siedział przy jego stoliku, podczas obiadów.

- Hallo, Jim! - wykrzyknął, lekko speszony - Walnij to wszystko na łóżko! Dziękuję.

- Tak jest, sir. Moje gratulacje.

- Dziękuję raz jeszcze.

Uścisnęli się. Dumont, jak zwykle czujny, dbał, aby ta ceremonia nie została przeciągnięta nad obowiązujące normy przyzwoitości.

- To wszystko, Gregory ... - włączył się, gdy obaj potrzęsali jeszcze prawicami - Możesz już wracać do zmywania. Coś poza tym, sir - ostatnią kwestię skierował oczywiście do Maxa.

- Nie, dziękuję.

- Czy mógłbym przypomnieć o konieczności nasycenia nowych dystynkcji? Mam nadzieję, że nie ma pan zamiaru wykonać tego własnoręcznie, sir ... Prawdopodobnie jestem lepszym mistrzem igły i nożyc - dodał z sarkazmem.

- Zapewne ... Ale sam też bym sobie poradził.

- Moja żona niewątpliwie będzie zaszczycona tym obowiązkiem - ciągnął Dumont - Szyje dla wszystkich pań z pokładu pasażerskiego. Jestem przekonany, że do kolacji mundur będzie gotowy, z nowymi dystynkcjami, oczyszczony i wyprasowany.

Max był szczęśliwy, że mógł obarczyć tą pracą kogoś innego. Poza tym w tej samej chwili dotarła doń świadomość konieczności odwiedzania salonu - od dzisiaj miał tam spożywać wszystkie posiłki. Zanim jednak zdążył się przebrać w nowy mundur, tuż przed kolacją ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na pozwolenie, wszedł. Zdumiony Max stanął twarzą w twarz z mr. Simes'em. Oficer popatrzył na czapkę Jonesa, po czym wybuchnął śmiechem.

- Niech pan to zdejmie, zanim pańskie uszy doznają uszczerbku. Max stał niewzruszony.

- Pan sobie czegoś życzy, sir?

- Tak. Tylko chwilki, abym zdążył przekazać ci pewną radę, a ty, po dziewięciokroć mądry ...

- Co proszę? Simes walnął się w piersi.

- Chodzi tylko o jedno ... Proszę pamiętać, że na tym statku istnieje jeden zastępca astronauty i ja właśnie mam zaszczyt pełnić tę funkcję. Proszę tego nie zapominać. Jestem nim i długo jeszcze będę, nawet wtedy, gdy pan znowu wróci do obory, wyrzucać gnój, bo tam jest pańskie właściwe miejsce. Max poczuł, jak płoną mu skronie i pali go twarz.

- W takim razie dlaczego zgodził się pan na tę nominację? Simes ponownie się roześmiał.

- Czy wyglądam na idiotę? ... Kapitan powiedział "tak", astronauta powiedział "tak" ... czy miałem nadstawić głowę? Lepiej zgodzić się i poczekać, aż pan popełni ten błąd, co z pewnością kiedyś wreszcie nastąpi. Chciałbym jedynie powiadomić pana, że ten kawałek złotego szamerunku nic jeszcze nie znaczy. Ciągle stoi pan niżej, niż ja. Powtarzam to w tej chwili, aby pan dobrze to sobie zapamiętał. Max zacisnął zęby. Nic nie odpowiedział. Tymczasem Simes wyraźnie na coś czekał.

- No? ...

- Co?

- Przecież wydałem rozkaz: nie zapominać!

- Tak jest, mr. Simes! Nie zapomnę! Z pewnością nie zapomnę! Simes rzucił jeszcze jedno lodowate spojrzenie.

- Nie powinien pan zapomnieć!

Wyszedł.

Max jeszcze stał z zaciśniętymi pięściami, spoglądając w stronę drzwi, gdy zapukał Gregory.

- Kolacja, sir. Za pięć minut.

Przyszedł nieomal w ostatniej chwili. Kilka pań siedziało już przy stole, kapitan Blaine jeszcze stał.

Maxowi przeszła przez głowę potworna myśl o wszystkich uciążliwościach życia w eleganckim świecie: kiedy wszyscy usiądą, on także będzie musiał zająć swoje miejsce - tylko gdzie?

Zaczął drzeć całym ciałem, dygotał nieustannie i nie mógł się pohamować, gdy usłyszał jakiś kobiecy głos.

-Max!

W jego stronę podbiegła Ellie, a po chwili zawisła mu na szyi, promieniejąc radosnym spojrzeniem.

- Max! Właśnie przed sekundą się dowiedziałam. Wspaniale! Patrzyła nań, pełna dumy i uśmiechu, zaś kilka sekund później pocałowała go w wargi.

Max zapłonął czerwienią od czubków palców aż po cebulki włosów. Kiedy w końcu zdołała się odeń oderwać, przez moment w okolicach serca poczuł rozlewającą się błogość, lecz wkrótce kolana nagle zwiotczały i znowu nie wiedział, gdzie się podziać.

Ellie ponownie zaczęła coś mówić - jak zwykle gadała, niczym najęta. Max stał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić i gdyby nie troskliwość Dumonta, wkrótce zamieniłby się w słup soli. Jednak steward bezpardonowo uciął tę gadaninę.

- Kapitan czeka, łaskawa panienko ...

- Mam go w nosie - odparła bez wahania, lecz po chwili zreflektowała się.

- Dobrze, już idę. Zobaczymy się po kolacji, Max.

Zanim jeszcze dokończyła ostatnich słów, już była w drodze do stołu kapitańskiego. Dumont uszczypnął oniemiałego Jonesa w ramię.

- Tędy, proszę.

Następna wachta rozpoczynała się dopiero nazajutrz, o ósmej rano. Max zjadł śniadanie. Ucieszył się na myśl, że jako oficer dyżurny będzie jadał przed, lub po pasażerach - przynajmniej w ten sposób uwolni się od wybryków Ellie.

Dwadzieścia minut przed czasem stanął w sterowni. Kelly rzucił w jego stronę krótkie spojrzenie.

- Dzień dobry, sir - powiedział zupełnie naturalnym głosem, jakby używał tej formuły już od dłuższego czasu.

- Dzień ... dzień dobry, szefie.

Nie uszło jego uwagi, że Smith, stojący za maszyną, wyszczerzył zęby. Szybko spojrzał w inną stronę.

- Właśnie zaparzyliśmy kawę, mr. Jones. Życzy pan sobie? ... Max musiał przystać na to, aby Kelly podał mu filiżankę. Przyjął ją bez mrugnienia okiem. Tym razem udało się zachować twarz. Popijając parujący, ciemnobrunatny, aromatyczny napój w spokoju oddali się omawianiu wszystkich zagadnień technicznych: pozycji, wektorów, siły ciągu, przejrzeni wykonanych zdjęć, stwierdzili, że wszystko jest w porządku. W tym czasie Noguchi przejął wachtę od Smitha, a krótko przed ósmą do pomieszczenia wszedł doktor Hendrix.

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry, doktorze.

- Dobry ... Hendrix takie wziął filiżankę kawy i spojrzał na Maxa.

- Czy już przejął pan wachtę od dyżurnego oficera? ' - Jeszcze ... jeszcze nie, sir.

- A zatem proszę to zrobić. Ma pan tylko minutę.

Max zerwał się na równe nogi, drżącą rękę przyłożył do daszka czapki i wykrztusił.

- Gotowy do zmiany, sir.

- W porządku, sir.

Kelly zszedł na dół, na podwyższeniu zajął miejsce Hendrix i normalną kolejną rzeczy rozpoczął urzędowanie. Z szuflady wyciągnął książki, przejrzał raporty i zagłębił się w lekturze.

Maxowi zrobiło się zimno już na samą myśl o tym, że za chwilę rzucą go na szerokie wody i albo będzie pływał, albo pójdzie na samo dno. Zaczerpnął oddech po czym ruszył w stronę Noguchi'ego.

- Przygotujmy kasety do zdjęć ...

Noggy spojrział na zegarek.

- Wiem, wiem ... mamy jeszcze mnóstwo czasu, ale w tej chwili moglibyśmy zająć się doopleryami ...

- Tak jest, sir!

Noguchi zsunął się z krzesła, gdzie dotychczas spędzał czas w słodkim lenistwie i wraz z Maxem przystąpił do pracy. Kiedy zebrali już dane, Jones usiadł wśród stosu tabel, po czym, sprawdzając uzyskane wyniki w rzędach cyfr wykrzykiwał je w stronę kolegi, który zajął stanowisko przy maszynie liczącej. Ponieważ nie było nikogo do pomocy, całą tę operację musieli wykonać we dwóch.

Choć Max miał przed oczami stosowne strony, zgodnie z radą Hendrixa nie dowierzał własnej pamięci, lecz liczba za liczbą sprawdzał uzyskane wyniki w odpowiednich tabelach.

Wynik obliczeń zaniepokoił go: właśnie wydostawali się z "bruzdy" i choć "Asgard" niezbyt daleko odbiegł od wyznaczonego toru lotu, jednak rozbieżność między przewidywaniami a rzeczywistymi koordynatami rejsu była zauważalna.

Sprawdził raz jeszcze poprawność obliczeń, później o to samo poprosił Noguchi'ego, lecz rezultat był ten sam.

Wzdychając wyliczył korektę i chciał przedłożyć ją Hendrixowi w celu uzyskania potwierdzenia, lecz astronauta jakby ogłuchł: nie zważał na półsłówka, westchnięcia i zupełnie wyraźne znaki, tylko siedział przy sterach, pogrążony bez reszty w jakimś powieścidle z biblioteki statku. W końcu trzeba było coś postanowić. Max podszedł do górującego nad resztą sali pulpitu.

- Przepraszam, sir, ale muszę na chwilę skorzystać z telefonu.

Hendrix bez słowa wstał, usiadł na drugim krześle i podjął przerwana lekturę. Jones zajął jego miejsce. Połączył się z maszynownią.

- Tu oficer dyżurny. Proponuję zwiększyć szybkość około godziny jedenastej. Oczekuj kontroli.

Hendrix nie mógł nie usłyszeć tego wrzasku, ale i tym razem nie zareagował. Max dokończył obliczeń oraz nastawił stoper, aby dokładnie o jedenastej wprowadzić korektę.

Tuż przed południem w sterowni pokazał się Simes.

Jones dokonał właśnie wpisu do księgi pokładowej, gdzie po raz pierwszy znalazło się zamaszyste "M. Jones". Simes podszedł do Hendrixa, zasalutował.

- Gotowy do zmiany, sir. Astronauta odezwał się po raz pierwszy od ośmiu godzin.

- On zauważył ...

Simes sprawiał wrażenie, jakby ktoś stuknął go pięścią prosto między oczy. W końcu podszedł w stronę Maxa.

- Gotowy do zmiany.

Jones zaczął, mu zdawać relację, podczas gdy on sam przejrzał książkę pokładową i dziennik wachtowy. Właśnie był przy wyjaśnianiu korekty lotu, jaką przed chwilą wprowadził, kiedy Simes przerwał mu niezwykle służbistym tonem.

- Przejąłem wachtę. Proszę opuścić sterownię, mister. Max bez słowa wyszedł. Doktor Hendrix od dawna był już na dole. Noguchi przystanął przy drabince - najwyraźniej czekał na kogoś.

Gdy spotkali się spojrzeniami, Noggy złożył palce w kółko i pokiwał głową. Max uśmiechnął się. Przez chwilę pomyślał, czy to przypadkiem nie odpowiedni moment, aby spytać co to właściwie było z rozbieżnościami kursu - może Kelly przygotował dlań kolejny próbny alarm, lecz w końcu się rozmyślił. Zawsze mógł zaspokoić swą ciekawość wprost u źródła.

- Dziękuję, Noggy.

W porównaniu z kolejnymi, ta wachta była zaledwie sielanką. Doktor Hendrix zaczął obarczać Maxa typowymi zadaniami oficera bezpośrednio odpowiedzialnego za tranzycję. Tym razem nie trzymał się na dystans, wręcz przeciwnie - siedział mu na karku, żądając rozwiązywania coraz to nowych i nowych łamigłówek. Wszystko działo się tak, jak gdyby "Asgard" rzeczywiście miał wykonywać kolejny skok w przestrzeni. Astronauta nie pozwolił mu wykonywać obliczeń na papierze, lecz krzyczał, że nie ma czasu na podobne łamigłówki - dane muszą być natychmiast załadowane w pamięć maszyny.

Max wydobywał z siebie ostatnie poty, podając niekończące się szeregi cyfr. Obie ręce trzymał na sterach, Hendrix miotał się w roli chłopca do tabel, krzycząc nieustannie, że nie o zabawę tu chodzi, lecz o dokładność. Jakikolwiek błąd, najmniejszy nawet, był niedopuszczalny. Jedyne celem to szybkość i skrupulatność do ostatniej cyfry po przecinku. Tylko raz pozwolił sobie Max na nieśmiały protest.

- Jeśli pozwoli mi pan użyć pamięci, szybko uporam się z zadaniem ...

Lecz ta skromna uwaga przyprawiła astronoma o coś w rodzaju furii -omal nie uniósł się w powietrze.

- Może pan sobie uprawiać te sztuczki na własnym statku - skarcił go ostro - Na własnym statku może pan sobie robić wszystko, na co tylko przyjdzie panu ochota. Ale teraz proszę pracować zgodnie z moimi poleceniami!

Niekiedy włączał się do rozmowy Kelly, pełniący funkcję kontrolera. Tym razem szef był niezwykle oficjalny.

- Pozwolę sobie zauważyć, sir ... - albo - Sądzę, że należałoby tak zrobić, sir ... - i w ten sposób przez cały czas. Jednak nie wytrzymał w tej konwencji zbyt długo. W końcu wyrwało mu się wprost spod serca.- Do cholery, Max! Niechże pan nie popełnia tych idiotycznych błędów po raz kolejny.- Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem w domu - roześmiał się Max.

Kelly nieco zbaraniał i widać było, że najchętniej zapomniałby to, co przed chwilą powiedział.

- Chyba jestem zmęczony ... Muszę napić się kawy ... W czasie przerwy, widząc, że Lundy stoi poza zasięgiem głosu, Max pochylił się w stronę szefa.

- Mr. Kelly ... przecież pan wie znacznie więcej, niż ja. Dlaczego nie pracuje pan jako astronauta? Chyba ma pan wystarczająco dużo okazji ... Rachmistrz jakby się stropił.

- Owszem, miałem kiedyś możliwość ... - odparł niezwykle chłodnym tonem - ... I dlatego teraz znam już granice swej wytrzymałości. Jones umilkł, do reszty zbity z tropu. Jednak od tej chwili Kelly zwracał się doń po staremu - "Max" - pod warunkiem, że byli sami. Gdy moment tranzycji był już blisko, ponownie rozpoczęto nieprzerwane dyżury w pełnej obsadzie. Tym razem doktor Hendrix nie przejął dowództwa, lecz pozostawił ten zaszczyt Simes'owi wraz z Maxem, zmieniających się nawzajem przy sterach.

I chociaż astronauta był obecny podczas każdej wachty, Jones sam dźwigał ciężar pełnej odpowiedzialności za wszystkie własne decyzje. Mimo, że włosy stały mu dęba ze strachu, Max miał znakomitą okazję, aby się przekonać, iż wszystkie ćwiczenia i próbne manewry były niczym w porównaniu z rzeczywistością, która nie daje człowiekowi ani możliwości, ani czasu na powtórne sprawdzenie danych i wycofanie się z raz powziętych decyzji. Tym razem wszystko musiało grać w najdrobniejszym szczególe.

Kiedy do całej operacji pozostały zaledwie dwadzieścia cztery godziny, zaś w sterowni zebrała się cała załoga, Max miał nadzieję, że Hendrix zechce w końcu przejąć dowodzenie. Nic z tego - Simes został zwolniony, lecz on sam pracował dalej, choć niekiedy astronauta spoglądał mu na ręce bez słowa kontrolując kolejne posunięcia. Panie Niebios ... - pomyślał zlany potem, niefortunny kandydat na zdobywcę przestworzy - ... żeby ten człowiek dał mi wreszcie święty spokój i zwolnił mnie przed samą tranzycją. Przecież jestem za głupi na podobne manewry?

Niestety - liczby, rzędy cyfr, długie kolumny zer i jedynek nieustannie, w coraz większym tempie krążyły mu wokół głowy, zajmując uwagę do tego stopnia, że już nie miał czasu na jakiegokolwiek inne myśli. Dopiero dwadzieścia minut przed decydującym momentem Hendrix w milczeniu przejął stery. Max nie zdążył jeszcze odpocząć, gdy nad kopułą sterowni zalśniły gwiazdy całkiem nowego, choć przecież tego samego Wszechświata.

Ostatnia tranzycją była niezwykle podobna do poprzedniej. Teraz znowu mieli kilka tygodni lżejszych wacht, które zostały w całości obsadzone przez Simes'a, Jonesa i Kovaka.

Hendrix oraz Kelly potrzebowali nieco czasu, by odpocząć. Max równie chętnie, jak poprzednio, wykonywał codzienne obowiązki. Czas służby i nieliczne chwile wolne od zajęć spożytkował na ćwiczenia, które miały mu pomóc osiągnąć bodaj w przybliżeniu tę wprost nieludzka biegłość doktora.

Poza tym spał i rozkoszował się bytem w nowej skórze. Kapitańska mesa już nie napawała go niewysłowioną grozą, wręcz przeciwnie - często siadywał tam wraz z Ellie, grając w szachy.

Chipsie jak zwykle chętnie mościła /mościł/ się mu na ramieniu i udzielała /udzielał/ rad.

Kapitan Blaine już za pierwszym razem zauważył niezwykłego gościa, który niezmiennie darzył go wdzięcznym "Dzień dobry, kapitanie" i oświadczył, że nie widzi powodów, aby to miłe zwierzątko zmuszać do życia w klatce.

Ellie nieustannie groziła Maxowi lekcjami tańca, lecz na usilne prośby swej ofiary zgodziła się je przełożyć aż do chwili, gdy minie następna tranzycją.

Jak poprzednio, i tym razem Jones zasiadł na miejscu astronauty. Doktor Hendrix przejął stery dopiero dziesięć minut przed punktem kulminacyjnym. Jednak po tej operacji czekały Maxa jeszcze bardziej uciążliwe godziny: Ellie nie tak łatwo rezygnowała ze swych planów.

Zaczęły się lekcje tańca.

Wkrótce zorientował się, że w towarzystwie takiej nauczycielki nawet ciężkie obowiązki sprawiają radość, a ponieważ miał wrodzone wyczucie rytmu nie przychodziło mu to z trudem.

- Zrobiłam wszystko, na co było mnie stać ... - obwieściła w końcu, spoczywając w jego ramionach - Jesteś najlepszym tancerzem z dwiema lewymi nogami, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać. Wkrótce obtańczył także mrs. Rebekę Weberbaures oraz mrs. Daigler. Ta ostatnia była nawet całkiem do zniesienia, pod warunkiem, że się nie odzywała, zaś Rebeka miała po prostu głowę do pozłoty. Doszło już do tego, że zaczął się cieszyć na samą myśl o zwiedzaniu najelegantszych lokali Halyconu.

Tylko jedna myśl psuła mu humor: Sam był w porządnym opałach. Kiedy się dowiedział, nie mógł już odwrócić biegu rzeczy.

Spotkał go zupełnie przypadkowo, gdy przyjaciel zapamiętałe czyścił pokład pasażerski - ubrany był w drelich, bez insygni.

- Sam!

- Oh, to ty? ... Mów ciszej, bo obudzisz gości.

- Co, do diabła, robisz tutaj?

- Wszystko wskazuje na to, że zabawiam się w kosmiczną kosmetyczkę.

- Ale dlaczego? Sam wsparł się na kiju miotły.

- Poróżniłem się nieco z kapitanem. Jak zwykle, władza wygrała.

- I dlatego cię zdegradowano?

- Zdumiewasz mnie ostrością widzenia oraz zmysłem krytycznym ...

- O co wam poszło?

- Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej. Nie dopuść, aby zaczęły ci rosnać siwe włosy. Sic transit gloria mundi ... tak przemija chwała tego świata ... nasz zawód ma to w sobie ...

- Zawód zawodem, ale ja muszę coś zjeść i lecieć na wachtę. Znajdę cię później.

- Nie rób tego.

Całą tę historię opowiedział mu Noguchi. Sam założył w jednej z ładowni regularne kasyno gry. Oczywiście, mógłby w spokoju ducha prowadzić ten biznes aż do końca podróży, czerpiąc całkiem niezły profit. Wszystko byłoby w porządku, gdyby poprzestał na kartach i grze w kości. Ponieważ jednak Sam był maksymalistą, uruchomił także ruletkę. Jeden z graczy - Giordano - po długich dociekaniach doszedł do najzupełniej słusznego wniosku, że owo "kółko szczęścia" przynosi klientom znacznie mniej dochodu, niż jest to w zwyczaju w najbardziej skąpych salonach. Swym spostrzeżeniem podzielił się z Kuipeamem, a ten z kolei sprawił, że wszystko przybrało taki, a nie inny obrót.

- Kiedy otworzył ten interes?

- Wkrótce potem, gdy opuściliśmy planetę Garsona ... Nie wiedział pan o tym? Sądziłem, że to pański kolega ... że był pańskim kolegą do czasu, kiedy trafił pan do sterowni ...

Max wykręcił się od odpowiedzi i zaczął czytać książkę pokładową. Pod datą dnia poprzedniego znalazł zapis, dokonany ręką Benneta oraz jego podpisem opatrzony. Zgodnie z nim, Sam otrzymał zakaz opuszczania statku aż do końca lotu, to znaczy do lądowania na Ziemi, gdzie czeka go jeszcze sroższa kara, której wykonanie na razie zawieszono. Ten ostatni passus oznaczał, że kapitan Blaine nie spieszył się z oficjalnym raportem do gildii, lecz chciał dać Samowi szansę: najwidoczniej miał nadzieję, iż winowajca zechce zmyć tę plamę przez nienaganne prowadzenie.

Blaine był naprawdę miłym staruszkiem, ale zakaz opuszczania statku to chyba najcięższy cios, jaki można było wymierzyć niedoszłemu milionerowi. W ten sposób Sam został pozbawiony jakiegokolwiek możliwości ucieczki.

Max wiedział, że musi porozmawiać z przyjacielem natychmiast, gdy tylko skończy wachtę. Tak też i zrobił.

Sam powitał go kwaśną miną.

- Mówiłem, że nie powinieneś do mnie przychodzić.

- Nie mów bzdur. Przecież przejmuję się tą sprawą. Martwię się, że nie możesz wyjść ze statku.

Innymi słowy, nie masz żadnej ...

- Bądź wreszcie cicho ... - wyszeptał Sam, lecz Max zdołał usłyszeć nawet ten nikły szmer.

Zamilkł.

- Czy ty przypuszczasz, chłopaczku ... - kontynuował tym samym ledwie słyszalnym głosem - ... że tylko z mego powodu zdecydują się opieczetować ten statek? A teraz wynoś się stąd i nie

przychodź więcej. Jesteś ulubieńcem Hendrixa ... Niech tak pozostanie na przyszłość. Nie szukaj okazji, żeby wszystko, co zdobyłeś, stracić przez Jedną głupią rozmowę. Basta.

- Chciałbym ci pomóc . . .

- W takim razie zechciej pofatygować się na górę, gdyż tam jest twoje miejsce.

Od tej chwili nie widywał już Sama. Poza tym nie bardzo miał kiedy rozmyślać o tej sprawie, gdyż Hendrix powierzył mu obliczenie koordynat podchodzenia do planety. Co prawda w porównaniu z tranzycją była to dziecinna zabawa, jednak wymagała wystarczająco dużo czasu, aby móc zapomnieć o całym bożym świecie. Tuż przed lądowaniem zasiadł przy sterach.

Ponieważ wszystkie obliczenia zostały już wykonane, a operację przeprowadzał automatyczny pilot, sterowany radarem lotniska, jego odpowiedzialność ograniczała się do czczej formalności. Owszem, musiał trzymać ręce na sterze, aby - w razie potrzeby - korygować decyzję maszyny. Za nim siedział Hendrix, gotowy naprawiać jego ewentualne Dotknięcia, lecz i jedno, i drugie okazało się jedynie zbytkiem ostrożności.

"Aagard" wylądował miękko, niczym głuchy na sankach.

- Lądowanie zgodnie z planem, sir.

- Proszę zabezpieczyć statek.

Max pochylił się nad mikrofonem.

- Maszynownia ... do zabezpieczenia statku! Procedura lotu wstrzymana. Obowiązuje regulamin "Po lądowaniu".

Trzy, spośród czterech dni postoju Max spędził razem z Kovakiem. Oficjalnie miał pełnić nad nim nadzór, praktycznie jednak były to kolejne lekcje na temat wyposażenia statku i działania przyrządów pokładowych, które przeglądali.

Ponieważ Ellie miała całkiem inne plany, nie obeszło się bez kłótni, ale ostatniego - czwartego już dnia Max wraz z dziewczyną zeszli na ląd, oczywiście pod czujnym okiem państwa Mendoza. Przeżyli naprawdę wspaniałe chwile.

W porównaniu z Ziemią Halycon jest zaledwie kamienistym pustkowiem i nawet Bonaparte - stolica tej planety - niewiele miała w sobie z metropolii, lecz wszystkie te niewygody rekompensowało prawdziwe powietrze, którym można było oddychać.

Porę roku określić by można jako schyłek lata. Jasna, promienna Pegasi sprawiała wrażenie gwiazdy darzącej ciepłem, w każdym razie królowała na bladobłękitnym nieboskłonie.

Mr. Mendoza wezwał dorożkę. Wsiedli i pojechali, podskakując w takt kłusu haliconijskiego kucyka.

W Hotel Josephine - najlepszym /i jedynym/ zajeździe stolicy zjedli kolację. Ku swej wielkiej radości znaleźli tu także trzyosobową orkiestrę, dobry parkiet oraz dania, które stanowiły miłą odmianę w dość monotonnym przecież menu pokładowym. Ponieważ do restauracji zawitała większa część pasażerskiej socjety i kilku oficerów, nie mogli narzekać na brak towarzystwa. Między jednym a drugim punktem programu Ellie prowadziła Maxa do tańca, lecz kiedy do ich stolika podeszła mrs. Daigler i niby to przypadkiem poruszyła ten temat, Jones czuł się zobowiązany, by zaprosić damę do kolejnego walca. Podczas przerwy dla orkiestry towarzysza poprowadziła go na balkon. Tu przystanąwszy po czym spojrzała mu głęboko w oczy.

- Mam nadzieję, że w przyszłości zostawi pan tę damę w spokoju.

- Co proszę? ...Przecież nie popełniłem nietaktu ... Przez twarz Ellie przebiegł rozbawiony uśmiech.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. Wobec tego ja sama będę w przyszłości bardziej czujna.

Odwróciła się i wsparła plecami o barierkę.

Właśnie zapadł zmierzch. Na niebie jaśniały obok siebie trzy halycońskie księżycy, zaś wyżej, w tle, rozblęskło całe morze gwiazd. Max zaczął wskazywać poszczególne konstelacje, objaśniając ich dalszą drogę na Terrae Novae.

Od chwili, gdy opuścił Ziemię, zdążył poznać cztery nowe gwiazdozbiory - poznał je równie dokładnie, jak to niebo, które co wieczór obserwował nad Ozarks. Wkrótce zaznajomi się z kolejnymi zakątkami Wszechświata - własnymi oczami obejrzy to, co dotychczas znał jedynie z map.

- Oh, Max ... czy to nie cudowne ...

- Z pewnością ... A tam, spójrz, spada gwiazda ... Nieczęsto można dojrzeć coś podobnego w tej okolicy.

- Klech pan wypowie jakieś życzenie ... tylko szybko, szybko ...

- W porządku. Pomyślę sobie ...

Życzył sobie, aby - jeśli los tak zechce - zyskał w tej podróży coś więcej, niż tylko awans. Pomyślał o parze niebieskich oczu, w których odbijały się gwiazdy.

Szybko jednak doszedł do wniosku, że jest samolubem. Należałoby raczej życzyć szczęścia Samowi, który utknął po uszy w bagnie. Tak też i zrobił, choć nie był przekonany, czy jego życzenie się spełni. Spojrzała w jego stronę.

- I czego pan sobie zażyczył?

- Czego? ... - przestraszył się nieco, tak gwałtownie wyrwany z zamyślenia, lecz wkrótce doszedł do siebie.

- Czego? ... Lepiej o tym nie mówić, gdyż można zapeszyć.

- Prawda. Ale jestem przekonana, że pana to nie dotyczy. Przez moment korciła go myśl, aby ją pocałować. Jeśli tylko dobrze rozdał karty, nie powinien tracić okazji i korzystać ze sposobności. Ta nadzwyczajna śmiałość odeszła go jednak tak szybko, jak szybko się pojawiła. A jednak w drodze do domu czuł się niezwykle rześko - rozpierała go duma. Przy służbie wyszedł mu na spotkanie Kelly.

- Mr. Jones. Kapitan chce z panem rozmawiać, natychmiast.

- Co? ... Aha, kapitan ... Dobranoc, Ellie, muszę się pospieszyć. Dopędził rachmistrza.

- Coś się stało? ...

- Doktor Hendrix nie żyje.

Kiedy biegli do kabiny kapitana, zaczął wypytywać Kelly'eya o dalsze szczegóły.

- Nie wiem. Po prostu nic nie wiem ... - rachmistrz był bliski płaczu. - Widziałem go przed kolacją ... później poszedł do sterowni aby obejrzeć, co pan i Kovak zdołaliście zrobić. Sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego, normoalnego człowieka. Później znaleziono go martwego w kabinie ... Nie wiem, co się teraz stanie - dodał, zakłopotany.

- O czym pan myśli?

- Cóż ... Na miejscu kapitana zaczekałbym na zastępcę ... Ale nie mam pojęcia, czy to właściwa decyzja.

Dopiero teraz dotarło do Maxa, że w tej sytuacji mr. Simesa obejmie obowiązki astronauty.

- Jak długo musielibyśmy czekać?

- Hm ... "Dragon" podąży za nami w odległości około trzech miesięcy ... tylko on mógłby przejąć wiadomość i przekazać ją bazie ... Sądzę, że mielibyśmy około roku postoju.

Drzwi do kabiny kapitańskiej były otwarte na oścież. W środku roilo się od oficerów. Max wszedł za innymi. Nie meldował przybycia - w ogóle usiłował pozostawać w cieniu, nie narzucając się ze swą obecnością.

Kapitan Blaine siedział przy biurku ze spuszczoną głową. Kiedy doszło jeszcze kilku ludzi, pierwszy oficer mr. Walther zameldował stłumionym głosem.

- Wszyscy oficerowie na miejscu, kapitanie. Blaine podniósł głowę.

- Moi panowie ... - rozpoczął powoli i cicho - ... Z pewnością znacie już tę smutną nowinę. Dziś wieczorem znaleziono doktora Hendrixa martwego. Lekarz mówi, że śmierć nastąpiła około dwie godziny przed odkryciem zwłok. Prawdopodobnie umarł nie czując bólu. Na chwilę zawiódł go głos. Dopiero po kilku sekundach mógł kontynuować .

- Nasz ulubiony brat Hendrix zostanie oddany Przestrzeni jutro, dwie godziny po starcie. Rozpocznie swą ostatnią podróż wśród gwiazd. Nie wątpię, że tak właśnie brzmiałoby jego ostatnie życzenie, gdyby zdążył je wypowiedzieć, albowiem Droga Mleczna była jego ojczyzną. Tutaj też niech pozostanie. To wszystko, moi panowie. Astronautów proszę, aby zechcieli na moment pozostać.

Max nie miał pewności, czy został zaliczony do tego grona, lecz ponieważ kapitan użył liczby mnogiej, poczuł się zobowiązany. Kiedy pierwszy oficer także chciał wyjść, Blaine zawrócił go i przemówił do trzech mężczyzn.

- Mr. Simes ... Od tej chwili przejmie pan stanowisko szefa sterowni. Pan, mr ... hm ... Spojrzał na Maxa.

- Jones, sir.

- ... Pan, mr. Jones, także zechce wrócić do swych obowiązków. Choć nic nie powetuje nam tej straty, chcę uczynić wszystko, abyśmy mogli kontynuować podróż bez zbędnych opóźnień. Stoję do dyspozycji. Włączył się Simes.

- Nie trzeba, sir. Sądzę, że poradzimy sobie sami.

- Być może. W każdym razie chciałbym być przydatny.

- Tak jest!

- Proszę czynić przygotowania do startu zgodnie z planem. Jeszcze jakieś pytania?

- Nie, panie kapitanie.

- A zatem dobrej nocy obu panom. Walther, pana proszę jeszcze na moment rozmowy.

Max miał pierwszą wachtę. Po ostrej wymianie zdań /był to raczej monolog Simes'a,

przerywany potknięciami lub zaprzeczeniami ofiary/ otrzymał stosowne polecenia z uwagą, aby nie ważył się podejmować jakiegokolwiek samodzielnej decyzji.- Wszystko powinien telefonicznie konsultować z nowomianowanym astronautą. Po godzinie zastąpił go Kovak.

Jones podążył do służby pasażerskiej, gdzie jako piąty dołączył do warty honorowej - przy marach stał już kapitan, mr. Walther, Simee oraz Kelly.

Cały korytarz był wypełniony ludźmi - obecni byli wszyscy oficerowie i większość załogi. Nie zauważył nikogo z pasażerów. Otwarto wewnętrzne drzwi służby.

Dwóch pomocników stewarda uniosło mary i oparło je o wrota zewnętrzne. Zamknięto drzwi wewnętrzne. Wszyscy cofnęli się. Przy progu po-został jedynie Simes i Walther z jednej strony oraz Max i Kelly z drugiej. Kapitan stał pośrodku, wpatrzony w drzwi.

- Otworzyć służę! Wkrótce rozbrzmiały głośniki:

"Do załogi i pasażerów. Statek wystartował przed trzydziestoma sekundami. Proszę trzymać się uchwytów i nie zmieniać miejsca". Max sięgnął do klamry - jednej z wielu, okalających korytarz wokół służby. Dłonie zacisnął tak mocno, że potężny spadek ciężenia nie był w stanie oderwać go od podłogi.

Zawyła syrena - poczuł, że w jednej chwili ciało straciło cały ciężar - wyłączono sztuczną grawitację, a sam "Asgard" zawiał na moment w przestrzeni.

Usłyszał kapitana, dobitnie wypowiadającego słowo po słowie.

- Popiół do popiołu, proch do prochu. Niech Przestrzeń zechce przyjąć cię łaskawie. Wskazówka licznika opadła na zero. Doktor Hendrix został oddany gwiazdom.

Ciążenie powróciło. Obecni w korytarzu ludzie zaczęli powoli wychodzić, szepcząc cicho między sobą. Max wrócił do sterowni i zwolnił Kovaka.

Następnego dnia rano mr. Simes przeprowadził się do kabiny zmarłego astronauty. Jones wiedział z trzeciej ręki, że pierwszy oficer ostro zaprotestował, jednak ostatnie słowo należało do kapitana. Praca w sterowni szła normalnym trybem, choć ciągle było czuć ciężką atmosferę, otaczającą nowego szefa. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, aby ktokolwiek wydawał komukolwiek jakieś polecenia na piśmie - wystarczały zwykłe rozmowy i ustalenia ustne. Dopiero teraz ukazał się wykaligrafowany na dużej karcie sztywnego kartonu grafik:

Pierwsza wachta: Randolph Simes, astronauta Druga wachta: Kapitan Blaine

/Mr. Jones, kandydat/ Trzecia wachta: Kelly, rachmistrz - szef

podpisano /-/ Randolph Simes

astronauta

Później widniał rozkład dyżurów w systemie czterowachtowym, także opatrzony podpisem Simes'a.

Max popatrzył na ten - jakże znamienny - objaw nowych porządków i zajął się własną pracą.

Nie ulegało wątpliwości, że nowy szef sterowni czuje coś w stosunku do jego osoby, choć sam obiekt owych szczególnych względów nie miał pojęcia, czemu właściwie powinien je przypisać.

Poza tym doskonale wiedział, iż Simes nie ma zamiaru dopuścić go do samodzielnej pracy astronauty, a tym samym jego szansę na odebranie pełnego wykształcenia Gildii Astronautów spadły do zera. O ile oczywiście kapitan Blaine nie zmusi go do sporządzenia pochlebnego raportu, tej ewentualności nie można było jednak brać na serio pod uwagę. O nastrojach Maxa dobrze może świadczyć fakt, że ponownie zaczął się zastanawiać nad możliwością ucieczki wraz z Samem. W każdym razie, jakkolwiek mogłyby się potoczyć coraz bardziej zawikłane sprawy, starał się nie wchodzić w drogę swemu prześladowcy i przed czasem zażegnawać załążki konfliktów.

Między Halyconem a Terra Nova mieli tylko jedną tranzycję - skoku o siedemset lat, w połowie

drogi do celu.

Pod koniec pierwszej wachty, odbytej wraz z kapitanem, Max podpisał książkę pokładową, jak zwykł to od dawna czynić. Skończył służbę i poszedł do kabiny. Położył się spać.

Zaledwie rzucił się na materac, wezwano go do sterowni. Zameldował się Simes'owi. Ten, nie odpowiadając na raport, postukał palcem w rubrykę, opatrzoną jego podpisem.

- Co to ma znaczyć?

- Co? ...

- Pański podpis w księdze pokładowej. Przecież to nie pan był oficerem dyżurnym.

- Nie byłem, lecz kapitan najwyraźniej tego właśnie ode mnie oczekiwał. To nie pierwszy mój podpis. Dotychczas nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń.

- Porozmawiam z kapitanem. Proszę wracać do siebie.

Pod koniec następnej wachty Max otworzył książkę, a ponieważ nie otrzymał żadnych instrukcji, skierował się do Blaine'a.

- Panie kapitanie. Czy zechce pan własnoręcznie złożyć podpis, czy mam go w tym wyręczyć? ...

- Co proszę? ... - Blaine nie od razu zrozumiał, o co chodzi. Dopiero gdy rzucił okiem na księgę, uśmiechnął się.

- Ach, tak ... Chyba będzie lepiej, jeśli sam to zrobię. Ciągle mam wrażenie, że szef chce zaprowadzić swoje porządki. Lepiej go usłuchać.

W ten sposób załatwiono tę sprawę, lecz nie był to koniec całej afery z podpisami.

Wkrótce kapitan zaczął coraz częściej znikać ze sterowni. Wpierw na chwileczkę, później na dłużej, aż w końcu poszedł do siebie przed zakończeniem wachty i już nie wrócił. Max został zmuszony obudzić Simes'a.

- Kapitan jest nieobecny, sir. Co mam robić?

- Jak to? ... - astronauta był szczerze zdumiony - Kapitan może robić, co chce, a pana obowiązkiem jest opuścić sterownię.

- Ale Kelly czeka na zmianę wachty, zaś nie ma nikogo, kto mógłby podpisać księgę. Mam zawołać kapitana?

- Zawołać kapitana? ... Czy pan oszalał? - W takim razie co pan rozkaże, sir? ...

Chwila ciszy ...

W końcu Simes odzyskał głos.

- Niech pan wpisze nazwisko kapitana, ale drukowanymi literami i z adnotacją "W imieniu". O resztę powinien sam pan zadbać. Ostatni tydzień przed tranzycją minął znowu pod znakiem dyżurów no stop. Max nadal pracował z kapitanem, a Kelly asystował Simes'owi. Tym razem Blaine dał się poznać jako rygorysta, a gdy Jones chciał rozpocząć pierwsze rachunki, kapitan łagodnie, lecz stanowczo usunął go na stronę.

- Lepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę ...

Max zajął więc stanowisko asystenta. Dopiero teraz włosy stanęły mu na głowie dęba, gdyż właściwie dopiero w tej chwili kapitan zaprezentował swe umiejętności zawodowe w pełnej krasie.

Umiejętności ... Być może kiedyś je posiadał, lecz obecnie z pewnością nie był tym samym człowiekiem, co dawniej.

Oczywiście, posiadał wystarczającą znajomość teorii, znał wszystkie pułapki, w które może wpaść nawigator statku, ale nieustannie o nich zapominał, pochłonięty jakimiś innymi myślami, wiecznie zadumany, niekiedy roztargniony.

Max musiał dwa razy wyteżać cały swój kunszt dyplomatyczny, aby w sposób oględny, z zachowaniem należącego siwej głowie szacunku zwrócić uwagę na kilka szczegółów - a mówiąc po

prostu - błędów, których dopuścił się Elaine podczas obliczania koordynat.

Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że kapitan w ogóle nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swych pomyłek.

Ciągle promieniał samozadowoleniem i niczym się nie przejmował. Gdy nadszedł dzień tranzycji, Max zorientował się jednak, że Blaine nie ma zamiaru osobiście prowadzić statku, ani nie myśli przekazać sterów w ręce Simes'a. Kapitan miał swój własny system.

Kiedy wszyscy zebrali się w sterowni, wystąpił z krótkim przemówieniem.

- Chciałbym dzisiaj pokazać panom pewną sztuczkę ... niewielki chwyt, który sprowadza całą astronautykę do rzędu dziecinnych rozrywek. Doktor Hendrix, choć był znakomitym astronautą ... nie znam lepszego ... pracował jednak zbyt wiele. Ja natomiast mam metodę, której nauczył mnie sam mój mistrz ... Kelly, jeśli będzie pan tak miły ... Proszę włączyć zdalne sterowanie.

Poleciał im, aby usiedli półkolem wokół Kelly'eya, który obsługiwał maszynę liczącą. Każdy z nich otrzymał formularze. Kapitan trzymał w ręku urządzenie do zdalnego sterowania.

- Sprawa jest niezwykle prosta. Otóż każdy z was otrzyma odpowiednie dane, na których podstawie będzie musiał obliczyć odpowiednie współrzędne. W ten sposób podzielimy się obowiązkami, każdy zrobi swoje po czym w spokoju ducha będziemy mogli wypić kawę. A teraz spróbujmy ... Próba była udana. Kapitan wstał ze swego krzesła.

- Mr. Simes, proszę mnie zawołać dwie godziny przed tranzycją. Mam nadzieję, że i pan, i mr. Jones zagustujecie w mojej metodzie. Po co się pocić?

Ani jeden, ani drugi nic nie odpowiedzieli. Przystąpili do pracy. Po kolei każdy wykonał swoją część obliczeń, po czym nanieśli dane na odpowiednie formularze.

Max miał wystarczająco dużo czasu, aby doprowadzić obliczenia do końca, wpisać wynik i zająć się zadaniem Simes'a. Ponieważ współrzędne podawano głośno, nic nie stało na przeszkodzie, aby zapisać je w pamięci i w odpowiedniej chwili wywołać, opracować według dobrze znanego algorytmu, po czym porównać wynik z tym, co wpisał kolega. O ile się orientował, Simes poprawnie wykonał obliczenia. Zjedli kanapki, popili kawę. Dwadzieścia minut przed czasem zjawił się kapitan.

- I jak, moi panowie? ... Wszyscy zadowoleni? ... Chociaż wkrótce musimy wziąć się do roboty, mam nadzieję, że pozwolicie mi na filiżankę kawy? ...

Kilka minut później rozsiadł się na krześle i przejął od Simes'a stery-

Minęła godzina. Do tranzycji pozostało zaledwie czterdzieści pięć minut. Kapitan powiódł wzrokiem.

- Tak, chłopcy. Wszystko już gotowe. Podajcie wyniki.

Smyth i Kovak, wspierani przez Noguchi'ego oraz Bennetta pracowali pełną parą.

Tylko raz doszło do drobnego spięcia. Simes mówił zbyt szybko, dlatego liczby, które podawał, padały jednym ciągiem i trudno było je zrozumieć.

Landy zareagował natychmiast.

- Proszę powtórzyć!

- Do cholery, niech pan sobie wymyje uszy! - zagrzmiął świeżo upieczony astronauta, mimo to powtórzył wszystko od początku. Kapitan spojrział znad sterów, jednak po chwili bez słowa komentarza pograżył się w swej pracy.

Gdy tylko maszyna była gotowa na przełknięcie następnej porcji informacji, Blaine zaczął podawać swój wynik.

W tym czasie Max już dawno uporał się także i z jego zadaniem i sprawdzał kolumny cyfr, dyktowane przez kapitana, nie spuszczać oka z Simes'a. Wtem gdzieś w podświadomości

zadźwięczał dzwonek alarmowy.

- Kapitanie! Nie zgadzam się z pańskimi obliczeniami.

- Co proszę?

- Obliczenia są błędne, sir.

Kapitan nie wydawał się być zagniewany. Po prostu podał swą kartkę astronautcie.

- Niech pan sprawdzi. Simes przebiegł wzrokiem setki cyfr.

- Wszystko w porządku, kapitanie. Blaine spojrział na Jonesa.

- Jakikolwiek błąd jest wykluczony. Mr. Simes i ja doprowadzimy całą tę zabawę do szczęśliwego końca. Proszę się nie obawiać.

- Ale ...

- Wykluczone! - powtórzył z kolei Simes.

Gotując się ze złości Max opuścił koło. Nie mógł jednak przestać liczyć. Kolejne posunięcie astronauty tak czy owak musiało doprowadzić do ujawnienia pomyłki Blaine'a. Niewielka korekta powinna wszystko załatwić.

Zauważył, że gdy maszyna wyświetliła kolejne dane i Lundy zaczął je sprawdzać, Simes lekko się zawahał ... co więcej - wyglądał na ciężko przestraszonego.

Żeby w tej chwili dokonać korekty lotu, trzeba byłoby osiągnąć najwyższą, z możliwych szybkości, czyli stanąć w punkcie krytycznym. Astronauta zastanawiał się przez moment i przyspieszył, lecz była to zaledwie połowa tego, co Max uważał za niezbędne. Blaine podał kolejną współrzędną, po czym przeszedł do następnych obliczeń. Kiedy maszyna wyświetliła dane, błąd był już wyraźny, gdyż spotęgowany. Kapitan rzucił w stronę astronauty zdumione spojrzenie. Za chwilę przystąpił do wyliczania kolejnej poprawki. Simes zwilżył zeschnięte wargi.

- Kapitanie? ...

- Mamy jeszcze czas ... Sam to zrobię, mr. Simes.

Podano mu liczby. Gorączkowo zaczął coś liczyć na swoim arkuszu. Zegar pokazywał upływający czas. Mijały sekunda za sekundą, zaś Blaine ciągle liczył, łypiąc w stronę stopera.

- Uwaga!

Max spojrział do góry.

Nad kopułą zawirowały gwiazdy. Blaine pociągnął za ster, niebo wygasło, a po chwili rozjaśniło się ponownie, lecz w innych konfiguracjach. Kapitan oparł się o krzesło.

- No ... - zatarł ręce z zadowoleniem - ... stwierdzam, że i tym razem jakoś poszło.

To mówiąc wstał i ruszył do wyjścia. Zanim jednak opuścił sterownię, odwrócił się w stronę Simes'a.

- Niech pan mnie powiadomi, gdy tylko ustalicie współrzędne.

Po chwili wyszedł.

Max znowu zadarł głowę. Na podstawie obrazu, zapamiętanego z map, próbował się zorientować, w jakiej części nieba się znajdują. Także Kelly popatrzył w górę.

- Tak ... - mruknął za moment - Niewątpliwie jakoś to poszło, ciekawe tylko, dokąd żeśmy trafili? ... Simes rzucił spojrzenie na kopułę.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - w jego głosie zabrzmiała groźba.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł rachmistrz, pewny swego. - Na podstawie długoletnich obserwacji stwierdzam, że nie znam tych gwiazdozbiorów, które mamy szczęście podziwiać.

- Bzdura! Pan nie wie, co mówi. Proszę przynieść mapy i dopiero wtedy się okaże, kto ma rację.

- Mapy są już na miejscu. Noguchi ...

Nie potrzebował zbyt dużo czasu, aby przekonać każdego z obecnych, że się nie myli. Wystarczyło tylko rzucić okiem. To właśnie zrobił Sines.

Po chwili podniósł głowę znad stołu, pokazując wszystkim bladozieloną, przerażoną twarz.

- Proszę nie pisnąć nikomu ani słowem - wyszeptał - To rozkaz. Kelly, niech pan zajmie moje miejsce.

- Tak jest, sir.

- Będę u kapitana.

Dwie godziny później Max ponownie wspinał się po drabince do sterowni. Był przytłoczony ciężarem ostatnich wydarzeń. Nawet kapitan Blaine, choć gotów był obciążyć winą każdego, kto nawinął mu się pod rękę, byleby nie siebie samego, sprawiał wrażenie człowieka przygnębionego. Tylko mr. Simes był pewny siebie. Ponieważ jego żelazna, acz nieco grubiańska logika nie dopuszczała, aby on sam był czegokolwiek winny, zaś kapitan był poza wszelkimi podejrzeniami, zatem cały ciężar zbrodni spoczywał na Jonesie.

Co prawda Max nie brał bezpośredniego udziału w całej operacji, gdyż kilka minut przed tranzycją został wyłączony, logika nakazywała doszukiwać się jakichś uchybień Jonesa tuż przed nadejściem krytycznego momentu.

Wprawdzie i mr. Walthers był obecny w sterowni, lecz jedynie jako niemy świadek wydarzeń - te sprawy nie leżały w jego gestii. O nic nie pytał, nic nie mówił - wystarczy, że czytał z ich twarzy. Max postanowił bronić swych racji.

Znalazł Kelly'eya jeszcze na służbie. Kovak i Smyth badali właśnie spektrogramy. Noguchi i Lundy zagrzebali się w jakichś swoich papierach - nic nie było w stanie oderwać ich od pracy.

- Chcę pana zastąpić ... - odezwał się do Kelly'eya - Zmiana wachty. Rachmistrz miał zatroskaną twarz.

- Przykro mi, ale to niemożliwe!

- Co takiego?

- Właśnie przed chwilą zadzwonił Simes i powiadomił mnie, że został pan wyłączony z ekipy dyżurnej.

- Nic dziwnego.

- Dodał jeszcze, że od dzisiaj nie ma pan prawa wstępu do sterowni.

Max nie mógł się powstrzymać od cierpkiej uwagi. Ha zakończenie dodał jeszcze.

- Cóż, i tak trwała ta przyjemność zbyt długo. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Już zmierzał do wyjścia, gdy Kelly go powstrzymał.

- Niech się pan tak nie spieszy, Max. Simes nie prędko tu wróci, ja natomiast chętnie bym się dowiedział, o co właściwie chodzi. Niestety, maszyna licząca nigdy nie mówi o niczym, poza cyframi. Max wyrzucił z pamięci wszystkie obliczenia i zdał szczegółową relację z przebiegu całej operacji. Gdy skończył, Kelly pokiwał głową.

- To, co mówisz, potwierdza informacje, jakie udało mi się wygrzebać. Kapitan pomylił się w dwóch miejscach ... To nie nowina ... każdemu może się przydarzyć. Ale Simes popełnił zbrodnię z premedytacją, nie dopuszczając do korektury lotu. Cóż ... jest tu jeszcze coś, o czym ani jeden, ani drugi nie wiedzą do tej pory.

- Co?

- Zapis wszystkich wydarzeń, dokonany przez maszynownię. Mam go przy sobie ... Gunther był tak łaskawy, że powierzył go mojej pieczy ... Oczywiście, nie wspominałem mu o tym, co się stało. Czy pasażerowie coś zauważyli?

- Do tej pory wszystko po staremu ...

- Chyba nie na długo. Nie sposób skrywać tego wiecznie. Ale wróćmy do tej historii z zapisem maszynowni. Otóż sytuacja nie była jeszcze beznadziejna ... kapitan zamierzał dokonać korekty, lecz Simes świadomie wprowadził go w błąd. Nawet najcięższe słowo było tu zbyt słabe.

- Ma pan jakieś nikłe wyobrażenie, gdzie jesteśmy? - Kelly wskazał na spektrogramy.

- Kovak i Smyth pracują, jak mogą, ale na razie bez rezultatów. Za cholerę nie mogą niczego się ucześcić. Wiemy tylko, że przed nami gwiaździste niebo ... Jasne gwiazdy typu -B i -O, nie umieszczone w żadnym z dostępnych katalogów. Noguchi oraz Lundy pracowali z aparatem fotograficznym.

- Co oni robią?

- Fotografują wszystkie zapisy, formularze, spisy danych i taśmy maszynowe, wszystko ...

- Po co?

- Być może bez celu, ale niekiedy zdarza się, że dokumentacja lotu gdzieś ginie ... Niekiedy ktoś wprowadza jakieś dziwne zmiany ... Tym razem nic takiego nie przejdzie. Wszystko trzymam we własnych rękach.

Max zatopił się w myślach nad tym, co przed chwilą usłyszał, gdy podszedł Noguchi.

- Skończyliśmy już, szefie.

- Świetnie. - Kelly zwrócił się do Jonesa. - Zechce mi pan wyświadczyć niewielką przysługę? ... Niech pan weźmie ze sobą te filmy. Nie chciałbym, żeby wpadły w niepowołane ręce. Później zabiorę je do siebie.

- Oczywiście. Skoro tak pan sobie życzy ... Podczas gdy Noguchi wyjmował filmy z aparatu, Max zadał jeszcze jedno pytanie.

- Jak pan myśli ... Ile czasu upłynie, zanim się dowiemy, gdzie jesteśmy?

Kelly spojrzał nań miną człowieka, który stanął na granicy zwątpienia i dalej już nie może.

- A co skłania pana do zakładania z góry, że w ogóle możemy się stąd wydostać ... przynajmniej to pytanie świadczy o nadmiarze optymizmu ...

- Nie rozumiem ...

- A czy musimy znaleźć jakąkolwiek odpowiedź? Max był nieco zbity z tropu.

- Czy pan przypuszcza, że zboczyliśmy z Drogi Mlecznej?

- Całkiem możliwe. Ale to jeszcze nie wszystko. Jak panu wiadomo, nie jestem fizykiem, lecz na tyle mnie wyuczono, żebym wiedział, iż przekroczenie prędkości światła może pociągnąć za sobą konsekwencje wprost nie do przewidzenia. Ten, kto waży się na coś podobnego, zawsze musi liczyć się z ryzykiem długiej wycieczki dokądkolwiek, a nawet poza własną przestrzeń. Teoria nic nie mówi, ani dokąd, ani jak wrócić. Czy się mylę? ...

- Hm ... chyba nie.

- Też tak sędzę. Możemy więc być "gdziekolwiek indziej", co należy rozumieć także jako obcą czasoprzestrzeń, w niczym nieporównywalną do tej, którą znamy.

Kiedy Max schodził do kabiny na dół, czuł się tak marnie, jak nigdy dotychczas. Po drodze spotkał mr. Simes'a, który rzucił mu krzywe spojrzenie, lecz nic nie powiedział.

Filmy zagrzebał w jakiejś skrzynce, jednak po chwili wyciągnął je i ulokował w załomie za szufladą.

Siedział w kabinie, pochłonięty własnymi dociekaniem. Był wściekły że zamiast wyszukiwać na nieznanym firmamencie swojsko wyglądających konstelacji, musi tkwić w ciemnej klitce, marnotrawiąc cenny czas. Owszem, gwiazdy typu -O i -B ... to brzmiało całkiem nieźle, wiarygodnie, kto wie, może nawet tak było w rzeczywistości, lecz poza tym istniał przecież cały tuzin innych ewentualności.

Na przykład gromady gwiazd kulistych, niezwykle łatwych do zidentyfikowania - wystarczyło wziąć zaledwie cztery spośród nich i już się wiedziało, gdzie się stoi. Zupełnie tak samo, jak ze znakami drogowymi.

To jednak była tylko czysto formalna możliwość - żeby móc coś podobne-go zrobić, trzeba było

wiedzieć, czego i gdzie chce się szukać ... I tak dalej, aż do konieczności wyszukiwania skupisk przystających...

Bóg jeden wie, ile wymagało to czasu. W każdym razie statek nie mógł ot, tak sobie przepaść w morzu gwiazd. Załóżmy, że naprawdę opuścili Drogę Mleczną? ... Ta myśl wprowadziła go w stan nieomal podgorączkowy. Jeśli to prawda, wówczas nie wrócą do domu.

Wkrótce potem powstał nowy pomysł: a jeśli da się dowieść, że Kelly ma rację, że utknęli w innej czasoprzestrzeni ... co wtedy?

Inny wszechświat mógł rządzić się innymi prawami, mógł posiadać inną prędkość światła, inną grawitację, inne uwarstwienie czasu ... Mogli wrócić dopiero po milionach lat tylko po to, by się przekonać, że z Ziemi pozostała zaledwie garstka popiołu.

Ktoś zapukał do drzwi.

Otworzył.

W progu stał Kelly.

Wskazał na krzesło - jedyne, jakie miał - sam zaś usiadł na łóżku.

- Coś nowego?

- Nie. Tylko jestem cholernie zmęczony. Ma pan filmy?

Max wydobyl paczkę z kryjówki i podał ją rachmistrzowi.

- Mam pewien pomysł ...

- Wał, chłopcze.

- Załóżmy, że jesteśmy na Drodze Mlecznej, ponieważ...

- ... Ponieważ gdyby tak nie było, wszystkie nasze starania można by posłać do kątów ...

- Właśnie. A zatem jesteśmy gdzieś na Drodze Mlecznej. Teraz musimy się tylko rozejrzeć, zrobić zdjęcia gwiazd i znaleźć centrum tego skupiska. Później, na podstawie analizy spektralnej, zidentyfikować otaczające nas obiekty, a na podstawie wielkości gwiazd centralnych ocenić odległość od środka galaktyki. W ten sposób ...

- W ten sposób oszczędzilibyśmy sobie mnóstwo czasu - dokończył kąśliwie Kelly - Niech pan lepiej nie próbuje opowiadać dziadkowi, jak pije się wprost z butelki. Czy pan przypuszcza, że ja cały czas próżnowałem? A co, do diabła, miałem robić?

- Oh, przepraszam.

- W porządku. Kelly wydobyl filmy z kieszeni i zaczął je oglądać.

- Kazałem wykonać po dwa zdjęcia każdego obiektu ... całkiem niezłe zawiniątko. Z pewnością ma ciężar gatunkowy porządnego ładunku trotylu. Co pan powie, jeśli zostawię tu jeden komplet tej dokumentacji? ... Człowiek nigdy nie wie, co się może zdarzyć ...

- Czy pan naprawdę myśli, że ktoś się tym jeszcze przejmuje?

Przecież mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Max ... - skrzywił się rachmistrz - Niewątpliwie pewnego dnia zostaniesz oficerem ... i to bardzo dobrym oficerem. Masz znakomite zadatki, poza jednym: nie znasz się na ludziach. A to z kolei jest już moja specjalność. Zechciej mi zawierzyć. Doktor Hendrix ... niech Łaska świeci jego duszy ... był bardzo do ciebie podobny. Kelly poczekał, aż Max schowa filmy, po czym się pożegnali. Już miał wychodzić, gdy jeszcze coś sobie przypomniał.

- O mały włos wyleciałoby mi zupełnie z pamięci ... Przechodziliśmy w dość bliskiej odległości jakiejś gwiazdy ... typu G.

- Żadnej z tych, które znamy?

- Oczywiście, że tak, w przeciwnym razie wszyscy roztrąbili by to na cztery strony świata. Nie

znam zbyt dokładnie jej wielkości, ale jeśli założymy najbardziej przeciętny wariant rozwoju sytuacji, przypuszczam, że moglibyśmy do niej dotrzeć mniej więcej za rok. Pomyślałem sobie, iż to interesująca wiadomość ... specjalnie dla pana.

- Oczywiście. Raz jeszcze dziękuję, ale nie sądzę, żeby to w jakikolwiek sposób zmieniło naszą sytuację.

- Naprawdę? Jest pan skłonny zbagatelizować wiadomość o bliskiej odległości gwiazdy dość podobnej do naszego Słońca i być może okrążonej wianuszkami planet, przypominających rodzimy układ?

- Hm ...

- W każdym razie ja osobiście przykładam do tej nowiny niezwykłą wagę, gdyż życie w tej arce Noego nie jest w stanie mnie usatysfakcjonować. Po czym wyszedł.

Żaden ze stewardów nie pojawił się z informacją, że czas już na kolację. Gdy minęła wyznaczona pora, Max sam ruszył w stronę jadalni, nie czekając już dłużej na zaproszenie.

W salonie była obecna większość pasażerów - część z nich konferowała o czymś z ożywieniem, stojąc w niewielkich grupkach pod ścianami. Było niemożliwe, aby nie wyczuć niepokoju, zakłócającego normalną, codzienną atmosferę wieczornego posiłku.

Kapitana nie było na jego miejscu, także pierwszy oficer jeszcze nią przybył.

Gdy Jones ruszył w stronę własnego krzesła, mr. Hornshy usiłował go zatrzymać, lecz Max zdecydowanie przeciwstawił się tej próbie.

- Przykro mi, mr. Hornshy, ale się spieszę.

- Tylko momencik ... Chciałbym zapytać ...

- Przykro mi - powtórzył i podszedł do stołu.

Brakowało głównego inżyniera - poza nim wszyscy goście siedzieli już na swoich miejscach..

Przywitał się i sięgnął po łyżkę, byleby tylko sprawiać wrażenie, że jest czymś zajęty.

Minuty mijały jedna za drugą, w końcu minęło minut dziesięć, a nikt nie pojawił się z wazą zupy. Na stole nie było w ogóle nic do jedzenia: ani bułek, ani masła. Pusto. Tylko nakrycia.

Nigdy by nie pomyślał, że coś podobnego mogło się zdarzyć pod czujnym okiem Dumonta. Tymczasem nie widział ani kolacji, ani samego stewarda, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń ... Mrs. Daigler.

- Max, kochany, zechciej mi powiedzieć, co znaczą te głupie pogłoski, roznoszone wśród pasażerów?

Max przybrał minę sfinksa.

- Cóż za pogłoski, łaskawa pani?

- Przecież musiał pan coś słyszeć! W końcu to pan jest astronautą, nie ja ... Mówi się, że kapitan zabłądził i spadliśmy na jakąś gwiazdę ... Max próbował przywołać na twarz jakiś przekonywający uśmiezek.

- A kto rozpowiada podobne nowiny? Chyba nie pochodzą ze źródeł wiarodajnych...

- Skoro tak, niech pan powie, jak jest naprawdę.

- Mogę panią zapewnić, że "Asgard" nie spadł na żadną gwiazdę, nawet na najmniejszą ... Powiercił się na krzesło.

- Ale wszystko wskazuje na to, że coś spadło na kuchnię. Kolacja coraz bardziej się opóźnia. Ciągle patrzył za siebie, chcąc wyłowić jak najwięcej plotek. Niestety, była to błędna taktyka. Spozrzegł go mr. Arthur i natychmiast pośpieszył z pytaniem.

- Mr. Jones! - ryknął ze swego miejsca.

- Słucham pana.

- Dlaczego nas tu trzymacie? Oficjalnie powiadomiono mnie, że statek jest zgubiony.

Max sprawiał wrażenie, jakby nie zrozumiał.

- Co proszę? Przecież jesteśmy w statku.

- Dobrze pan wie, o czym mówię - łypnął mr. Arthur - Coś żeście spartaczyli i tę całą "tranzycję" diabli wzięli. Jesteśmy straceni.

Max rozpoczął sztabacką grę, zachowując się jak uczeń, odliczający na palcach, kolejne punkty dowodu, przeprowadzanego na tablicy.

- Zapewniam pana, mr. Arthur, że statek nie znajduje się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

Byłem obecny w sterowni podczas tranzytu i dlatego mogę oświadczyć, iż kapitan sprawiał wrażenie człowieka bardzo zadowolonego z przebiegu całej operacji. Gdyby zechciał mi pan powiedzieć, skąd czerpie pan te "wiarygodne" wiadomości ... Człowiek, który rozsiewa te plotki, z pewnością nie grzeszy pocsuciem odpowiedzialności ...

- Hm ... Mówił mi to ktoś z załogi. Nie znam nazwiska.

- Tak właśnie myślałem - pokiwał głową - ... Doświadczenie każe mi przypuszczać, że plotki rozchodzą się z szybkością przewyższającą szybkość światła. Nieważne, czy tkwi w nich bodaj ziarno prawdy, czy są wyssane z palca. Tempo pozostaje takie samo. Ponownie rozejrzał się wokół.

- W tej chwili chętnie bym się dowiedział, czy będzie dzisiaj kolacja. Nie chciałbym iść na służbę o pustym żołądku. Mrs. Weberbaner włączyła się do rozmowy, nadzwyczaj zdenerwowana.

- A zatem wszystko w porządku, Maxie? ...

- Tak jest, oczywiście, łaskawa pani. Hrs. Daigler znowu nachyliła się i wyszeptwała

- Proszę więc powiedzieć, dlaczego jest panu tak gorąco? Na szczęście w tej samej chwili zaczęto roznosić zupę. Kiedy steward podszedł do Jonesa, ten zatrzymał go na moment.

- Jim ... Gdzie się podział Dumont?

Nie otwierając ust Jim odparł słabym szeptem:

- Przecież gotuje.

- Go? Gdzie? ... Teraz z kolei steward schylił się i zaczął mówić mu wprost do ucha,

- Prenchy się kończy. Sądzę, że w tej chwili ważą się jego losy. Pan dobrze wie, co mam na myśli ... Odszedł.

Jednocześnie mr. Arthur odezwał się podniesionym głosem.

- Go on panu powiedział?

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego tak późno zaczęto kolację odparł Max - Najwidoczniej szef kuchni się skaleczył. Sądząc po smaku tej zupy musiał zanurzyć palec we wrzątku.

Przybycie pierwszego oficera wybroniło go przed natarczywością pasażerów. Mr. Walther stanął przy stole kapitańskim i postukał łyżką w szklankę.

- Proszę państwa o uwagę.

Poczekał, aż wrzawa umilknie, po czym wyjął z kieszeni jakąś kartkę.

- W imieniu kapitana chciałbym złożyć oświadczenie ... Ci z państwa, którzy orientują się w zawiłościach astronautyki, wiedzą zapewne, że z powodu ruchu gwiazd KOSMOS nieustannie się zmienia, dlatego nie sposób ściśle ustalić mapy nieba i stałych pozycji poszczególnych gwiazdozbiorów. Dlatego niekiedy trzeba się pogodzić z nieuniknionymi zmianami planu podróży. Człowiek nie jest w stanie podważyć praw natury, toteż i my nie będziemy usiłowali dokonać tego, co niemożliwe. Proszę państwa, abyście w całkowitym spokoju przyjęli wiadomość o niewielkim

opóźnieniu naszego lotu. Musimy mieć nieco czasu, aby dokładnie wyznaczyć pozycję, jaką zajmuje "Asgard". Mamy nadzieję, że miła atmosfera panująca na statku, zrekompensuje państwu tę drobną uciążliwość. Proszę się czuć, jak na nieco dłuższym urlopie. Wszelkie straty, jakie będą związane z tym postojem, pokryją towarzystwa ubezpieczeniowe. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

Max miał wrażenie, że był to tylko rekwizyt - mr. Walthere mówił po prostu z pamięci.

- To wszystko, co miałem państwu do przekazania w imieniu kapitana. Smacznego.

Tego wieczora i dnia następnego Max Jones nie opuszczał swej kabiny. Nie chciał słuchać pytań, ani być zobowiązany do jakichkolwiek odpowiedzi. Ponieważ większość czasu spędził śpiąc, nie miał pojęcia o tym, co się stało na statku. Dopiero, gdy pomocnik stewarda wszedł do kajuty, aby posprzątać, zauważył, że Garcia ma podbite oko.

- Kto pana tak urządził?

- Nie wiem. Poturbowano mnie wczoraj wieczorem.

- Poturbowano?

- To pan nic jeszcze nie wie?

- Słyszę po raz pierwszy. Co się stało? Garcia Lopez popatrzył gdzieś przed siebie.

- Hm ... nie mogę panu powiedzieć zbyt wiele. Nie wypada obgadywać szefa.

- Nie żądam tego. Mech pan nie wymienia żadnych nazwisk. Chciałbym po prostu wiedzieć, co się stało.

- Otóż kilku spośród braci straciło wczoraj rozsądek ... Dopiero po chwili Max zorientował się, co Lopez chciał przez to powiedzieć. Najwidoczniej niepokój załogi był znacznie silniejszy, niż niepokój obawy pasażerów - nic dziwnego: doświadczeni ludzie zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Kilku z nich zaczęło szukać pocieszenia w "Wódce dla ubogich" produkcji Giordana, po czym ruszyli do kapitana, żądając bliższych wyjaśnień. Do zamieszek doszło dopiero wtedy, gdy szef policji aprobował siłą zepchnąć ich na pokład C.

- Ktoś jest ranny?

- Nie. Raczej niewinne zadrapania ... coś w rodzaju tego ... - ostrożnie dotknął śliwy pod okiem.

- Byłem zbyt ciekawski. Kovak złamał nogę ...

- Kovak? A czego on tam szukał?

Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób etatowy pracownik sterowni dał się wciągnąć w podobną burdę.

- Przypadkiem znalazł się w samym oku cyklonu ... Właśnie kończył wachtę i schodził na dół. Być może stawiał opór któremuś z policjantów, może nieopatrznie usiłował otworzyć zaryglowane drzwi ... Pański przyjaciel Sam Anderson znajdował się w samym środku tłumu. Sam! Znowu Sam! Max poczuł, jak serce zaczyna łomotać, niczym gołąb w klatce.

- Czy jest pan tego pewny?

- Oczywiście. Widziałem na własne oczy.

- Ale chyba nie był przywódcą?

- Pan mnie źle rozumiał, mr. Jones. Właśnie Anderson przywrócił znowu ład. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który w podobny sposób umie używać rąk.

Po prostu chwycił dwóch facetów za głowy, uderzał jedną o drugą, aż szedł głuchy łomot i rozglądał się za następnymi.

Max doszedł do wniosku, że jednak powinien przerwać to dobrowolne wygnanie i wyjść z kabiny. Miał do załatwienia dwie sprawy: po pierwsze - odnaleźć Kovaka i zobaczyć, co się z nim stało, po drugie - porozmawiać z Samem.

Zanim jednak ruszył w stronę drzwi, ukazał się Smyth z rozkładem wacht. Jones miał je podpisać. Rzucił okiem na harmonogram: był przydzielony do ekipy Simes'a. Dyżur rozpoczynał się za kilka minut. Idąc na górę zastanawiał się, co miał oznaczać ten kolejny wybieg szczwanego lisa. W sterowni znalazł Kelly'eya. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł astronauty.

- Jak zwykle przy pracy, szefie?

- Tak. Niech pan przejmie wachtę. To mój ostatni dyżur.

- Niemożliwe! Tym razem pan jest w niełasce?

- I tak można to ująć. Ale niezupełnie ma pan rację. Simes opracował rozkład zajęć, w którym on i ja mieliśmy na przemian sprawować funkcję szefa wachty. Ponieważ nie odpowiada to moim kwalifikacjom musiałem odmówić, zgodnie z przepisami gildii.

- I co on na to?

- A cóż mu pozostawało? Mógł wydać mi rozkaz na piśmie, a ja mogłem wyrazić pisemną zgodę, odnotowując oba fakty w książce pokładowej. Ponieważ nie chciał przyjąć tego rozwiązania, miał przed sobą tylko dwie ewentualności: albo samemu siedzieć non stop w sterowni, albo powołać do służby pana. Kovak nie może pracować . . . słyszał pan o tej historii?

- Tak. Ale chętnie usłyszałbym raz jeszcze od pana. O co tu właściwie poszło?

Spojrzał na Noguchi'ego, tkwiącego przy maszynie i zatopionego w jakichś obliczeniach. Zniżył głos prawie do szeptu.

- Rokosz? Kelly spojrzał nań zdumionym wzrokiem.

- Hm ... O ile wiem, Kovak spadł ze schodów. Wypadek.

- Aaa ... to tak? ...

- Przynajmniej w ten sposób odnotowano ten fakt w książce pokładowej.

- Dziękuję. Chyba powinienem pana zmienić. Jak wygląda sytuacja? Poruszali się po torze, prowadzącym wprost ku owej nieznannej gwiazdzie typu G. Stosowne rozkazy wpisał kapitan do książki. Co prawda Max rozpoznał charakter pisma Simes'a, lecz podpis położył Blaine ręką własną. Niepewnie stawiane litery, rozmazane, krzywe linie wyraźnie świadczyły o duchowych rozterkach starego człowieka. Kelly wypełnił wszystkie polecenia co do joty.

- A zatem zrezygnowaliśmy z jakichkolwiek prób wydostania się z tej matni? - spytał, przeglądając instrukcje.

- Oczywiście, że nie. Rozkazy zobowiązują nas do nieustannego rozważania wszelkich możliwości powrotu, o ile pozwoli na to przebieg wachty. Ale jestem gotów założyć się z panem o wszystko, że nic mądrego nie zdołacie wymyślić. Musisz zrozumieć, Max ... Lecimy przez obszary absolutnie nieznanne. Tu jest "wszędzie" i "nigdzie" zarazem.

- Nie przypuszczałem, że pan tak szybko skapituluje. Skąd ten pesymizm.

- Kwestia przecucia i wieloletniej praktyki. Niemniej spędził całą wachtę, obmyślając możliwości wyjścia z pułapki. Bez szczęścia.

Dobrze wykonane spektrogramy są dla gwiazd tym, czym odciski palców są dla ludzi. Na ich podstawie można z całą pewnością zidentyfikować dane ciało niebieskie oraz ustalić najbliższe otoczenie. I chociaż Max znalazł w katalogu wiele gwiazd, których widma przypominały to, co widział na spektrogramach Noguchi'ego, zawsze dała się zauważyć jakaś niewielka różnica. Tak to już jest - bliźniak, choć podobny, jest jednak kimś zupełnie innym od swego brata. Kwadrans przed końcem wachty przerwał pracę i upewnił się, czy przygotował wszystko do zmiany. Czekać na zmienników uśmiechnął się, przypomniawszy sobie zagrywkę, jaką obmyślił rachmistrz, aby on - Max - mógł wrócić do sterowni. Stary, dobry Kelly.

Simes przybył z pięciominutowym opóźnieniem. Nic nie powiedział, tylko spojrzał w książkę pokładową oraz raporty z obserwacji, które przeprowadził Jones.

I znowu mijała minuta za minutą. Powoli sytuacja stawała się niepokojąca. W końcu Max miał już tego dosyć.

- Czy jest pan gotowy do przejścia wachty, sir?

- Chwileczkę, wszystko w swoim czasie. Najpierw chciałbym zobaczyć, co tym razem pan zamajstrował. Max zacisnął szczęki. Simes wskazał wpis do książki pokładowej.

- To pierwszy błąd. Proszę dodać "pod kierownictwem".

- Czym kierownictwem, sir?

- Moim. Max zawahał się, lecz w końcu odpowiedział.

- Nie, sir. To nieprawda. Podczas tej wachty nie był pan obecny w sterowni.

- Chce pan się spierać?

- Nie, sir. Po prostu czekam na pisemny rozkaz, zarejestrowany w książce pokładowej. Simes zamknął z trzaskiem księgę i zmierzył go od stóp do głów.

- Gdyby nie sytuacja nadzwyczajna, z pewnością nie prosiłbym pana o pomoc. Jest pan zbyt smarkaty, by móc zostać szefem sterowni, sir ... A moim skromnym zdaniem, nigdy pan nie będzie wystarczająco dorosły, aby objąć to stanowisko.

- Skoro tak, zatem proszę, aby powierzono mi funkcję kartografa, lub pomocnika stewarda ...

- To wracaj tam, skąd przyszedłeś! -zaskrzeczał Simes.

Noguchi, który mimo, że zastąpił go już Lundy, przebywał jeszcze na górze, spojrzął na swego zmiennika, po czym obaj odwrócili się do ściany. Max nie widział żadnych powodów, dla których powinien zachować swą odpowiedź dla siebie.

- Bardzo dobrze, sir. Jeśli byłby pan łaskaw, proszę przejąć ode mnie wachtę, a ja tymczasem zgłoszę się do pierwszego oficera. Mam zamiar podziękować za honor aspiranta i wrócić na swe dawne miejsce. Jones oczekiwał siarczystego przekleństwa, jednak Simes usiłował się opanować.

- Pan nie ma racji, mr. Jones. To nie fair.

- I pan zamierza mnie pouczać o tym, co fair, a co nie fair? ...

- Jak mam to rozumieć?

- Prosto. Już od chwili, gdy tylko wszedłem do sterowni, zaczął mnie pan prześladować i utrudniać mi życie na wszelkie możliwe sposoby. Nie pomógł mi pan nawet najmniejszym gestem, niczego mnie pan nie nauczył, natomiast do perfekcji opanował pan sztukę szukania dziury w całym, mr. Simes. Od chwili, gdy mianowano mnie aspirantem do stopnia oficerskiego, moja sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Przecież osobiście przyszedł pan do mojej kabiny i powiedział, że tylko dlatego zgodził się na tę nominację, gdyż ...

- Nie może pan tego dowieść!

- Bo nie muszę. A teraz mówi pan, że nie jestem godny pracować na stanowisku, na które przed chwilą mnie pan powołał? ... Niepotrzebnie tylko tracę czas. Idę do rachmistrza. Może u niego znajdę jakąś stałą pracę, bo tutaj nie mam na co liczyć. Czy zechce pan w końcu przejąć wachtę, sir?

- Pan jest niesubordynowany.

- Nie, sir. Ja tylko żądam poszanowania dla własnej osoby, a co do reszty ... przecież zaledwie wymieniałem fakty, które wszyscy od dawna znają. Już od pół godziny nie mogę się doprosić o zmianę wachty ... Pan mi uniemożliwia porozumienie się z pierwszym oficerem, którego chcę poprosić o zmianę stanowiska pracy ... statuty gildii dopuszczają tę ewentualność, sir ...

- Nie pozwolę panu odejść ...

- Wybór należy do mnie, nie do pana. - Wyraz twarzy Simes'a wyraźnie zdradzał, że dobrze o tym wiedział.

Przez chwilę milczał, po czym odezwał się jeszcze bardziej opanowanym głosem, niż poprzednio.

- Proszę zapomnieć wszystko, co mówiłem. Przejmuję wachtę. Niech pan się stawi w sterowni jutro, o ósmej rano.

- Bez pośpiechu, sir. Niedawno oświadczył pan, że nie jestem w stanie sprawować tak odpowiedzialnej funkcji. Nie mam zamiaru postępować wbrew pana opinii.

- Do cholery, co mam jeszcze zrobić?! Pan mnie szantażuje. Max przyznał mu w duchu rację, lecz nie powiedział tego na głos.

- Skądże znowu ... Po prostu stwierdzam, że nie można jednocześnie wypowiadać dwóch sprzecznych sądów.

- W porządku. Odwołuję to, co mówiłem i oświadczam, że jest pan w stanie sprawować obowiązki szefa sterowni. W końcu w tej chwili nie dzieje się nic takiego, co wymagałoby, kwalifikacji astronauty.

- Bardzo, dobrze. Zechciałby pan wpisać tę uwagę do książki pokładowej?

- Co?

- W związku z istniejącą sytuacją należy ściśle przestrzegać przepisów. Dlatego proszę o notatkę w księdze pokładowej. Simes wrzał ze wściekłości, jednak ujął pióro i wpisał kilka zdań do odpowiedniej rubryki.

- Proszę ... - podniósł księgę tak, żeby Max mógł przeczytać.

"M.Jones może pełnić obowiązki odpowiedzialnego szefa wachty, pod warunkiem, że statek nie będzie przechodził przez anomalie.

/-/ R.Simes, astronauta".

Max zorientował się, że ta klauzula praktycznie pozbawiała go możliwości współdecydowania o losach statku, lecz Simes trzymał się litery prawa. Poza tym nie mógł ani na moment opuścić swego stanowiska. Trudno. Pocieszała go jedynie myśl, że skoro i tak wszyscy znajdowali się na tych samych - straconych - pozycjach, rozkazy Simes'a niewiele tu znacząły.

- Znakomicie, sir.

- Niech więc pan idzie i stawi się punktualnie o ósmej.

- Tak jest, sir.

A jednak, nie mógł sobie podarować sytuacji, w której ostatnie słowo nie należałoby do niego. W tej bitwie Simes musiał zostać rozłożony na łopatki.

- Pańska uwaga, sir, nasunęła mi pewną myśl: dobrze by było, gdyby także pan przychodził na swą wachtę punktualnie.

- Co?

- Przepisy nie dopuszczają możliwości spóźniania się na służbę. Poza tym w naszej sytuacji musimy dbać a dobrą kondycję załogi. Nie służą temu przedłużające się wachty.

- Niech pan zejdzie na dół!

Max poszedł do siebie. Po drodze chciało mu się jednocześnie wyć z żalu i krzyczeć z radości - wcale nie miał wrażeń, że został triumfatorom i pokonał bestię - wręcz przeciwnie: wiedział, iż dopiero teraz zacznie się cała rozgrywka. Wpadł do kabiny i wylądował wprost w ramionach Sama.

- To ty?!

- Dokładnie ja. Ten sam, co dawniej, z krwi i kości. Co cię tak gna, chłopcze? Wyglądasz, jakby cię ścigał legion diabłów.

- Znowu nosisz dystynkcje ...

- Dopiero teraz zobaczyłeś? - Sam wsadził palec pod taśmę, oznaczającą godność szefa policji.

- Tak. Czy Walthers ci przebaczył i przywrócił do łask?

- Niecałkiem. Chyba wiesz, co się stało wczoraj wieczorem?

- Mniej więcej. Lecz zgodnie z oficjalną wersją nic nie powinienem wiedzieć, gdyż nic się nie działo.

- Właśnie. Kr. Walthers dobrze wie, co w trawie piszczy.

- Ale o co tu chodzi? Słyszałem, że zdruzgotałeś kilka czaszek ...

- Aż tak źle nie było. Znam statki, na których coś podobnego potraktowano by jako gimnastykę poranną. Kilku kamratów złapało stracha i szukało pociechy w wodzie ognistej. Później paru krzykaczy wpadło na znakomity pomysł, aby pójść do kapitana i spróbować rokowań. Ponieważ zebrały się owieczki, musiał znaleźć się także pasterz. Gdyby to się stało w wojsku, każdy oficer zdołałby ich rozpędzić i posłać do łóżka. Niestety, mój poprzednik próbował pertraktacji, a dyplomacja nie była jego najmocniejszą stroną. Zaczął coś bełkotać, zaś wesoła brać ruszyła do ataku,

- A ty przyszedłeś mu z pomocą?

- Nie tak szybko. Stałem w bezpiecznej odległości i podziwiałem imponujący widok, gdy dostrzegłem, że na schodach pojawił się but mr. Walthersa. W tej samej chwili ruszyłem do walki. Po krótkiej samotaniu zostałem sam na placu boju i dałem sobie włożyć wieniec laurowy na skronie ... Bierz ze mnie przykład. Jeśli zechcesz się okryć glorią, spójrz tylko, czy generał śledzi przebieg bitwy. Później możesz wkroczyć do akcji.

Max musiał się roześmiać.

- Nigdy nie sądziłem, że jesteś w typie herosa.

- Niech niebo mnie przed tym raczy uchować! Ale tym razem masz rację. Mr. Walthera posłał po mnie, najpierw udzielił nagany, później pochwalił, a następnie zaproponował dawną posadę, pod warunkiem, że zatroszczę się o ład i porządek na dole. Patrzyłem mu prosto w oczy wzrokiem weterana walki i pracy, zapewniłem o swej wierności oraz przyrzekłem uczynić wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

- Jestem niesamowicie szczęśliwy, Sam.

- Dziękuję. Później spojrzał na mnie raz jeszcze ... wprost nie mogłem się wyrwać spod tego magnetycznego wzroku ... i z ubolewaniem podzielił się swymi obawami.

Otóż oświadczył, że ma wystarczające powody, aby móc przypuszczać, iż gdzieś na dole znajduje się bimbrownia. Polecił, bym niezwłocznie znalazł tę jaskinię rozpusty, po czym bezlitośnie zniszczył wszystkie narzędzia, przybory, surowiec i produkt końcowy.

- A co na to mr. "Gi"

- Cóż ... Razem z grubasem ostrożnie zwinęliśmy interes, i zamknęliśmy sklepik. Oznajmiłem mu, że uprawianie tego procederu jest zabronione rozkazem władzy najwyższej, a jeśli odważy się puścić w ruch tę maszynę wcześniej, niż statek zdoła wyjść z opałów, to połamię mu łapy. Max zachichotał.

- Naprawdę, niezmiernie się cieszę, że wróciłeś do łask. Miło mi, z powodu tych nieoczekiwanych odwiedzin ... Ziewnął.

- Przepraszam, ale jestem diabło zmęczony.

- Zaraz znikam. Ale nie przyszedłem tutaj, by zdać raport ze swych czynów bohaterskich, lecz by się czegoś dowiedzieć.

- Czego?

- Kiedy ostatnio widziałeś kapitana? Max pomyślał.

- Chyba podczas tranzycji ... Tak, wtedy widziałem go po raz ostatni. Czemu pytasz?

- Myślałem, że ciągle siedzi w "saunie".

- Skądże znowu ... Od tamtej feralnej przeprawy nie pokazuje aię ani w sterowni, ani w jadalni.

- W takim razie siedzi u siebie ... Hm ... - Sam powstał - To bardzo interesujące ... Hm ...

Trudno. Lepiej o tym nie rozmawiajmy.

Już wszyscy znali tę ponurą wiadomość. Statek był zgubiony - nikt nie krył prawdy tak oczywistej, jak łatwej do sprawdzenia ... wystarczyło spojrzeć za okno i obejrzeć gwiazdy. Pierwszy szok minął, ucichły histeryczne wrzaski. I pasażerowie i załoga zachowywali się spokojnie. Nieomal wszyscy podzielali pogląd, że wylądowanie na najbliższej gwiazdzie jest jedyną rozsądną decyzją, jaką można podjąć w tej sytuacji. Byli już dość blisko, aby móc stwierdzić, że gwiazda, do której lecieli, była otoczona kilkoma planetami - jak zresztą zdarza się to w przypadku każdej gwiazdy typu G. Była to pocieszająca wiadomość. Teraz należało się zdecydować, gdzie odbyć lądowanie: do wyboru mieli planety numer 3 i 4. Namiary bolometryczne wykazały, że powierzchnia gwiazdy była nagrzana do około 6000 K, co potwierdzało wcześniejsze wyniki, uzyskane dzięki spektrogramom. Jeśli chodzi o wielkość, to musieli przyznać, że niewiele się różniła od Słońca. Badania powierzchni trzeciej i czwartej planety prowadziły do wniosku, że ta pierwsza jest nieznośnie gorąca, a druga - niesamowicie zimna. Jednak obie miały atmosferę.

Z pomocą Kelly'eya Simes wprowadził "Azgarda" na orbitę, obiegającą numer trzeci i czwarty, aby w ten sposób zyskać możliwość dokładniejszych obserwacji.

Nawet i w czasie tego manewru kapitan nie pokazał się w sterowni. Max, oczywiście, nie mógł przegapić tak ważnego momentu. Wraz z innymi obecnymi w jadalni przywarł do okna. Ponieważ stał w ostatnim rzędzie, musiał wspiąć się na palce, by cokolwiek dojrzeć. Wtem ktoś ścisnął go za ramię.

- Gdzie się pan podziewał?

- Pracowałem.

Pogłaskał Chipsie. Dziwne zwierzę natychmiast wydało okrzyk radości i przeskoczyło na jego plecy.

- Chce mi pan więc wmówić, że ciągle jest czymś zajęty? ... Nie wierzę. A czy chociaż dotarło do pana, że w ubiegłym tygodniu wysłałam doń dziewięć listów?

Max wiedział. Wszystkie listy pieczołowicie przechowywał, lecz do tej pory nie zdobył się na żadną odpowiedź.

- Przykro mi ...

- Niesamowite ... tak po prostu "przykro mi" ... Trudno. W końcu nic się nie stało. W tej chwili ma pan świetną okazję, aby wszystko mi wyjaśnić. Spojrzała w bulaj.

- Jak nazwaliście tę planetę? Czy tam ktoś w ogóle żyje? Kiedy wylądujemy? Dlaczego jest pan taki spokojny ... przecież to podniecające !

- Uff? ... Tyle pytań w jednej chwili ... Postaram się odpowiedzieć. Po pierwsze: nie nazwaliśmy jeszcze tej planety. Nazywamy ją po prostu "Numer 4". Kelly chce jej nadać imię. "Hendrx", Simes do tej pory się nie wypowiedział, choć osobiście przypuszczam, że najchętniej ochrzciłby ją swym własnym nazwiskiem. Także kapitan nie podjął żadnej decyzji.

- Powinniście nazwać ją "Nadzieja", "Prawda" lub jakoś w tym stylu. A co z kapitanem? Już nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałam...

- Pracuje. Obecnie ma mnóstwo pracy ...

W duchu musiał przyznać, że choć chciał skłamać, przypadkiem jednak udało mu się powiedzieć prawdę.

- Jeśli chodzi o pani drugie pytanie, to muszę przyznać, że dotychczas nie spoatrzegliśmy żadnych oznak życia. Jednym słowem: ani małych, ani dużych miast, niczego, co wskazywałoby na istnienie jakiejś cywilizacji.

- Co pan rozumie pod tym słowem, Max? ... Mam nadzieję, że "cywilizacja" nie oznacza dla pana jedynie nagromadzenia starych, brudnych miast z kominami fabrycznymi ... Jones roześmiał się.

- W tej chwili ma mnie pani w garści. Nie umiem bawić się w słówka, choć muszę wyznać, że nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek cywilizacji bez większych skupisk miejskich, niezależnie od tego, jak miałyby wyglądać i kto by w nich mieszkał.

- A dlaczego? Przecież pszczoły i mrówki nie budują żadnych miast. Jestem w stanie wyobrazić sobie cywilizację, której mieszkańcy obrali drzewa za swe siedziby, zaś głównym ich zajęciem jest śpiew i oddawanie się wzniosłym i pięknym rozmyśleniom.

- Czy właśnie do tego pani tęskni?

- Skądże znowu, zanudziłabym się na śmierć ... Ale wyobrażać można sobie wszystko, prawda?
... Jeszcze nie usłyszałam, kiedy mamy lądować.

- Tego nie wiem także i ja. W każdym razie nie wcześniej, aż ci ze sterowni dojdą do wniosku, że nie pociąga to za sobą żadnych groźnych następstw.

- Chciałabym, żeby gruntownie rozważyli tę decyzję. Lecz kiedy już w końcu postawimy pierwsze kroki na tej planecie, czyż to nie będzie wspaniałe, wzruszające przeżycie? Tak, jak w "Robinsonie Cruzoe" albo w przypadku pierwszych kolonistów Wenus ...

- Oni umarli ...

- To prawda. Ale my nie umrzemy ...

Spojrzała na niebieskozieloną kulę, prześwitującą zza gęstych, mlecznobiałych obłoków.

- Nie umrzemy. To niemożliwe na ... na "Caritas" ... właśnie w ten sposób chciałabym nazwać tę planetę. Wydaje mi się, że to bardzo odpowiednie imię ... Max po raz pierwszy podczas tej rozmowy spoważniał.

- Ellie ... czy pani naprawdę nie zdaje sobie sprawy z całej powagi naszej sytuacji? ... Mówił prawie szeptem, aby inni nie mogli go usłyszeć.

- To nie majówka. Jeśli ta planeta nie spełni naszych oczekiwań, nie wiem, dokąd będziemy mogli się udać. Nasze położenie i tak wystarczająco ciężkie, stanie się wręcz tragiczne.

- Dlaczego?

- Niech mnie pani uważnie wysłucha, ale zachowaj dla siebie to, co w tej chwili usłyszysz ... Otóż ... nie sądzę, aby ktokolwiek z nas zdołał powrócić do domu ... ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości ...

Przez moment jej twarz także okryła się powagą, później-jednak wzruszyła ramionami i uśmiech powrócił.

- Proszę nie napędzać mi stracha. Oczywiście, z przyjemnością wróciłabym do domu, lecz skoro to niemożliwe, chętnie poznam uroki Caritas. Ta planeta będzie dla nas gościnnie ... Jestem przekonana. Co można było odpowiedzieć?

Następnego dnia "Asgard" dotknął powierzchni Caritas. Eldreth przeformowała swoją wersję nazwy i od tej pory coraz częściej słyszało się to imię, powtarzane przez pasażerów oraz załogę, nie wyłączając tych ze sterowni.

Kiedy podano, że lądowanie nastąpi w południe czasu pokładowego, Max pospieszył do centrali dowodzenia, aby być obecny przy tym niezwykłym wydarzeniu - uważał to za samo przez się zrozumiałe i naturalne. Na jego widok Simes zrobił kwaśną minę, ale nic nie powiedział. Powód był oczywisty - obecność kapitana Blaine'a.

Kiedy Max spojrzał na dowódcę, nie mógł zapanować nad nagłym wzruszeniem, które nim owładnęło - Blaine nie był już młody, lecz w tej chwili wyglądał o piętnaście lat starzej, niż w czasie tranzycji. Podczas trwania całego manewru wymówił tylko kilka słów. Tuż przed wybiciem południa Simes spojrzał na zegarek, po czym popatrzył na kapitana. Starzec podniósł głowę i wyszeptał jakby w gorączce.

- Proszę schodzić do lądowania, sir.

Statek Flotylii Wojennej na ogół wysyłał najpierw sondę, która badała warunki, panujące na nieznanym planecie, ponieważ jednak "Asgard" był jednostką handlową, przeznaczoną głównie do lądowania w portach, nie dysponował tego rodzaju wyposażeniem. Całą operację musieli przeprowadzić "po omacku", jedynie z pomocą radaru i wcześniej wykonanych fotografii. Na ich podstawie wybrali łagodną dolinę, wokół której rozciągały się gęste, rozległe lasy - ten typ roślinności przeważał na całej planecie, tak, że nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Simes mocno chwycił stery. Ciągle wpatrywał się w ekran, przekazujący teren widziany radarem. Obok leżały fotografie z naturalnymi obrazami planety do porównania.

Przejście przez atmosferę niewiele odbiegało od warunków ziemskich: czerń usianego gwiazdami nieba przygasła, rozmyła się, przeszła w głęboką purpurę a później błękit.

Nie odczuwali przeciążenia, gdyż chroniły ich urządzenia amortyzacyjne statku. Kiedy osiedli na ziemi, nie usłyszeli nawet najmniejszego odgłosu. Wszystko przebiegało w idealnej ciszy. Simes zdjął ręce ze sterów i nachylił się nad mikrofonem.

- Maszynownia! Włączyć urządzenia pomocnicze. Procedura lądowania numer 1. Spojrzał na kapitana.

- Lądowanie zakończone, sir. Blaine ledwo poruszał wargami.

- Bardzo dobrze, mr. Simea.

Wstał i ciężkim krokiem ruszył w stronę 'wyjścia'. Gdy już opuścił sterownię, astronauta zwrócił się do Lundy'ego.

- Pan przejmie wachtę. Pozostałych wzywam do wyjścia. Max wyszedł razem z Kelly'eyem. Kiedy doszli do pokładu D, Jones mruknął pod nosem.

- Lądowanie było istotnie możliwe, muszę to przyznać.

- Dziękuję - odwzajemnił się rachmistrz.

- Liczył pan na to?

- Tego nie powiedziałem.

- Rozumiem.

Max miał uczucie, że ciężar jego ciała przez moment był jakby nieustalony. Po chwili wyraźnie stracił na wadze.

- Właśnie wyłączyli sztuczną grawitację ... Dopiero teraz możemy z czystym sumieniem

powiedzieć, że wpadliśmy jak śliwka w kompot. Chciał zaprosić Kelly'eya na kawę, gdy z głośników popłynęły słowa komunikatu.

- Do załogi i pasażerów! Proszę przejść do jadalni. Ważna wiadomość! Ci, którzy pełnią służbę, słuchają przez radiowęzeł.

- Co znowu? ... - zdziwił się Max.

- Zaraz zobaczymy.

W salonie zastali wszystkich pasażerów i większość personelu. Było głośno, a kiedy weszli, podniósł się jeszcze większy gwar. Max spojrział w stronę drzwi: po raz pierwszy od wielu dni w niesie pokazał się kapitan. Blaine'owi torował drogę Bennett. Dowódca przebił się przez ciżbę i podszedł do stołu. Pierwszy oficer rzucił pytające spojrzenie, a gdy kapitan skinął głową, uniósł rękę.

- Proszę o ciszę! Gdy rozmowy ucichły, ciągnął dalej.

- Zebrałem państwa, gdyż kapitan Blaine ma dla nas wszystkich ważne nowiny. Dziękuję.

Zadowolili się tym krótkim wstępem, po czym z respektem ustąpił miejsca Blaine'owi, który powstał, zajeżdżał się niepewnie i podniósł głowę.

- Panowie ... - przemówił trudnym do określenia głosem: była w nim i siła i słabość zarazem.

... Panowie, drodzy goście, przyjaciele ...

Już po pierwszych słowach zapanowała śmiertelna cisza. Choć Max stał daleko, pod samą ścianą, mógł usłyszeć ciężki oddech mówcy.

- ... Zebrałem was tutaj ... zebrałem państwa, aby ... Głos uwiązł mu w gardle.

Przez chwilę rozglądał się bezradnie - najwyraźniej nie mógł wydobyć ani słowa więcej. Ludzi powoli ogarniał niepokój. Mimo to kapitan zebrał się w sobie. Powróciła cisza.

- Mam państwu coś do powiedzenia.

Przerwa, która teraz nastąpiła, trwała dłużej, niż ta pierwsza. Kiedy znowu zaczął mówić, jego głos był już tylko nieśmiałym szeptem.

- Przykro mi. Niech Bóg ma nas w opiece. Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi.

Także tym razem Bennett zaczął torować mu drogę. W śmiertelnej ciszy słysząc było tylko silny głos stewarda

- Miejsce dla kapitana ... Miejsce dla kapitana.

lik nie przemówił ani słowa, aż do chwili, gdy Blaine wyszedł. Tylko jakaś kobieta zaczęła cicho szlochać.

Później do akcji włączył się mr. Walthers.

- Proszę zostać na miejscach. Jego ostry, mocny głos rozmył ponure wrażenie wystąpienia dowódcy.

- Chyba nadszedł już czas, abyśmy jasno i bez niedomówień porozmawiali o naszej sytuacji. Jak państwo widzicie, planeta, na której przed chwilą wylądowaliśmy, niezwykle przypomina Ziemię. Trzeba jeszcze przeprowadzić kilka ekspertyz, żeby uzyskać pewność co do składu chemicznego tutejszej atmosfery. Prawdopodobnie jednak potwierdzi się nasza pierwotna hipoteza i jedynie utwierdzimy się w przekonaniu, iż można nią oddychać. Poza tym wszystko wskazuje na to, że warunki, jakie tu panują, są nadzwyczaj korzystne dla istot rodzaju ludzkiego ... Być może znajdziemy lepsze środowisko naturalne, niż na rodzimej planecie.

Do tej pory nie odkryliśmy żadnych śladów jakiegokolwiek cywilizacji. Jeśli chodzi o nasze własne atuty: na pokładzie statku znajduje się bogata reprezentacja ziemskiej flory i fauny. Bydło, które przywieźliśmy, znakomicie przyda się w naszej obecnej sytuacji. Poza zwierzętami, roślinami, nasionami itd. mamy także dość niewielki, lecz wystarczająco duży zbiór narzędzi. Najważniejsza w

tym wszystkim jest nasza pokładowa biblioteka, gdzie znajdziemy bogaty przekrój dzieł, dający wgląd w dzieje ludzkiej kultury i cywilizacji. Sami także dysponujemy pewną wiedzą oraz umiejętnościami ...

- Mr. Walthers!

- Słucham, mr. Hornshy ...

- Czy mamy rozumieć, że chce nas pan wysadzić na tej planecie? Pierwszy oficer zmroził go lodowatym spojrzeniem.

- Nie. Nikt z państwa nie będzie tu "wysadzony", jak zechciał się pan wyrazić. Możecie państwo pozostać na "Aagardzie", i dopóty, dopóki będzie istniał statek, albo państwu życia starczy, podróżować, ciągle w charakterze gości. Być może traficie w końcu do miejsca przeznaczenia, wypisanego na biletach. Moim zamiarem było tylko przekazanie w rozsądny sposób wiadomości, która i tak już od dawna stanowi publiczną tajemnicę: ten statek jest zgubiony. Bezgłośnie westchnięcie przebiegło przez jadalnię.

- A teraz proszę wraz ze mną spojrzeć na tę sprawę z prawnego punktu widzenia ... - podjął mr. Walthers.

- Podczas podróży na "Asgardzie" byli państwo poddani władzy kapitana, reprezentowanego przez oficerów. W tej chwili, gdy już wylądowaliśmy, ten przepis traci swą moc. Możecie państwo zejść na ląd... albo pozostać na statku. Z punktu widzenia prawa, odbywamy w tej chwili dłuższy, nieprzewidziany planem lotu postój. Jeśli kiedykolwiek będzie dane "Asgardowi" wzbić się w przestrzeń, będziecie państwo mogli wejść na pokład i kontynuować rejs, choć muszę przyznać, że osobiście uważam to za niemożliwe. Nie mamy żadnych szans. Dlatego ośmieliłem się wspomnieć o zakładaniu kolonii. To jedyna nadzieja. Proszę zrozumieć ... jesteśmy zgubieni.

Gdzieś z tyłu jakaś kobieta wpadła w histerię i zaczęła wykrzykiwać pojedyncze, niczym niezwiązane słowa.

- ... Do domu ... Odwieźcie mnie ... Ja chcę do domu ... Walthers zareagował bez wahania.

- Dumont! Proszę ją wyprowadzić. Niech pan wezwie lekarza! Po chwili podjął stracony wątek, jak gdyby w międzyczasie nic się nie stało.

- Zgodnie z prawem załoga okaże państwu wszelką konieczną pomoc. Osobiście uważam, że ...

- Czemu powołuje się pan na jakieś "prawo"? Tu nie obowiązują żadne prawa! Walthers podniósł głos.

- Owszem, prawo istnieje. Dopóki funkcjonuje na tym statku wymiar sprawiedliwości, a utożsamia go kapitan, funkcjonują także wszelkie przepisy i normy prawne, niezależnie od tego, ile lat świetlnych dzieli nas od Ziemi. Dopiero ci, którzy zdecydują się na opuszczenie "As-garda", staną poza prawem, lecz w tym miejscu pozwolę sobie na ważną uwagę: kolonizację należy rozpocząć od zebrania, które wybierze konstytucyjny rząd i mianuje odpowiedzialnych za losy kolonii ludzi. W przeciwnym razie nie można liczyć na jakiegokolwiek efekty.

- Mr. Walthers? ...

- Słucham, mr. Daigler? ...

- Wiem, że nie czas na dysputy ...

- Ma pan rację! - uciał pierwszy oficer.

- Dlatego nie zamierzam wdawać się w akademickie subtelności - ciągnął niezrażony Daigler - ... choć miałbym coś do powiedzenia i w tej kwestii. Tak się jednak złożyło, że z racji swego zawodu mógłbym służyć pomocą co do ekonomicznej strony przedsięwzięcia.

- Świetnie. Nie omieszkamy skorzystać z pana kwalifikacji.

- Zechciałby mi pan pozwolić dojść do słowa? Dziękuję. A zatem pierwszym prawidłem,

którego należy się trzymać, zakładając nowe osiedle w tak wielkiej odległości od bazy, jest przede wszystkim troska o odpowiednią wielkość osady. Statystyka dowodzi, że małe kolonie mogą paść przy łada niepowodzeniu. Wystarczy niewielki wstrząs, a wszystko obraca się w perzynę. Sytuacja jest podobna, jak przy grze w kości z małą ilością pieniędzy: brak szczęścia w trzech pierwszych rzutach i koniec gry.

Gdy tak się rozglądam w naszej sytuacji, widzę, że mamy do dyspozycji znacznie mniej, niż trzeba na zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb.

- Nic na to nie poradzimy, mr. Daigler.

- Wiem. Chciałbym tylko zapytać, czy możemy liczyć na pomoc załogi

Mr. Walthers pokręcił głową.

- Wykluczone. Nie możemy pozbawić statku ludzi. Choć nie sądzę, żeby cokolwiek dało się zrobić, jednak z rachunku prawdopodobieństwa wynika, iż mamy jeszcze jakieś szansę. Być może sami coś wymyśli my... może znajdzie nas statek patrolowy ... Dopóki istnieje "Asgard" i jego załoga, pozostaniemy na pokładzie. Przykro mi.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Wcale nie liczyłem na to, że załoga z dnia na dzień przedzierzgnie się w gromadę kolonistów. Chciałem tylko wiedzieć, czy możemy liczyć na waszą pomoc w podtrzymaniu rasy. Mamy zaledwie sześć kobiet, a to oznacza, że przyszłe pokolenie nowego narodu będzie znacznie mniej liczne, niż my. Zgodnie z prawami statystyki jesteśmy skazani na wymarcie ... o ile każdy mężczyzna nie zechce pracować dziesięć godzin dziennie, aby zapewnić lepsze warunki życia swym dzieciom. Sądzę, że powinniśmy podjąć to zadanie, aby następne generacje miały przynajmniej od czego zaczynać. Chciałbym wiedzieć, czy załoga zechce nam pomóc.

- Myślę, że tak - spokojnie odparł pierwszy oficer.

- Cieszę się. DO rozmowy włączył się jakiś niski grubas o nalanej, czerwonej twarzy.

- "Cieszę się" ! ... Już kiedyś przeżyłem coś podobnego! Oskarżę was wszystkich! Podam do sądu każdego z was ... wszystkich razem i każdego z osobna! Oficerów, załogę, wszystkich! Niech ludzie się dowiedzą, co ...

Max spostrzegł, jak Sam powoli zmierza w stronę krzyczącego człowieka, który także zauważył te manewry i ucichł.

- Niech go pan zaprowadzi do lekarza ... - polecił zmęczony Walthers - Jutro rano może nas wszystkich postawić przed sądem, ale na dzisiaj dosyć tego. Zamykam zebranie.

W ciągu niespełna tygodnia niewielkie osiedle stało się sprawnie funkcjonującym organizmem. Mieli burmistrza /mr. Daigler/, główną arterię /Hendrix Avenue/ oraz zdążyli przeżyć pierwszą ceremonię ślubną, /mr. Arthur i Becky Weberbaner/, dopełnioną w obecności mieszkańców kolonii przez nowomianowanego burmistrza. Dla nowożeńców przeznaczono pierwszy dom, którego budowę właśnie rozpoczęto, Caritas dotrzymała wszystkiego, do czego zobowiązywało ją imię. Dni były ciepłe, wszędzie unosił się balsamiczny zapach drzew i kwiatów, noce łagodne. Niebo, które mogli podziwiać, było znacznie piękniejsze, bogatsze, bardziej różnorodne od wszystkich zakątków Drogi Mlecznej, jakie zdarzyło się im oglądać podczas rejsu.

Ich gwiazda /nazywali ją po prostu "Słońce"/ otoczona była niesamowitą liczbą komet. Jedna z nich - prawdziwy olbrzym z nieprawdopodobnie długim warkoczem - zajmowała nieboskłon od zenitu aż do zachodniego horyzontu. Gdyby na Ziemi pojawiła się ta, którą mogli obserwować na północnej połaci nieba, wszyscy byliby zapewne zdania, że wkrótce nastąpi koniec świata - niezależnie od wyznania czy światopoglądu. Dwie kolejne ozdabiały południowy nieboskłon, rzucając nań zimny, pełgający blask.

Oprócz komet pełno było meteorytów. Każdego wieczora mogli obserwować rzęsisty deszcz spadającego na Caritas gwiazdowego pyłu, a widowisko to znacznie przewyższało okazałością najwspanialsze fajerwerki, jakie zdarzało im się oglądać na Ziemi podczas święta Unii Solarnej. Dotychczas nie spotkali żadnych drapieżników.

Kilku osadników dostrzegło wprawdzie jakieś stworzenia, przypominające mitologiczne centaury, o wielkości konia shetlandzkiego, lecz osobniki te uciekały natychmiast, gdy tylko zostały odkryte. Są planecie wiodącym okazem fauny były torbacze, różnej wielkości i różnorodnych kształtów. Nie spotkali ptaków, natomiast często widywali coś w rodzaju fruujących balonów, wielkości od jednego do półtora metra. Kulista powierzchnia opleciona była siatką mięśni, które naprężając się, lub rozluźniając, wsysały lub wysysały powietrze - w ten sposób dziwne te istoty unosiły się na wietrze.

Gdy napotykały na silniejszy prąd, osiadały na wierzchołkach drzew, albo dawały się unosić wraz z porywami wiatru. Frujące balony darzyły jakimś szczególnym zainteresowaniem osiedle kolonistów, zwłaszcza stanowiska pracy. Często się zdarzało, że wisały nieruchomo nad jednym z warsztatów, czy placem budowy, niekiedy okrążały wioskę, lecz nic z tego nie wynikało - po prostu miały jedynie cele poznawcze. A jednak nigdy nie podchodziły w pole zasięgu ręki. Kilku z kolonistów zaproponowało, żeby po prostu zestrzelić jedno ze stworzeń i poddać je gruntownym oględzinom, lecz burmistrz nie pozwolił. Owszem, poznali jeszcze innych sąsiadów. Nazwali je "Znikaczami" gdyż zwierzęta, czując na sobie bodaj przelotne spojrzenie człowieka, kryły się natychmiast za jednym z bloków skalnych, skąd miały zwyczaj obserwować osadę.

Jednym słowem osadnicy nie narzekali na brak zainteresowania ze strony tubylców. A najważniejszy był w tym wszystkim fakt, że nie odczuwali niczego, poza życzliwą ciekawością - ani razu nie spotkali się z jakąkolwiek próbą groźby, czy rzeczywistym niebezpieczeństwem. Maggie Daigler - zwana teraz powszechnie "Maggic" - odłożyła zarty na bok, włosy przycięła krótko, ubrała się w drelichowy kostium i ostro ruszyła do pracy. Jej krótkie paznokcie były na ogół czarne od ziemi, lecz mimo to czuła się o całe lata młodsza oraz znacznie szczęśliwsza, niż w luksusowych apartamentach "Aagarda".

Nie tylko ona jedna - wszyscy promienieli szczęściem ... wszyscy, poza Maxem.

Ellie go unikała. Po stokroć przeklinał swą niewyparzoną gębę, ale też i uwaga mrs. Daigler nie była na miejscu.

Oczywiście, dotychczas nigdy nie przyszło mu do głowy, aby ożenić się z tą dziewczyną, lecz sytuacja gruntownie się zmieniła. Któregoś dnia zostanie zniesiony zakaz bratania się z kolonistami i co wtedy? Niewątpliwie, kłótnie z jedyną dziewczyną, którą był w stanie poprosić o rękę, nie miały większego sensu.

Oczywiście, jako astronauta powinien zachować celibat, jednak kolonista potrzebował żony. Czy nie byłoby miło mieć kogoś, kto przygotowałby obiad, troszczył się o drób i doglądał obojczyca podczas gdy on - gospodarz - uprawiałby pole?

Musiał się dowiedzieć, jak sprawy stoją - Maw dała mu dobrą szkołę. Niewątpliwie Ellie niczym nie przypominała macochy - była silna, miała zmysł praktyczny i lubiła pracować - wystarczyła tylko lekka zachęta oraz kilka wskazówek. Poza tym, gdyby się dobrze przyjrzeć, była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Kiedy za specjalnym zezwoleniem kapitana do kolonistów przystali państwo Dumont, został stworzony pierwszy precedens. Oczywiście steward i stewardessa nie byli potrzebni na statku, gdzie nie mieszkał ani jeden pasażer. To dodało mu nieco śmiałości - udał się więc do pierwszego oficera.

- Aspirant Jones, sir! Walther spojrział nań z uśmiechem.

- Powiedziałbym raczej "astronauta w odwodzie" ... Proszę, niech pan wejdzie, mr. Jones.

- Hm ... Poruszył pan problem, o którym zamierzałem pomówić.

- Jak mam to rozumieć?

- O moim stanowisku ... Chciałbym wrócić na poprzednie.

- Czyli chce pan być kartografem, nie astronautą? Jaką widzi pan różnicę między jednym a drugim? W naszej sytuacji ...

- Nie, sir. Chciałbym wrócić na stanowisko pomocnika stewarda III klasy.

Walther spojrział zdumiony.

- Coś się za tym kryje ... Niech pan mi to bliżej wyjaśni ... Niezwykle okrężnymi drogami opisał Max historię swych utarczek z Simes'em. Ponieważ chciał, aby nie brzmiało to jak donos, w rezultacie uzyskał coś w rodzaju skargi dziecka, którego nie dopuszczają do owsianki. Jones był tego świadomy i czuł się potwornie.

- Czy pan jest przekonany, że ta opowieść odpowiada stanowi faktycznemu? - zapytał Walther - Simes nigdy mi się nie skarżył.

- Nigdy by tego nie zrobił. Ale to, co powiedziałem, jest prawdą. Niech pan spyta Kelly'eya, sir. Walther namyślał się przez chwilę.

- Mr. Jones ... na pana miejscu nie przywiązywałbym większego znaczenia do tych nieporozumień. W pańskim wieku miewa się skłonności do przejaskrawiania wszelkiego rodzaju konfliktów. Jeśli zaś chodzi o moją radę: najlepiej by było, gdyby pan po prostu zapomniał o tym wszystkim. Proszę wykonywać swoje zadania, a już ja sam załatwię tę sprawę. Chyba powinna wystarczyć krótka rozmowa z Simes'em. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, słysząc te relacje. Nie spodziewałem się po nim takiej małostkowości.

- Proszę, żeby pan nie wspominał mu o tym ani słowem, sir.

- Ale dlaczego?

- Po prostu chcę zostać pomocnikiem stewarda.

- Nie rozumiem ...

- Chciałbym przystać do kolonistów, jak państwo Dumontowie ...

- Ach, teraz już wiem, o co tu chodzi - Walther pobębnił palcami

w blat biurka - Niech pan sobie wybije z głowy myśl, że mógłbym się zgodzić na coś podobnego!

Nie dopuszczając Maxa do głosu, ciągnął dalej

- Proszę mnie źle nie rozumieć. Moja decyzja nie jest dowodem jakiejś dyskryminacji, nie wypływa z niechęci czy uprzedzenia w stosunku do pańskiej osoby. Gdybym miał przed sobą zwykłego stewarda, natychmiast spełniłbym to życzenie ... Ale pan jest astronautą ... Doktor Hendrix nie żyje. Kapitan Blaine ... sam pan miał okazję się przekonać. A zresztą, nasza sytuacja jest powszechnie znana i nie potrzebuję tego wyjaśniać. W tej chwili nie mogę dopuścić, aby odszedł od nas jakikolwiek człowiek z kwalifikacjami takimi, jak pańskie. Mr. Jones ... dopóki tli się bodaj iskierka nadziei, ani jeden astronauta, ani jeden kartograf, ani jeden rachmistrz nie opuści swego stanowiska ... przynajmniej za moją zgodą. Myślę, że wystawiam się zrozumiale?

- Tak jeat, sir.

- W porządku. Następną wiadomość proszę zachować dla siebie ... Otóż, kiedy tylko kolonia będzie w stanie żyć bez naszej pomocy, kiedy uzyska pewne minimum samowystarczalności, odlecimy na orbitę stacjonarną i pozostaniemy tam tak długo, aż przeprowadzi pan wszystkie potrzebne badania, obserwacje, namiary etc. Jako ekspert powinien pan mieć przyzwoite warunki pracy. Prawdopodobnie nie może pan działać z gęstym kożuchem atmosfery nad głową. Czy mam rację?

- Tak jest, sir. Nasze przyrządy są przystosowane wyłącznie do pracy w próżni.

- A zatem musimy czekać na pierwszą sposobność, kiedy będziemy mogli się tam znaleźć.

Przez moment milczał, w końcu odezwał się ponownie.

- Mr. Jones ... Max ... czy mogę do pana mówić jak mężczyzna do mężczyzny?

- Ależ oczywiście, sir.

- Hm ... Drogi chłopcze, właściwie nie powinienem się grzebać w cudzych sprawach, ale mój wiek upoważnia mnie, bym dał panu ojcowską radę. Jeśli będzie pan miał zamiar się żenić, proszę nie myśleć, że ktokolwiek będzie żądał pańskiego akcesu do kolonii. To nie ma żadnego znaczenia.

Wszystko jest jedynie kwestią czasu, gdyż w końcu, jeśli będziemy mogli stąd odlecieć, i tak weźmie pan swą żonę na pokład. Max poczerwieniał. Nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć.

- Oczywiście, rozważamy tylko sytuację hipotetyczną, ale jeśli już miałyby do czegoś dojść, proszę o tym pamiętać. Pierwszy oficer wstał.

- Dlaczego nie miałby pan wziąć jednego dnia urlopu? Proszę iść na spacer, albo wythnąć przez kilka godzin w lesie. Świeże powietrze na pewno nie zaszkodzi. Zaraz porozmawiam z Simes'em. Zamiast na przechadzkę, Max udał się w poszukiwaniu Sama. Nie znalazł go na statku. Powiedziano mu, że jest gdzieś na zewnątrz. Zszedł więc na dół i ruszył w stronę osiedla.

Zanim doszedł do placu budowy pierwszego domu, dostrzegł czyjąś postać, zmierzającą w jego stronę. Po chwili przekonał się, że to Eldreth.

Po chwili stanęła przed nim mała, brudna dziewczynka w powalonym ziemią dresie roboczym.

- Jak leci, Ellie?

- Ciągle ta sama śpiewka? ... Proszę zejść mi z drogi i nie próbować się usprawiedliwiać. Niesprawiedliwość jej sądu aż zatkała mu dech w piersi.

- Ależ ... Ellie ... przecież to nie tak. Pani ...

- Mówi pan, niczym Chipsie, kiedy chce otrzymać kostkę cukru. Dobrze, niech więc pan słucha, upiorny Don Juanie. Oświadczam, że w tym roku nie zamierzam wyjść za mąż, a zatem nic nie stoi na przeszkodzie, aby mógł pan odnowić dawne przyjaźnie.

- Ellie ... - Max nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć.

- Czego jeszcze? Domaga się pan pisemnej gwarancji?

Spojrzała nań oczyma, miotającymi błyskawice, potarła nos i roześmiała się.

- O, Max, duży bobasie, chyba zawsze będzie pan we mnie wzbudzał macierzyńskie instynkty.

Kiedy jest pan zdumiony i zaskoczony, pańska twarz wydłuża się w ten sposób, że przypomina oślą mordę. Proszę zapomnieć wszystko, co przed chwilą powiedziałam.

- Ależ Ellie ... W porządku, zostawmy to w spokoju.

- Znowu przyjaźń?

- Tak, tak, tak. Odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Wreszcie czuję się normalnie. Nie wiem, jak to się dzieje, ale po prostu nie potrafię się na pana obrazić. Gdzie pan idzie?

- Właściwie nigdzie. Chciałem zrobić spacer.

- Doskonale. Wobec tego pójdźmy razem. Tylko sekundę ... muszę zawołać Chipsie.

- Nie widzę jej.

- Ale ja widzę. Pobieгла kilka metrów w stronę wioski, a po chwili była już z powrotem, ze zwierzęciem na ramieniu. W dłoni ścisnęła jakąś paczkę.

- To mój obiad - wskazała zawiniątko - Chętnie się z panem podzielę.

- Chyba nie wybieramy się w podróż dookoła świata ... Witaj, Chipsie.

- Cześć, Max. Cukier?

Wywrócił kieszeń na zewnątrz i znalazł jakiś niewielki kawałek - pozostałość z dawnych czasów, kiedy to regularnie dokarmał zwierzątko. Chipsie spróbowała.

- Dziękuję.

- Owszem ... - podjęła przerwany wątek Ellie - Dookoła świata nie zamierzam podróżować, przynajmniej na razie, ale po drugiej stronie tamtego wzgórza odkryto całe stado centaurów.

- Chce pani tam iść? - zdziwił się Max - Nie za daleko?

- Zrobiłam już wszystko, co do mnie należało. A jako dowód mogą posłużyć te odciski ... - wyciągnęła brudne ręce. - Powiedziałam panu Hornshy'emu, że jestem wyczerpana. Powinien poszukać sobie kogo innego. Mam dosyć tej pracy, w kuźni.

Max nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Był zbyt szczęśliwy i na kontemplowaniu swej radości poprzestał.

Wspięli się w górę zbocza, po czym zeszli na dno wąwozu, który prowadził wprost do jodłowej puszczy. Er. Chips zeskoczył z ramienia Ellie, a po sekundzie zniknął gdzieś wśród gałęzi ogromnego drzewa. Max przystanął.

- Nie powinniśmy jej przywołać?

- Zbyt się pan przejmujesz tą głupiutką, Chipsie nigdy nie ucieka, gdyż jest zbyt tchórzliwa. Chipsie! ... Chodź do mnie, słodziutka.

Małpiatka wyjrzała zza gałęzi, potrząsnęła konarem, a po chwili deszcz igieł spadł na głowę Jonesa. Widząc to, Chipsie roześmiała się piskliwie.

- Widzi pan? Ona chce się bawić. Zmęczeni dotarli na szczyt kolejnego pagórka. Ellie przystanęła i rozejrzała się.

- Sądzę, że już sobie poszli - powiedziała rozczarowana.

- Chociaż ... niech pan spojrzy tam, na dół ... Widzi pan te małe, ciemne punkciki?

- Tak, widzę.

- Musimy podejść bliżej. Chciałabym to zobaczyć.

- Niech się pani zastanowi ... Jesteśmy dość daleko od statku, a ja nie mam przy sobie żadnej broni.

- Ojej ... Pan jest beznadziejny.

- Skądże znowu. Po prostu myślę. W każdej chwili może wypaść coś z lasu, a co pocniemy wtedy?

- Przecież jesteśmy tu już niezły kawał czasu i jak do tej pory nikt nas cię pozał, Widzieliśmy tylko te małe koboldy ... "Koboidami" nazywała balonowate, fruwające stwory. Od chwili, gdy weszli w wąwóz, nieustannie towarzyszyła im para zwierząt, podążając to z tyłu, to z przodu, zawsze jednak zachowując odpowiedni dystans. Tak bardzo przywykli do ich obecności, że nie zwracali już większej uwagi.

- Ellie, powinniśmy wracać.

- Nie.

- Tak. Odpowiadam za pani zdrowie i życie. Przecież zobaczyliśmy centaury.

- Fanie Jones, jestem wolna. Jeśli obleciał pana strach, proszę wracać, ja jednak chcę zobaczyć te zwierzęta z bliższej odległości. To mówiąc zeszła w dół zbocza.

- Niech pan spojrzy na koboldy! One także kierują się w tamtą stronę ... Max zmarszczył brwi.

- Całkiem możliwe. A może chcą pani coś opowiedzieć? Roześmiała się.

- Te zwierzątka? ... Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Maxie ... już od dawna się zastanawiam, dlaczego właściwie tak długo owijam pana w bawełnę ...

Co miała na myśli? Czyżby sama chciała rozstrzygnąć decydującą kwestię?

- O czym pani mówi?

- Bardzo przypomina mi pan Putzie'go. Ma pan identyczne spojrzenie ... wiecznie zdziwiony ...

- Putzie? A kto to jest?

- To człowiek, którego mój ojciec wysłał na Ziemię, aby mnie namówić do powrotu na Hesperę. Właśnie z jego powodu porzuciłam trzy szkoły, zaś ojciec zawsze jego wybierał do spełnienia tej samej misji ... Papa dobrze zna się na rzeczy ... Chipsie, nie uciekaj tak daleko!

Centaury stały u podnóża wzniesienia. Choć ich tułów nie całkiem przypominał konia, a głowa tylko z grubsza odpowiadała zarysom ludzkiej, nazwa ta była niezwykle odpowiednia - trudno znaleźć lepszą. Mogli podziwiać je w całej okazałości. Prawie tuzin zwierząt tłoczył się, jedno przy drugim. Nie sposób powiedzieć, co tam robiły, gdyż na tle trawy ich kształty zlewały się w bliżej nieokreśloną masę. Balonowate stwory latały nad całą grupą tak samo, jak przed chwilą czyniły to tuż nad głowami ludzi. Ellie nie dała się przekonać, aby pozostała w cieniu drzew. Jej upór nakazywał podejść bliżej i obejrzeć wszystko dokładnie.

Centaury przypominały Maxowi kłownów, ucharakteryzowanych na konie. Miały podobne, pociągłe twarze, spoglądały beznadziejnie idiotycznym wzrokiem, zaś ich czaszki były tak zaprojektowane, że trudno byłoby znaleźć choć trochę miejsca bodaj na jedną półkulę mózgową. Płeć tych stworzeń była raczej nieokreślona, choć musiały przecież się rozmnażać, czego dowodem były małe, płaczące się rodzicom pod nogami. Jedno z maleństw podbiegło w górę zbocza. Natychmiast ze stada ruszył dorosły osobnik, aby mieć oko na niesforne dziecko, które dotarło prawie na sam szczyt pagórka i zatrzymało się niespełna sześć metrów przed ludźmi.

- Ono jest słodkie! - krzyknęła Ellie, po czym podbiegła w stronę centaurzątka. Przykłęka i wyciągnęła rękę.

- Chodź do mamy, bobasie ... Podejdź bliżej ... Max rzucił się za dziewczyną.

- Proszę natychmiast wracać!

Starszy osobnik sięgnął do swej torby, przypominającej sakwę kangura, wydobyl coś i zamachnął się nad głową, niczym gaucho swym lassem.

- Ellie!

Dopadł ją w tej samej chwili, gdy sznur opadł niżej. Pętla ścisnęła ich oboje. Ellie krzyczała, Max usiłował się oswobodzić, lecz zacisk trzymał mocno.

Jeszcze jedna lina przecięła powietrze i skrępowwała parę ludzi. Później jeszcze druga i trzecia.

Mr. Chips, który towarzyszył Ellie, spadł z jej ramienia. Teraz stał na brzegu zbocza i powtarzał piskliwym głosem.

- Max! Ellie! Wracajcie! Proszę, wracajcie!

Ellie ani nie wpadła w histerię, ani nie poddała się niemocy, do czego, jako dama, miałyby niezaprzeczalne prawo. Tuż po uwięzieniu zupełnie spokojnym głosem zwróciła się do swego towarzysza niedoli. - Przykro mi, Max. To moja wina.

Mówiła wprost w ucho współwięźnia, gdyż sznury tak mocno spętały oba ciała, że stanowili coś w rodzaju nowej grupy Laokona.

- Musimy się uwolnić - odparł, nie przestając szarpać więzów.

- Niech pan da spokój ... - powiedziała rzeczowym tonem - W ten sposób można jedynie mocniej zacisnąć tę pętlę. Mam wrażenie, że tylko dobrym słowem zdołamy coś wskórać.

Max usłuchał jej rady, gdyż ostre sznury boleśnie wrzynały się w ciało.

Centaur podszedł bliżej, aby przyjrzeć się im dokładniej. Przekonali się, że jego szeroka twarz była jeszcze bardziej pomarszczona, niż mogli to sobie wyobrazić, lecz duże, brązowe oczy zdradzały coś w rodzaju lekkiego zdumienia, Zrebię podeszło z drugiej strony, także obrzuciło ich ciekawskim spojrzeniem, po czym zabeczało cienkim głosem. Starszy odpowiedział mu basem. Obaj zaczęli beczeć jednocześnie, po czym dzikim galopem rzucili się w stronę stada,

- Mech pan tylko zachowaj spokój ... - wyszeptwała Ellie - ... Przypuszczam, że obawiali się, abyśmy nie uczynili temu małemu czegoś złego. Być może potrzymają nas jeszcze chwilę, po czym puszcza.

- Całkiem możliwe. Żałuję jednak, że nie mogę sięgnąć po nóż.

- Na litość Boską ... W takich przypadkach tylko dyplomacja może coś zdziałać.

Teraz całe stado przygnało na górę. Otoczyli ich kołem i spoglądali ze zdumieniem, wydając przy tym dźwięki podobne do trąbienia, rżenia i pokasywania zarazem. Max nasłuchiwał.

- To chyba ich mowa ...

- Z pewnością. Szkoda, że miss Mimsey nie uczyła mnie czegoś podobnego.

Większy centaur zbliżył się do więźniów i szarpnął za sznury. Więzy nieco puściły, lecz ciągle nie mieli swobody ruchu.

- Wydaje mi się, że chcą nas rozwiązać - szepnął Max - Jeśli mam rację, zwiewamy natychmiast do domu.

- Tak jest, szefie!

Tymczasem jakiś inny centaur sięgnął do swego worka i wyciągnął nowe lasso. Ugiął przednie kończyny, przykląkł obok Maxa, po czym zasupłał sznur wokół przegubu lewej dłoni. Węzeł był tak mocny, że tylko marynarz mógłby zrobić coś podobnego. W ten sam sposób postąpiono z Ellie. Starszy centaur uderzył w więzy, które splatały ich wokół bioder. Sznury opadły na ziemię. Ten, który założył im pęta na nogi, przepasał się sznurem wokół tułowia, zaś koniec wsadził do worka.

Porozumiał się z przywódcą, a później pociągnął za liny. Sznury napięły się, niczym gumki, stawały się coraz cieńsze, aż osiągnęły długość około sześciu metrów. Max przycisnął nóż do ciała Ellie.

- Niech pani przetnie swoje pęta, a później gna, ile sił w nogach. Jeśli będzie trzeba, potrafię ich powstrzymać.

- Nie.

- Do diabła, jeszcze pani mało?

- W porządku.

Chwyciła nóż i usiłowała przeciąć dziwne tworzywo, z którego wykonano sznury. Centaury

widziały te manewry, jednak niczego nie przedsięwzięły, aby ją powstrzymać, tylko spoglądały z tą samą miną, jak poprzednio. Sprawiały wrażenie, jakby nigdy w życiu nie widziały noża i nie miały pojęcia, do czego zmierzają usiłowania Ellie. W końcu dziewczyna skapitulowała.

- Nic z tego. To tak mocne, jak durplastik.

- Przecież tym nożem można się golić! - szepnęła oniemiała Max - Niech pani pozwoli ...

Także i on nie miał szczęścia. Tymczasem stado ruszyło z kopyta. Musieli biec za zwierzętami, albo dać się wlec. Podskakując na jednej nodze schował nóż do buta.

Przez kilka metrów stado biegło lekkim klusem, później zwiększyło tempo, przypominając oddział galopującej kawalerii. W tej samej chwili Ellie potknęła się i runęła na ziemię. Max kucnął, naprężył sznur, po czym krzyknął co sił w płucach.

- Ejże! Prrry ... Zatrzymać się! Centaur, który ich ciągnął, przystanął.

Zwrócił ku nim swą twarz, na której malowała się niema prośba o wybaczenie.

- Posłuchaj, idioto ... - parsknął wściekle Max - Nie jesteśmy końmi. Nie możemy pędzić galopem. Mówiąc to pomagał Ellie powstać.

- Jest pani ranna?

- Chyba nie - odparła, powstrzymując łzy, błyszczące w oczach - Ręka jest paskudnie podrapana

...

- Nieważne. Proszę mu tylko powiedzieć, żeby tak nie pędził. Centaur, widząc, że dziewczyna już powstała, ponownie ruszył przed siebie ostrym klusem. Tym razem przewrócili się oboje. Stado stanęło i sam przywódca pofatygował się w stronę więźniów, aby odbyć krótką rozmowę ze strażnikiem. Do tej wymiany zdań włączył się także Max, a jeśli nawet brakowało mu nieco słownictwa, i tak powiedział, co chciał, nadrabiając leksykę nad wyraz czytelnymi gestami. Trudno powiedzieć, czy wiele zdołał zwojować, w każdym razie tempo wyraźnie spadło. Całe stado pognało do przodu, zaś ich trójka wlokła się powoli. Po chwili do więźniów oraz strażnika dołączył jeszcze je-den centaur, który objął straż tylną. Nad głowami Maxa i Ellie unosił się stale baloniastych kształtów stwór.

Droga prowadziła przez dolinę, porośniętą wysoką, bujną trawą, sięgającą nieco poniżej kolan. Ta roślinność ratowała ich w pewien sposób, gdyż centaur, który ich prowadził, z góry założył, że teraz będą się przewracali coraz częściej i dlatego mogli sobie pozwolić na luksus odpoczynku co kilkaset metrów. Strażnik cierpliwie czekał, aż się podniosą, po czym ciągnął nieustępliwie naprzód.

Już nie rozmawiali między sobą. Suche usta i obrzmiałe języki skutecznie uniemożliwiały jakąkolwiek wymianę zdań.

Cały swój wysiłek włożyli w bieg. W końcu dotarli do strumyka. Centaur dał wspaniałego susa. W ułamku sekundy był już na przeciwnym brzegu, lecz ludzie musieli zejść na dół i ostrożnie brnąć przez sięgającą pasa wodę. Pośrodku nurtu Ellie stanęła, nachyliła się i łapczywie zaczęła pić.

- Niech pani tego nie pije! - krzyknął Max - Nie wiemy, czy ta woda nadaje się dla ludzi.

- Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej będę mogła umrzeć w spokoju, zamiast ciągle gnać przed siebie jak pies na uwięzi.

- Głowa do góry! Jeszcze z tego wyjdziemy. Z powrotem nie zabłądzę.

Przez moment wahał się, ale w końcu pragnienie zwyciężyło nad rozsądkiem. Poszedł w ślady Ellie i napił się do syta. Centaur poczekał jeszcze chwilę, a potem ruszyli dalej.

Zanim wdrapali się na kolejny pagórek i doszli do lasu, musieli pokonać podobny dystans. Gdy weszli na szczyt, byli bliscy zawалу serca, a jednak ciągle biegli za strażnikiem. Wyłączyli świadomość - oładnęło nimi coś w rodzaju szaleństwa. Tylko jedna myśl nie dawała im spokoju: trzeba biec, aż wreszcie się to skończy.

Centaur miał wytrzymałość górskiej kozicy - był wyraźnie zaskoczony, widząc ich wyczerpanie. Kiedyś musiała wreszcie nadejść chwila, w której Ellie nie była w stanie powstać i ruszyć w dalszą drogę. Ich prześladowca podszedł bliżej, przystanął nad leżącą kobietą, a za moment stuknął ją trójpalczastym kopytem. Max rzucił się nań z pięściami.

Centaur nie zareagował, nie poruszył się nawet, tylko spojrzał na więźnia swymi tępym wzrokiem, ukazując ciągle tę samą zdziwioną minę. Jego towarzysz pognał w stronę stada, chcąc porozumieć się z przewodnikiem. Zanim wrócił, minęło co najmniej dziesięć minut.

- Teraz lepiej? - nachylił się nad Ellie Jones.

W tej samej chwili ten, który trzymał straż tylnią, wcisnął się między więźniom i rozdzielił ich, choć Max nacierał nań z pięściami. Ellie zmuszono do powstania. Ruszyli w dalszą drogę. Zanim przebrnęli przez łąkę, pozwolono im dwa razy odpocząć. W ten sposób, po kilku nieskończonej długich godzinach, gdy słońce stanęło już nad zachodnim horyzontem, dotarli do rozległej równiny, porośniętej rzadką, niską trawą. Gdzieś tam można było dojrzeć drzewa. Max liczył, kroki. W ten sposób stwierdził, że od postoju do postoju przeszli niecałą milę. Choć nie było to zbyt wiele, miał wrażenie, że ciągnięto go co najmniej mil dziesięć. Dołączyli do pozostałych zwierząt. Znajdowali się teraz na półkolistej polanie, niczym dywanem wysłanej zeschniętym igliwem. Centaur, który dzierżył ich postronki, przekazał jeden z nich swemu towarzyszowi, po czym obaj przywiązali liny do drzew.

Ponieważ byli dość daleko od siebie, zaczęli ciągnąć elastyczne sznury, aż dystans znacznie zmalał. To jednak nie podobało się strażnikom. Wkrótce Max został poprowadzony na drugi koniec przesieki i przywiązany do drzewa za krzakami. Przy maksimum wysiłku mogli podejść do siebie ma odległość najwyżej dwóch metrów.

- Co oni zrobili? - zapytała zdziwiona Ellie.

- Najwyraźniej usiłują nie dopuścić do jakichś potajemnych knoń. Centaury odeszły nieco dalej. Dziewczyna spojrzała za oddalającym się stadem, najpierw zaszlochała, a później wybuchła głośnym płaczem. Łzy gęstymi strugami spływały po brudnej twarzy, złościąc w masce kurzu dwie białe smugi.

- Niechże pani da spokój! - Max usiłował perswazji - Przecież w ten sposób nie poprawimy naszej doli.

- Nie o to chodzi! - między jednym a drugim szlochnięciem wykrztusiła Ellie - Jak oni nas traktują! ... Przywiązani do drzewa ... niczym psy.

- To się jeszcze okaże!

Max wyprostował rękę i zaczął oglądać powróż.

Oczywiście, trudno było powiedzieć, że jest to zwykły postronek. Lekko połyskująca powierzchnia przypominała węzową skórę. Nie dostrzegł żadnych organów, potwierdzających tę hipotezę: ani głowy, ani ogona.

Kiedy przyłożył palce do węzła, poczuł słabe pukanie. Nacisnął supeł, starając się naśladować podpatrzone wcześniej ruchy centaurów ... odpowiedziało mu regularne bicie - coś w rodzaju pulsu.

- Ellie ... to coś żyje! Dziewczyna podniosła ku niemu wykrzywioną bólem twarz.

- Co żyje?

- Ten sznur.

- Aha ...

- A właściwie ... - ciągnął dalej - ... nawet jeśli nie żyje, to w każdym razie nie jest martwe.

Ponownie usiłował rozciąć więzy za pomocą noża, ale i tym razem bez sukcesu.

- Założę się? że gdybym miał zapałki, bez trudu doprowadziłbym do tego, aby to monstrum

wrzasnęło "mama" w dowolnie wybranym języku. Może pani ma zapalki?

- Niestety, nie palę.

- Ja też. Trudno. Być może uda mi się skrzesać ogień w inny sposób ... na przykład pocierając dwa kloce drewna.

- Wie pan, jak to się robi?

- Nie.

Pogłaskał i dokładnie opukał żyjący powróż, lecz choć ciągle odpowiadał mu rytmiczny puls, miał wrażenie, że niedokładnie w ten sposób powinien zabrać się do rzeczy. Nie zaprzestawał prób. Właśnie był zajęty oględzinami węzła, gdy ktoś wykrzyknął ich imiona.

- Max, Ellie! Jednym skokiem Ellie podniosła się i wyciągnęła rękę.

- Chipsie! Chodź tutaj, kochanie!

Zwierzątko ulokowało się wysoko na drzewie. Teraz rozejrzało się ostrożnie na wszystkie strony, po czym zwinnie zbiegło na dół. Ostatnie trzy metry pokonało jednym susem i w tej samej chwili znalazło się w ramionach swej pani.

Obie objęły się mocno, wykrzykiwały coś po cichu, w końcu Ellie błyszczącymi oczyma spojrzała na Maxa.

- Teraz czuję się o wiele lepiej.

- Ja także ... Chociaż nie wiem, dlaczego ... Zwierzątko spoważniało i przystąpiło do meldunku.

- Chipsie iść za wami!

Teraz z kolei Max sięgnął po małpkę i zaczął ją głaskać.

- Tak właśnie, Chipsie. Tego dokonałaś. Jesteś kochaną, małą dziewczynką.

- Już nie czuję się opuszczona ... - wyznała Ellie - Być może wszystko zmieni się na lepsze.

- Nigdy nie było aż tak źle, żeby zacząć rozpaczać - napomniał ją Max - Mam wrażenie, że uda mi się tak podejść tę linę ... tego węzła ... czymkolwiek by to nie było, iż w końcu rozluźni chwyt i puści nas wolno. Jeszcze dzisiaj w nocy możemy wrócić do domu.

- Jak pan zamierza znaleźć drogę?

- To już moje zmartwienie. Zapamiętałem każdy krok, każdą zmianę kierunku, każdy punkt orientacyjny ...

- Ciemności panu nie przeszkodzą?

- Tylko trochę. Znam niebo, w końcu to mój zawodowy obowiązek. Gwiazdy wskażą nam drogę do domu ... a jeśli nawet nie zdołamy się uwolnić, także nie musimy rozpaczać.

- Czy zamierza pan spędzić życie przywiązany do drzewa? Jeśli o mnie. chodzi, ...

- Skąd te pomysły! Otóż moim zdaniem nasza sytuacja jest co najwyżej śmieszna. Pożarcie nam nie grozi ... te zwierzęta zadowolają się trawą. Skoro tak, zapewne wkrótce zbrzydnie im nasze nudne towarzystwo i zechcą się nas pozbyć. A jeśli nie ... cóż, będą musiały drogo zapłacić za swój błąd.

- W jaki sposób?

- Przecież istnieje jeszcze mr. Walther i Georg Daigler ... a także Sam ... Sam Anderson ... on przede wszystkim. Zebranie wszystkich sił i urządzenie wyprawy poszukiwawczej to tylko kwestia czasu. Nie będziemy musieli zbyt długo czekać.

- Lecz zanim nas znajdą, upłynie kilka dni. Skąd mają wiedzieć, w którą stronę podążyc?

- To prawda - musiał się zgodzić z Ellie - Gdybym miał radio, albo jakiś, inny sygnalizator ... choćby jedną zapalkę, żeby móc rozniecić ogień ...

że odbywamy długą majówkę.

- Nie ma co płakać! Wyobraźmy sobie,

- Ellie ...

- Tak? .
- Czy pani sądzi, że Chipsie byłaby w stanie znaleźć drogę powrotną?
- Nie wiem.
- Moglibyśmy przez nią posłać wiadomość ...

Chipsie spojrzała z wyraźnym ożywieniem.

- Z powrotem? - zapytała - Z powrotem? Bardzo proszę! Ja chcę do domu. Ellie zmarszczyła brwi.

- Obawiam się, że jej nie rozumieją ... nie wysławia się zbyt jasno. Na ogół są to pojedyncze, niczym nie związane słowa ...

- Przesada! Owszem, Chipsie nie jest geniuszem, ale ...

- Chipsie jest mądra!

- Z pewnością, lecz moim zdaniem należałoby wysłać wiadomość na piśmie. Sięgnął do kieszeni i wyjął długopis.

- Może ma pani papier? ...

- Poszukam. Po chwili znalazła pomiętą kartkę.

- Mój Boże ... lepiej byłoby, żeby nie wpadło to w ręce mr Horne-byłego. Wolałabym uniknąć jego gniewu. Trzeba oddać ten list panu Giordano.

- Dlaczego?

- Wybuchnie dzika awantura.

- Nieważne.

Wyglądził kartkę i zaczął pisać. Z pamięci przywołał wszystkie szczegóły topografii terenu, po czym usiłował odtworzyć drogę zgodnie z położeniem względem słońca.

- Max? ...

- Chwileczkę ... niech dokończę ... Postawił kropkę i odczytał posłanie.

- Pilne. Do pierwszego oficera Walthera: Eldreth Coburn oraz niżej podpisany zostali pojmani przez centaury. Proszę zachować rozwagę i trzymać się z dala od sznurów, miotanych przez napastników. M. Jones. Pokazał kartkę Ellie.

- To powinno wystarczyć. Czy można w jakiś sposób przymocować ten list? Nie chciałbym, żeby Chipsie dotarła z pustymi rękami.

- Hm ... chyba tak. Niech pan się obróci.

- Po co?

- Tylko bez zbędnych pytań. Proszę się obrócić. Wykonał polecenie.

- Tak dobrze?

- Świetnie. Gdy przybrał poprzednią pozycję, Ellie rzuciła mu kawałek taśmy.

- Wystarczy?

- Znakomicie!

Wkrótce przytwierdził kartkę wokół talii Chipsie. Niemało musiał się napocić, aby dokonać tej sztuki, gdyż małpka uważała, że to tylko zabawa, polegająca na łaskotaniu jej w brzuszek.

- Chipsie, kochanie, przestań wreszcie piszczeć i słuchaj, co do ciebie mówię. Ellie chce, żebyś wróciła do domu.

- Do domu?

- Tak, do domu. Wracaj na statek.

- A Ellie?

- Ellie nie może.

- Chipsie też.

- Kochanie, ty musisz wrócić do domu.

- Nie.

- Posłuchaj, Chipsie. Znajdziesz Maggie i powiesz jej, że twoja pani kazała, aby ci dała dużo, bardzo dużo cukru. W zamian za to oddasz jej tę kartkę.

- Cukier?

- Idź do domu, znajdź Maggie, a ona da ci tyle cukru, ile tylko będziesz chciała.

- Ellie też do domu.

- Proszę ... Włączył się Max. Tam ktoś idzie.

Eldreth obróciła się, w samą porę, aby dostrzec centaura, przemykającego wśród drzew.

- Spójrz, Chipsie ... oni już nadchodzą i wsadzą cię do klatki. Wracaj do domu!

Mr. Chips rzucił krótkie spojrzenie na centaura, po czym zniknął wśród gałęzi. Nie było czasu na rozmowy, gdyż zwierzęta podeszły już bardzo blisko. Szybko się przekonali, że to nie oni byli celem, do którego zmierzał.

Za strażnikiem podążał cały rząd związanych postaci. Ellie stłumiła krzyk.

- Oni schwytali wszystkich!

- Nie ... - sprostował Max - Proszę spojrzeć uważnie. Zapadające ciemności zupełnie usprawiedliwiały to złudzenie, któremu przez moment wierzył także Jones: istotnie, szereg związanych postaci mógł przywołać na myśl całą załogę statku, przytroczoną do żywych sznurów.

Lecz takie było tylko pierwsze wrażenie.

Nowi więźniowie mogli przypominać ludzi - Max nie widział dotychczas tak humanoidalnych stworzeń, jednak podobieństwo nie oznacza jeszcze tożsamości.

Zważywszy na pęta, więźniowie poruszali się całkiem sprawnie i szybko. Jeden, może dwaj spojrzeli na Maxa i Ellie, lecz w ich nie można było dostrzec specjalnego zainteresowania. Małe dzieci biegły niezwiązane przy swych matkach, niektóre siedziały w torbach na brzuchu. Max był zdumiony, gdy po raz pierwszy spostrzegł głowę, wychylającą się ze skórzanej kieszeni.

- Do diabła z nimi! - skomentował cały orszak, gdy więźniowie wraz ze strażnikiem skryli się w zaroślach.

- Max ... - głos Ellie zdradzał wzruszenie - Czy pan także uważa, że umarliśmy, a teraz przeżywamy czyścicowe męki?

- Co takiego? ... Proszę nie gadać bzdur. Sytuacja jest poważna ..

- Ale ja nie żartuję. Przecież w tej chwili oglądamy piekło, odmalowane przez Dantego.

Choć wszystkie dotychczasowe szykany przyjął z podziwu godnym hartem ducha, tej ostatniej nie mógł strawić.

- Skoro pani wygodniej żyć w zaświatach, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli jednak o mnie chodzi, uważam się za istotę z krwi i kości, żyję i żyć chcę nadal. Te istoty, choć przypominały ludzi, były zwierzętami. Niech pani nie da zwodzić się łudzącemu podobieństwu. Kobiety zawsze mają zbyt żywą wyobraźnię ... Popatrzył na Ellie najbardziej ponurym ze spojrzeń.

- A może i centaury są ludźmi?

- Nie ...

- Niech pani się zastanowi. Mam wrażenie, że mogłaby pani pracować w tym małym cyrku jako przewodnik. Wymianę zdań przerwało przybycie świeżego transportu. Ponieważ było ciemno, mogli to zauważyć dopiero w chwili, gdy centaur oraz towarzyszące mu trzy człekopodobne osobniki weszli na skraj polany. "Ludzie" nie byli związani, lecz dźwigali jakieś ciężary. Strażnik przemówił coś w swym języku, po czym tragarze złożyli swe pakunki.

Jeden z nich ustawił między Maxem i Ellie ogromny dzban pełen wody. Drugi ułożył na ziemi

piramidkę małych owoców. Kilka z nich potoczyło się gdzieś w krzaki, jednak tragarz najwyraźniej to zbagatelizował. Max musiał dwa razy spojrzeć, by dostrzec, co przyniósł trzeci niewolnik. Najpierw wydawało mu się, że to jakieś piłki, przytwierdzone do trzech, sznurów, w kształcie nieco przypominające ogromne jaja. Dopiero gdy spojrział ponownie, przekonał się, że są to zwierzęta wielkości opoja, które "człowiek" trzymał za ogony.

Tragarz obszedł polanę dokoła, przystając co kilka metrów i wieszając zwierzęta na dolnych gałęziach drzew. Gdy skończył, więźniowie zostali otoczeni przez sześć małych zwierząt, ogonami przytwierdzonych do drzew.

W tym samym czasie centaur podchodził do każdego z uczepionych stworzeń, głaskał je i naciskał pewne miejsce w okolicach gardła. Po chwili ich ciała zaśniły łagodnym, srebrnym blaskiem.

Polanę zalało światło, wystarczająco mocne, aby można było wziąć się do czytania, pod warunkiem, że druk byłby dość duży i wyraźny. Jeden z balonów bezszelestnie przeleciał między drzewami, po czym zawisł na gałęziach - najwyraźniej miał zamiar spędzić tu noc. Centaur podszedł teraz do Maxa. Zarżał i stuknął go kopytem. Więzień nasłuchiwał uważnie. Po chwili powtórzył sekwencję dźwięków. Centaur odpowiedział, a Max powtórzył je ponownie. Ta bezsensowna zabawa trwała jeszcze przez moment, po czym strażnik poszedł w stronę swych pomocników.

- Jestem szczęśliwa, że sobie poszli - westchnęła Ellie

- Centaurów jeszcze mogę znieść, ale ci "ludzie" ... Max podzielał jej obrzydzenie: z daleka człekopodobne stwory dały się jeszcze wytrzymać, lecz z bliska sprawiały nieprzyjemne wrażenie, włosy wyrastały im z miejsca, gdzie ludzie mieli brwi. Z płaskiej czaszki wyrastały nadmiernie duże, spiczaste uszy. Ale nie to szczególnie poruszyło Maxa: podczas rozmowy mógł dokładniej przyjrzeć się zębom centaury.

Z tej obserwacji należało wysnuć tylko jeden wniosek: potężne kły z pewnością nigdy nie zbrukały się przegryzieniem trawy, kory czy gałęzi. Przypominały raczej uzębienie tygrysa lub rekina i niewątpliwie gustowały w daniach mięsnych. Pomyślał, że lepiej będzie nie wspominać o tym Ellie.

- Czy nie był to ten sam osobnik, który prowadził stado?

- Skąd mam wiedzieć? Przecież one wszystkie wyglądają jednakowo.

- Niemożliwe. Nawet dwa konie nie są do siebie podobne.

- Konie takie wyglądają tak samo.

- Ale

Ugryzł się w język. Tego rodzaju dysputa rolnika z mieszczką nie miała większego sensu.

- Moim zdaniem był to ten sam.

- I co z tego?

- Sądzę, że ma to znaczenie. Mógłbym się nauczyć ich języka.

- Rzeczywiście, przecież sama słyszałam, jak usiłował pan wypluć żołądek. Skąd u pana te zdolności?

- To zupełnie proste. Wystarczy tylko zapamiętać, które sekwencje dźwięków odpowiadają poszczególnym słowom.

- Brzmi raczej ponuro.

- Takie też jest ... Ellie, mam wrażenie, że zapraszają nas na wieczerzę ... A tutaj mamy obrok ...

Wskazał na dzban z wodą i owoce.

- Coś w rodzaju wieczornego karmienia świń.

- Niech pan tak nie narzeka. Mamy co jeść, jest miły nastrój ... lampiony na polanie w środku

puszczy ... całkiem nieźle. Te owoce przypominają kształtem i wielkością ogórki. Myśli pan, że są jadalne?

- Chyba lepiej, nie eksperymentować. Powinniśmy poczekać aż nas uwolnią.

- Bez jedzenia wytrzymam, ale muszę się napić. Nie uciekniemy o suchym gardle. Bez wody można umrzeć w ciągu dwóch dni.

- A jeśli uwolnią nas jutro rano?

- Kto wie? ... Dotknęła "ogórka".

- Pachnie apetycznie ... coś w rodzaju arbuza.

- Dobrze?

- Hm ... Chyba jednak zjem. Jeśli w ciągu pół godziny nie umrę w boleściach, pan także powinien spróbować.

- Tak jest! Ugryzła jeden owoc.

- Niech pan uważa na pestki.

- Ellie jesteś niepoprawnym łakomczuchem. Zmarszczyła nos i roześmiała się.

- Każdy robi to, co umie.

Teraz Max spróbował "ogórka". Smakował całkiem nieźle, choć zapach miał bardzo słaby.

- Chyba powinniśmy zostawić nieco na śniadanie ...

- Oczywiście. Mam już pełny żołądek.

Ellie schyliła się po dzban z wodą i łapczywie wypila. Skoro zaryzykowali tak wiele, jedząc nieznanne owoce, bez sensu byłoby powstrzymywać się od wody.

- Teraz czuję się znacznie lepiej. Jeśli nawet umrzemy, to przynajmniej nie o pustym żołądku ...

A może chwilę drzemki? Jestem śmiertelnie zmęczona.

- Myślę, że w nocy dadzą nam spokój. Niech pani śpi, ja będę czuwał.

- Nie, to nie fair. Po co wystawiać warty? Przecież i tak jesteśmy zdani na ich łaskę ...

- Hm ... w porządku. Niech pani weźmie przynajmniej ten nóż. W ten sposób będzie trochę raźniej na duszy ...

- Dziękuję. Dobranoc, Max. Będę teraz liczyła owce ...

- Dobranoc.

On także wyciągnął się na posłaniu z igliwia. Spod koszuli wyjął kilka kłujących igieł, po czym usiłował o niczym nie myśleć.

- Max ... Już pan śpi?

- Jeszcze nie, Ellie.

- Może zechciałby mi pan podać rękę? Trochę się boję ...

- Nie mogę dosięgnąć pani dłoni.

- Skądże, to całkiem proste. Trzeba się tylko obrócić ... Rzeczywiście, było to możliwe.

- Dziękuję, Max. Dobranoc raz jeszcze.

Leżał, na plecach i spoglądał na niebo. Choć na polanie było dość jasno, mógł dojrzeć gwiazdy oraz niezliczone meteoryty, krążące po granatowym nieboskłonie. Zaczął je liczyć ... Wtem gwiazdy zawirowały, odłamki kosmicznego pyłu eksplodowały w jego głowie i zasnęły.

Obudziły go pierwsze promienie słoneczne, przedzierające się przez gęstwinę gałęzi. Uniósł głowę.

- Właśnie rozmyślałam, jak długo zamierza pan jeszcze chrapać ...

- powitała go Ellie - Proszę spojrzeć, kto nas odwiedził.

Drżąc z zimna odwrócił się w drugą stronę.

Obok siedział mr. Chips, wcinając ogórkowate owoce.

- Hallo, Maxie ...

- Hallo, Chipsie ... Wtem spostrzegł karteczkę, przywiązaną na swoim miejscu.

- Ty gamoniu!

Małpka pobiegła do Ellie, szukać pociechy. W oczach zalśniły pierwsze łzy.

- Niech pan jej nie karci ... - Eldreth stanęła w obronie zwierzątka - Chipsie obiecała znaleźć

Maggie zaraz po śniadaniu. Prawda, kochanie?

- Chipsie iść szukać - potwierdziła małpka.

- Nie zasłużyła na taką ostrą naganę ... - ciągnęła Ellie - W nocy nie mogłaby znaleźć drogi do domu. Musiała poczekać, aż się rozwidni. Znalazłam ją o świcie, śpiącą w moich ramionach.

Pocieszne zwierzę skończyło śniadanie, po czym uroczyście wypilo nieco wody z dzbana.

- Chipsie szukać Maggie - obwieściła raz jeszcze.

- Tak jest, moja droga. Zrób to, jak umiesz najszybciej. Po chwili nie było już po niej ani śladu.

- Mamy jakieś szansę? - dopytywał się Max.

- Chyba tak. Jej przodkowie żyli w lasach, powinna kierować się instynktem. Poza tym na świadomość, że sprawa jest pilna. Rozmawiałam z nią długo.

- Myśli pani, że coś z tego zrozumiała?

- Potrafi zrozumieć wystarczająco dużo, aby nie zawieść mego zaufania. A teraz ja zapytam: czy ci ze statku znajdą nas jeszcze dzisiaj? Nie chciałabym spędzać tu kolejnej nocy.

- Ja także. Jeśli Chipsie się pospieszy ...

- Na pewno.

- ... Wtedy mogliby zdążyć przed zachodem słońca.

- Mam nadzieję, że tak się stanie. Chce pan coś zjeść?

- A czy w ogóle cokolwiek zostało?

- Trzy ogórki na głowę. Ja już swoje zjadłam. Teraz kolej na pana. Proszę ...

- Założę się, że pani kłamie. Zanim zasnęłam, było tylko pięć. Chipsie zjadła dwa...

Zrobiła obrażoną minę, jednak nie protestowała, gdy podzielił się z nią dziwnymi owocami.

Jedząc dostrzegł zmiany, jakie zaszły w ciągu nocy.

- A gdzie się podziały nasze robaczki świętojańskie?

- Tuż nad ranem przyszedł jeden z tych obrzydliwców i pozdejmował je z drzew. Już chciałam krzyczeć, ale ponieważ zostawił mnie w spokoju, nie budziłam pana.

- Jestem zobowiązany. Ale widzę, że nasza przyzwoitka ciągle wisi na swoim miejscu ...

Istotnie, balonowaty stwór nie opuścił gałęzi.

- Tak. O świcie widziałam także "Znikaczy".

- W takim razie może pani czuć się usatysfakcjonowana. Jak wyglądają?

- Tego panu nie powiem. Jak zwykle znikły, zanim się obejrzałam.

Ziewnęła.

- Gdyby tylko można było przewidzieć, jakie niespodzianki szykuje nam dzisiejszy dzień ...

Osobiście proponowałabym, aby siedzieć tu spokojnie i patrzeć, czy zza krzaków nie wyjdzie Georg Daigler ze swymi zabijakami. Chętnie bym go wycalowała ... wszystkich wycalowałabym z tej okazji.

- Ja także.

Aż do południa nic się nie wydarzyło i Eldreth nie mogła spełnić swej obietnicy. Od czasu do czasu słyszeli trąbienia i rzenie centaurów, lecz żadnego z nich nie dostrzegli.

Ellie przestała już rozpowiadać o swych nadziejach, obawach i planach na przyszłość. W ciszy leżeli w cieniu wielkich drzew, rozmyślając, kiedy wreszcie się to skończy, gdy nagle na polanę

wszedł jeden z ciemniejszych.

Max był przekonany, że ma przed sobą przewodnika stada, a jeśli nawet nie jego, to przynajmniej osobnika, który przyniósł im kolację. Tym razem nie marnował czasu, tylko od razu przystąpił do rzeczy. Rżeniem, gwizdami i porykiwaniem dał im do zrozumienia, że odpoczywali już wystarczająco długo, by teraz bez protestów ruszyć w dalszą drogę.

Niechętnie powstali.

Poszli w tę samą stronę, dokąd wieczorem skierowali się niewolnicy. Właściwie nie szli, lecz pozwolili się wlec na postronkach, gdyż ta podróż wcale nie przypadła im do gustu. Wkrótce zorientowali się, że zmierzają wprost do dużego osiedla centaurów.

Ścieżka rozszerzyła się, przybrała rozmiary dość szerokiego gościńca. Ruch panował tu nad wyraz ożywiony, zarówno w jedną, jak i w drugą stronę. Co prawda nie widzieli jeszcze żadnych budowli, ani innych znaków, przekonujących o istnieniu jakiejś wysoko rozwiniętej cywilizacji, jednak wszędzie można było odczuć ład, wzorowy porządek, żywotność oraz stabilność struktur społecznych.

Oprócz centaurów widzieli liczne rzesze człekopodobnych niewolników, ciągle dźwigających jakieś tobołki. Niektórzy z nich byli związani tak, jak oni, inni mieli zupełną swobodę ruchu.

Ponieważ szli dosyć szybko, nie wszystkim szczegółom krajobrazu mogli poświęcić jednakowo wiele uwagi, jednak Max spostrzegł coś, od czego nie mógł oderwać oczu: ten fragment drogi zapamiętał nad wyraz dobrze.

O swym odkryciu nie poinformował Ellie - wcale nie dlatego, że mówienie przychodziło mu z trudem - po prostu nie chciał jej niepokoić. Z boku, nieopodal drogi zobaczył coś w rodzaju rzeźni ... rozwieszane na drewnianych żerdziach ciała w niczym nie przypominały postaci ich gospodarzy.

W końcu doszli do drugiej polany, wypełnionej rzeszą centaurów. Ich strażnik zastukał w liny, które natychmiast zwinęły się, tak, że szli tuż przy nim. Chwilę później ustawili się w długiej kolejce, przecinającej zgromadzenie.

Jakiś duży, posiwiał, a zatem stary centaur sprawował na środku polany coś w rodzaju sądów lub generalnego przeglądu ludności. Pełen godności stał w centralnym punkcie placu, zaś przed nim przeciągały długie sznury centaurów.

Nie dostrzegli żadnego z człekopodobnych stworzeń, które napawały ich taką odrazą, ich uwagę przyciągnęły natomiast dziwne, krótkonogie istoty, przypominające zwalcowane świnie.

Zwierzęta te były zredukowane do ogona i ryja, gdzie pracowały wytrwale dwa rzędy ostrych siekaczy. W tych straszliwych pyskach znikало wszystko, co tylko spotykały na swej drodze, oczywiście pod warunkiem, że nie były to kopyta centaurów lub jakiś przedmiot do nich należący. Mas od razu zrozumiał, dlaczego wszędzie panowała niemal szpitalna czystość.

W końcu zbliżyli się do czoła kolejki. Przed nimi stał jeszcze jedyny centaur, który już z daleka nie przypominał okazu kwitnącego zdrowia. Był stary i tłusty. Spod porowatej skóry wystawały zniekształcone kości, jedno oko zaszło bielmem, z drugiego skapywały krople ropy.

Sędzia, burmistrz, przywódca stada lub kimkolwiek tylko mógł być omówił ten szczególny przypadek z dwoma młodszymi centaurami, sprawiającymi wrażenie, jakby były jego siostrami. Później zszedł z niewielkiego pagórka i obejrzał chorego współplemieńca krytycznym wzrokiem. Po chwili odbyła się krótka rozmowa.

Stary i chory centaur odpowiadał niezwykle cicho słabym rżeniem. Przywódca znowu zadał to samo pytanie i - jak wydawało się Maxowi - otrzymał tę samą odpowiedź. Prominent wrócił na swoje miejsce i podniósł, dziwny krótki krzyk.

Z wszystkich stron zbiegły się walcowate gryzonie, tworząc wokół chorego i jego towarzysza

zwarty krąg. Starzec zagrzmiął raz jeszcze: młodszy centaur wyciągnął z worka jakieś dziwne stworzenie, przypominające zwiniętego w kłębek węgorza.

Młody centaur uniósł go w stronę chorego starca - ten nie wykonał żadnego obronnego gestu, nie odsunął się ani na krok - stał spokojnie na swoim miejscu. Głowa węgorza dotknęła karku centaura, który w tej samej chwili zadygotał, niczym porażony prądem i upadł na ziemię. Przywódca parsknął krótko, a na ten znak dziesiątki drapieżnych świń z niesłychaną szybkością rzuciły się na zwłoki i rozniosły je na strzepy. Za moment nie zostało z nich ani śladu. Wkrótce oczyściły ziemię, na której trudno było się dopatrzeć najmniejszej kosteczki.

- Niech się pani trzyma, Ellie - szepnął Max.

- Nic innego nie robię - wyszeptała zbielełymi wargami.

Zdjęto im pęta. Ich pan i władca dotknął po prostu sznurów, które opadły bezwładnie na ziemię.

Władca zlustrował ich charakterystycznym wzrokiem kupca i wymienił z ich właścicielem kilka słów. Najwyraźniej musieli podjąć jakąś ważną decyzję, gdyż miny mieli poważne. Max wyciągnął nóż.

Jeszcze nie bardzo wiedział, jak powinien się nim posługiwać lecz był przekonany, że nie pozwoli zaszlachtować się jak by było w rzeźni. Jednak sytuacja kryzysowa minęła. Ich strażnik, właściciel czy przewodnik ponownie założył im pęta i poprowadził za sobą. Po kwadransie byli już w pobliżu polany, skąd wyszli. Kiedy centaur odszedł, Ellie rozejrzała się wokół, po czym westchnęła.

- Zawsze mamy szczęście ... Cieszę się, że znowu mogę być tutaj.

- Rozumiem panią doskonale.

Przez dwa, w końcu trzy dni rozprawiali o szansach, jakie mają. Kiedy oświetlające polanę lampiony opadły z drzew, stracili nadzieję na jakikolwiek ratunek.

Zaczęli odczuwać rosnący z każdą godziną strach. Ellie uśmiechała się coraz rzadziej, a z jej przekornego ducha nie pozostało ani śladu. Max z kolei zaczął, podchodzić do sprawy w sposób filozoficzny. Ponieważ nigdy nie spędził tyle czasu w jednym miejscu, niewiele też się spodziewał po tej sytuacji, a jako że nie oszukiwał się już wcześniej nie odczuwał w tej chwili wielkiego zawodu.

Tydzień po uwięzieniu, wcześniej rano Ellie odsunęła od siebie ciągle to samo śniadanie i usiadła w milczeniu pod drzewem. W ten sposób spędziła cały ranek. Wszystkie próby Maxa kończyły się niepowodzeniem - jego namowy i apele do rozsądku Ellie budziły w niej jedynie coraz większą zaciętość. W ostatecznym zwątpieniu zaczął szukać ratunku w obietnicach.

- Podaruję pani dwa statki gwiazdne oraz partyjkę szachów ...

- Pan? ... Tu nie ma nic do śmiechu ... - odparła kwaśno - Poza tym w jaki sposób mielibyśmy grać?

- Możemy grać w pamięci ...

- Bez sensu. Wystarczy, jeśli pan powie, że ma lepszą pamięć, a ja nie będę mogła dowieść swoich racji. Nie pozwolę się oszukiwać.

- To najmniej ważny powód ... Jest pani małostkowa. Wtem roześmiała się.

- To już brzmi lepiej. Ostatnio był pan niezwykle miły w stosunku do mnie ... zbyt miły, a tego nie znoszę. Ale skoro tak, to możemy zagrać, tylko w prawdziwe szachy ...

- W jaki sposób?

- W taki ... - podniosła kilka igieł, których grube pokłady zalegały całą polanę - Ta duża igła jest statkiem flagowym, inne wielkości będą też oznaczały inne rodzaje statków. Wszystko jest możliwe, trzeba tylko pomyśleć, widzi pan?

Oboje bez reszty pograżyli się w rozgrywce. Odsunęli dzban z wodą, żeby nie przeszkadzał. "Ziemia niczyja" także została oznakowana igłami w biało-czarną szachownicę. Ponieważ poszczególne ruchy musieli odbywać w pamięci, między jednym a drugim posunięciem mogli zaoszczędzić mnóstwo czasu - nie trzeba było przesuwać figur. Małe kamyki oznaczały roboty. Kawałki drewna z powtykanymi igłami zastąpiły im pionki. Po południu wszystko było już gotowe i mogli rozegrać pierwszą partię. Dopiero zapadający zmierzch zmusił ich do zawieszenia gry. Kiedy ułożyli się na ziemi, Max podjął niezwykle praktyczne postanowienie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli dzisiaj zdecydujemy się na separację ... myślę oczywiście o trzymaniu się za ręce. W ten sposób możemy zburzyć całą szachownicę.

- A zatem nie zmrużę oka ze strachu. Poza tym pomysł jest bez sensu ... ten goryl i tak popsuł nam szyki, gdyż zmieniając wodę wlaźł na pole.

- Nie szkodzi. Dobrze pamiętam, jak wszystko stało.

- Skoro tak, po co te obawy? Jutro odtworzymy sytuację korzystając z pańskiej pamięci. Proszę o rękę ... W ciemności odnalazł jej dłoń.

- Dobranoc, Max. Kolorowych snów,

- Dobranoc.

Następnego dnia grali od wschodu do zachodu słońca. Kiedy przyszedł strażnik, nie przerwali zabawy. Centaur usiadł obok i przyglądał się im bez słowa ponad godzinę. Kiedy Ellie była zmuszona wykonać nich do tyłu, Max odezwał się niezwykle poważnym tonem.

- Pani gra znakomicie ... diabelnie.

- Dziękuję za pochlebstwo.

- To nie pochlebstwo. Naprawdę tak sędzę. Niewątpliwie kobiety są równie inteligentne, jak mężczyźni, tylko na ogół nie mają okazji, by dać tego dowody ... prawdopodobnie nie uważają, że jest to konieczne. Jeśli kobieta jest piękna, nie musi myśleć. Weźmy pani przykład ...

- Oh! A więc jestem szpetna!

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Spójrzmy w takim razie na Helenę trojańską. W tym przypadku ...

Dopiero teraz spostrzegł, że przemawia do jej pleców. Wyciągnął rękę, jak tylko mógł najdalej i dotknął jej ramienia.

- Ellie? ...

Odrząciła dłoń.

- Proszę zachować dystans.. Pan śmierdzi, niczym stary kozioł.

- Cóż ... - odparł, jak tylko umiał najzimniej - ... pani też nie jest lilijką. Nie myła się pani co najmniej od paru wieków ...

- Wiem! - krzyknęła i zaczęła płakać - Nienawidzę siebie samej! Wyglądam obrzydliwie.

- W tym miejscu pani przesadziła ... przynajmniej tak sędzę.

- Ty kłamczuchu!

Choć starała się, by jej głos drżał ze świętego oburzenia, odwróciła brudną, zapłakaną twarz i spojrzała w jego stronę.

- Przecież mydło i woda przywrócą panią do dawnej świetności.

- Żebym je chociaż miała ... Ale panu także nic nie brakuje. Jak najszybciej powinien pan odwiedzić fryzjera a co do brody ... rośnie dosyć bujnie ... niczym dzikie chaszczce ... Pociągnął ręką po policzkach.

- Nic na to nie poradzę.

- Ja także. Westchnęła.

- Niech pan znowu ustawi figury.

Trzema prostymi posunięciami zagroziła mu genialnym matem. Spojrzał na szachownicę.

- I pani należy do tych kobiet, które tak łatwo kapitulują przed głupim gadaniem niemytych facetów?

- Mr. Jones ... czy pan nigdy w życiu nie spotkał niewiasty, o której mógłby powiedzieć, że jest ładna i mądra?

Ciągle jeszcze zastanawiał się nad tym problemem oraz odpowiedzią, jakiej powinien udzielić,

gdy Ellie dodała.

- Nauczyłam się gry w szachy jeszcze na kolanach swego ojca, znacznie wcześniej, niż alfabetu.

Byłam mistrzynią juniorów. Przy najbliższej okazji pokażę panu swój puchar.

- Naprawdę?

- Gram chętniej, niż jem. Ale i pan nie jest najgorszy ... przynajmniej czyni pan postępy.

Pewnego dnia będziemy się mogli zmierzyć jako równi partnerzy.

- Chyba nigdy nie zrozumieję kobiet.

- Zdecydowana przesada.

Wiele czasu minęło, zanim zdołał zasnąć. Podczas gdy Eldreth już od dawna cicho pochrapywała, on ciągle jeszcze czuwał, oglądał ogromne komety i rozmyślał. Niestety, nie były to różowe myśli ... Obudziło go dotknięcie jakiejś dłoni i czyjś szept.

- Max? ...

- Co, do diabła ... - Cicho ... nie tak głośno! Nad jego uchem pochylał się Sam. Szok adrenalinowy natychmiast przegnał sen.

Zerwał się na równe nogi i popatrzył, jak przyjaciel nachyla się nad śpiącą Ellie.

- Miss Eldreth ...

Ellie otworzyła oczy. Otworzyła też usta. Maxa ogarnęła obawa, że wkrótce krzyknie z radości, gdyż Sam nie nakazał jej milczenia, lecz były to przedwczesne obawy - dziewczyna jedynie skinęła głową. Sam ukląkł, obejrzał coś w świetle księżyca, po czym wyjął pistolet. Rozległ się suchy, nieomal bezgłośny strzał, a po chwili Ellie była już wolna - lina opadła. Sam podszedł do Maxa.

- Tylko cicho ... nie chciałbym cię oparzyć ...

Pistolet wystrzelił, poczuł prawie paralizujący ucisk wokół kostki, a za moment on także był już wolny. Większa część żywego sznura zwinęła się i popęzła gdzieś w mroki.

- Jak? ... - chciał zapytać, w jaki sposób ich znalazł, lecz Sam przyłożył palec do ust.

- Bez zbędnych słów ... Chodźcie za mną.

Pociągnęli w krzaki. Nie zdołali ujść nawet dziesięciu metrów, gdy usłyszeli jakiś świst, po czym na ramieniu Eldreth wylądowała Chipsie.

- Tylko bez długich pieszczot ... - ostrzegął Sam - Tu chodzi o wasze życie.

Po około stu metrach stanęli.

- Dalej nie możemy już iść ... wkrótce ugrzęźlibyśmy gdzieś w ciemnościach. Tutaj przynajmniej jestem pewny, że jesteśmy w miarę bezpieczni. O świcie ruszymy dalej.

- Jak się tu dostałeś? Jest tak ciemno ...

- Nie musiałem. Przez całe popołudnie razem z mr. Chipsem leżeliśmy niespełna dwadzieścia metrów od was.

- Ach, to tak ... - Max spojrzał w niebo - Mógłbym służyć za przewodnika.

- Naprawdę? ... Sporo byś nam pomógł. Te mały w nocy śpią, jak zabite.

- Pozwól mi przejąć przewodnictwo. Pozostań przy Ellie. Gdy wyszli na skraj lasu, przystanęli, a Sam spojrzał na rozciągającą się niżej trawiastą dolinę.

- Nie powinniśmy poruszać się po otwartej przestrzeni ... - szepnął - W środku lasu drzewa nie pozwolą im na użycie tych sznurów, ale na tej łące ...

- A zatem wiesz już o lassach?

- Oczywiście.

- Sam ... - szepnęła Ellie - ... mr. Andersen - poprawiła się po chwili.

- Pst! - napomniał ciekawską dziewczyn - Wszelkie wyjaśnienia musimy odłożyć na później. Teraz tylko biec ... Miss Eldreth, pani będzie naszym liderem. Ja pobiegnę razem z Maxem ... Jones

... orientuj się i chodu! Gotowy?

- Jeszcze minutkę ...

Max odebrał Eldreth Chipsie i wsadził ją za poję bluzy. Najpierw biegli, później szli, następnie znowu biegli ... gorączkowo chwytając oddech, nie marnotrawiąc sił na zadawanie zbędnych pytań i odpowiedzi, pędzili przed siebie, jeden tylko cel mając przed oczyma - aby jak najszybciej zwiększyć odległość w stosunku do osiedla centaurów.

Wysoka trawa oraz kompletne ciemności znacznie utrudniały ich wysiłki. Byli już prawie na dnie niecki, a Max zamierzał właśnie rozejrzeć się za strumieniem, gdy Sam wyszeptał rozkazującym tonem

- Na ziemię! Padnij! ...

Natychmiast położył się w trawę, dbając, aby nie zdusić Chipsie. Ellie bez zastanowienia rzuciła się obok.

- Centaury? - spytał Max, ostrożnie obracając głowę.

- Nie. Cicho!

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dostrzegł Jones balonowatego stwora, sunącego około trzydzieści metrów nad doliną. Leciał w odległości niespełna stu metrów od nich, lecz zaraz zmienił kierunek i zaczął frunąć wprost w stronę zbiegów.

Powoli zniżył pułap. W tej chwili był już tuż nad ich głowami. Sam ponownie wyciągnął pistolet i ostrożnie wycelował. Z lufy wydobyła się cienka, fioletowa smuga ... suchy trzask, a za moment stworzenie spadło na ziemię tak blisko, że Max czuł swąd spalonego ciała.

- Jeden szpieg mniej ... - szepnął Sam, chowając broń.

- A teraz, droga dziatwo, znowu przed siebie.

Ellie spostrzegła potok w chwili, gdy wpadła w zimną wodę. Wydobyli ją ze strumienia, po czym razem zaczęli brnąć przez nurt, przystanawszy na krótko, aby ugasić pragnienie.

- Co się stało z pani lewym butem? - zapytał Sam, gdy już dotarli do brzegu.

- Prąd zerwał mi go z nogi.

Sam zaczął szukać, lecz bez efektu: rozświetlana jedynie słabym światłem księżycy woda wyglądała, jak atrament.

- Trudno - stwierdził po bezowocnym grzebaniu się w strumieniu - Bez sensu dłużej tu tkwić. Musi się pani pogodzić z ranami na stopach ... Aha, radziłbym zdjąć i drugi but.

Bez większych niespodzianek wkrótce dotarli do zbocza pagórka, za którym było już osiedle kolonistów i statek. Lecz tutaj Ellie rozcięła piętę o wystający kamień. Z całej siły powstrzymywała się od płaczu i z zaciśniętymi zębami usiłowała wspinać się dalej, aż doszli na sam szczyt wzgórza.

Max chciał wejść w wąwóz ... czasu było niewiele, gdyż wschodnia linia horyzontu poróżowiła - wkrótce miało wzejść słońce, a wtedy ich prześladowcy odkryją ucieczkę i wyruszą w pogoń. Już miał zamiar schodzić, gdy Sam go powstrzymał.

- Najpierw musimy się rozejrzeć ... to nie jest miejsce, skąd wyruszyliście ...

- Oczywiście ... Powinniśmy pójść nieco na północ - przywołał z pamięci obraz tego feralnego dnia, kiedy to postanowili wybrać się na tę pechową majówkę ... Zrekonstruował topografię terenu i porównał model ze zdjęciem lotniczym, które pamiętał jeszcze ze sterowni "Asgarda".

- Statek leży za następnym wzgórzem ...

- Tak też i myślałem ... Leżeliśmy tam wraz z Chipsie między drzewami niemal całą wieczność ... Zanim tu doszliśmy, pojaśniało i musieliśmy czekać cały dzień.

- Czy to ma jakieś znaczenie? W dolinie, gdzie wylądował statek, nigdy nie było centaurów.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie widziałeś centaurów. W międzyczasie wiele się zmieniło ... nie

zapominaj, że nie było cię tu już od kilkunastu dni. Obecnie przeżywamy coś w rodzaju inwazji. Niebezpieczeństwo jest tym większe, im bliżej statku się znajdujemy, dlatego radziłbym mówić nieco ciszej. A teraz, jeśli potrafisz, prowadź nas na wzniesienie tuż naprzeciwko statku.

Max czuł się na siłach, nawet jeśli miało to oznaczać, że musi znaleźć właściwą drogę w prawie nieznanym terenie, posługując się jedynie swą fotograficzną pamięcią, która zanotowała jakąś bardzo niedoskonałą mapę o zbyt dużej skali.

Im bliżej było świtu tym większy pośpiech doradzał Sam. Obecnie szli nieomal bezgłośnie, choć Ellie utykała coraz bardziej i coraz trudniej było jej powstrzymać jęki bólu.

- Naprawdę współczuję pani ... - wyszeptał Sam w chwili, gdy ranna dziewczyna musiała zeskoczyć z dużego skalnego bloku. Noga krwawiła coraz bardziej, a na białych skałach widniały czerwono-brunatne ślady - Współczuję i przykro mi z powodu pani cierpień, ale chyba lepiej, jeśli dojdzie pani do domu ranna, niż zostanie pojmana przez tych zwyrodnialców.

- Wiem - jej twarz wykrzywił grymas bólu, lecz nie wydała najmniejszego jęku. Dotychczas nie słyszeli ani słowa skargi z jej strony.

Kiedy wreszcie dotarli do niewielkiego pagórka na wprost statku, było już zupełnie widno. Max wskazał ręką pojazd, leżący w odległości niespełna pół mili.

- Chyba musimy teraz zejść na dół ... - wyszeptał z ulgą.

- Nie ... - sprzeciwił się przyjaciel.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wujaszek Sam jest zdania, że lepiej będzie skryć się w tych krzakach, wystawić plecy na żer komarom i czekać, aż zajdzie słońce. Max spojrzał na zbocze - zaledwie tysiąc metrów

...

- Przecież mogliśmy pokonać tę drogę jednym skokiem ...

- Chyba zapomniałeś, mój drogi, że co cztery nogi, to nie dwie. A ja myślałem, że masz taką wspaniałą pamięć ...

Szczyt porośnięty był gęstymi krzakami, ciągnącymi się wokół płaskiej platformy. Sam tak długo szukał, aż znalazł miejsce, skąd mogli obserwować dolinę. Ellie wraz z Maxem podczołgali się za nim. Rzeczywiście, wszystko widzieli jak na dłoni. Nieomal na wyciągnięcie ręki mieli przed sobą osiedle kolonistów. Statek leżał nieco dalej na lewo.

- Zechciejcie się rozgościć ... - zachęcał Sam - Będziemy musieli ustalić porządek dyżurów, gdyż jedno z nas powinno czuwać, podczas gdy dwoje będzie spało. Mamy przed sobą sporo czasu i w jakiś sposób będziemy musieli go zagospodarować. Śpiąc połączymy przyjemne z pożytecznym.

Max usiłował przesunąć Chipsie nieco w bok, aby mógł się wygodnie ułożyć. Zanim jednak zdołał dotknąć miejsca, gdzie ukrył zwierzątko, zza pazuchy wyjrzała mała główka z zakrzywionym, długim dziobem.

- Dzień dobry! - powitała ich małpka uroczyście - śniadanie?

- Dzisiaj śniadania nie będzie - obwieściła Ellie - Sam, jak sądzisz, czy można ją wypuścić?

- Pod warunkiem, że zachowa spokój ... Sam ciągle lustrował równinę poniżej. Max zajął się tym samym.

- Dlaczego nie możemy podejść do osiedla? - zdziwił się po chwili Jones - Przecież stamtąd jest znacznie bliżej.

- Nie mamy dokąd iść - odparł Andersen - Wioska się poddała.

- Co takiego? ... Nie mógłbyś opowiedzieć czegoś więcej? Sam ciągle obserwował równinę.

- W porządku ... ale musicie być cicho. Ja także będę tylko szeptał. Co chcesz wiedzieć?

- Co z wioską?

- Opuszczona. Było zbyt niebezpiecznie.

- Czy kogoś schwytali?

- Tylko na chwilę. Całe szczęście, Daigler miał pistolet i umiał sobie z nimi poradzić. Ale cała zabawa zaczęła się dopiero później. Na początku sądziliśmy, że ich jedyną bronią stanowią te żywe lassa, jednak wkrótce na własnej skórze musieliśmy się przekonać, iż potrafią sprawić nieco więcej niespodzianek. Na przykład umieją powodować sztuczne zawały ziemi ... Musieliśmy więc opuścić wioskę.

- Jest ktoś ranny?

- Hm ... Para nowożeńców za wszelką cenę chciała się wprowadzić do nowego mieszkania. Becky Weberbaner została wdową ... Ellie chciała krzyknąć, lecz Sam spojrzał na nią tak ostrym wzrokiem, że się uspokoiła. Nawet Max, zanim przystąpił do dalszych pytań, musiał przełknąć łyżę.

- Nie rozumiem, dlaczego po tym, jak dostali wiadomość ode mnie ...

- Jaką wiadomość?

Opowiedział, co napisał na kartce i w jaki sposób postanowił ich ostrzec, a zarazem powiadomić o losie Ellie oraz swym własnym.

Sam pokręcił przecząco głową.

- Owszem, zwierzak wrócił do domu, ale bez żadnych listów. Już wcześniej zauważyliśmy wasze zniknięcie i ruszyliśmy na poszukiwania ... całe szczęście, nie zapomnieliśmy wziąć ze sobą broni.

- To w jaki sposób nas znalazłeś?

- Przecież już mówiłem ... Chips mnie prowadził.

- Ciągle nic nie rozumiem - wyszeptał Max - Przecież wiedziałeś, jakie niebezpieczeństwo ci grozi, a jednak ruszyłeś na tę wyprawę samotnie. Czy nie mogłeś wziąć ze sobą jakiegoś oddziału uzbrojonych mężczyzn? Byłoby znacznie łatwiej.

- Wręcz przeciwnie ... - zaprzeczył Sam - Pojedynczy człowiek miał jeszcze jakieś szansę, aby cię odnaleźć. Duża grupa nie przebiłaby się nigdy. A przecież w jakiś sposób musieliśmy cię w końcu odzyskać ...

- Tym bardziej jestem ci wdzięczny ... Sam, w tej chwili nie mogę znaleźć bardziej odpowiednich słów ... Raz jeszcze dziękuję.

- Ja także - dodała Ellie - I proszę nie mówić do mnie "miss Eldreth". Dla przyjaciół jestem po prostu Ellie.

- W porządku. Jak z nogą? ...

- Nie myślę o niej.

- Cieszę się, mając u boku tak dzielną dziewczynę. Ponownie zwrócił się do Maxa.

- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał ... nie powiedziałem, że tylko ciebie chcieliśmy odzyskać ... Mówiłem, że w końcu musieliśmy cię odzyskać ... musieliśmy ... nie mieliśmy innego wyboru. Przepraszam, Ellie ...

- Jak to? Dlaczego właśnie mnie?

- Ponieważ ... - zawahał się przez chwilę - ... Cóż, wszystkich szczegółów dowiesz się na statku. Wszystko jednak na to wskazuje, że jeśli będziemy chcieli wystartować, nie obędzie się bez twojej pomocy. Jesteś jedynym astronautą, jaki nam pozostał.

- A Simes?

- Ciszej, ciszej, na miłość Boską. Mr. Simes nie żyje.

- Boże drogi!

Choć nigdy nie przepadał za tym człowiekiem, jednak nie życzył mu tak niechlubnego końca w

paszczy centaurów.

- Nie, Max, to nie tak było. Widzisz ... kiedy umarł kapitan Blaine ...

- Blaine też?

- Owszem.

- Wiedziałem, że jest chory, ale żeby do tego stopnia ...

- Hm ... powiedzmy, że popełnił harakiri ... miał przesadne poczucie honoru. Kiedy sprzątałem jegoabinę, znalazłem puste opakowanie po środkach nasennych. Być może zażył je osobiście, być może nasz przyjaciel Simes ułatwił mu tę decyzję, wsypując tabletki do herbaty ... W każdym razie lekarz powiedział coś o "naturalnej przyczynie zgonu" i tak też wpisano do książki pokładowej. Kto wie, może miał rację? Może istotnie śmierć jest naturalnym wyjściem z sytuacji, w której życie staje się nie do zniesienia ...

- To był dobry człowiek - szepnęła poruszona do głębi Ellie.

- Tak - potwierdził Sam - Prawdopodobnie zbyt dobry.

- Ale co ma z tym wspólnego Simes?

- Ooo ... to już całkiem inna historia. Nasz umiłowany brat Simes zdawał się sądzić, że został koronowanym przywódcą statku, lecz pierwszy oficer miał nieco odmienny pogląd. Cała sprawa poszła o kilka filmów, które były w posiadaniu Kelly'eya. Simes usiłował oczyścić sobie drogę do tronu i użył przemocy, a wtedy ja pomogłem mu skrócić kark. Nie było czasu na szlachetne gesty, gdyż wyciągnął pistolet ... - dodał nieco przeproszającym tonem.

- Znowu pomogłeś w potrzebie? ...

- To była nieco inna sytuacja niż wtedy, podczas próby rokoszu ... nie skończył, tylko rzucił się w krzaki.

- Ani słowa więcej ... może nas przegapi ... - wyszeptał. Jakiś kobold nadleciał z północy i zawisł nad pagórką. Po chwili ruszył nisko nad ziemią, jak gdyby przeszukiwał teren.

- Może lepiej cofnąć się? ... - szepnął Max prosto w ucho Sama.

- Za późno. Cisza!

Balon płynął w powietrzu tuż przed nimi ... powoli zbliżał się do miejsca, gdzie byli ukryci.. Sam trzymał pistolet w pogotowiu. Czekał aż do momentu, gdy kobold zawisł nad krzakami. Cienka strużka dymu, błysk ognia i szpieg zwałił się na ziemię.

- Tutaj ... tutaj jest jeszcze jeden.

- Gdzie?

Sam spojrział w kierunku, wskazywanym przez Maxa.

Drugi balon najwidoczniej spostrzegł, jaki los spotkał pierwszego, toteż wzbił się do góry i zachowywał bezpieczną odległość.

Sam właśnie go zauważył, uniósł broń, lecz w tej samej chwili balon zwiększył wysokość.

- Zestrzel go!

- Za późno ... za daleko i za późno. Teraz już nie ma powodu, by dłużej bawić się w podchody. Ellie ... niech pani się po prostu stoczy w dół zbocza. Przynajmniej oszczędzimy ranną stopę. Wraz z niewielką lawiną kamieni znaleźli się u podnóża pagórka. Mr. Chips odzyskał wreszcie swobodę ruchu i mógł w pełni korzystać z wolności.

- Max ... ile czasu potrzebujesz, aby przebiec pół mili? - zapytał Sam, gdy doszli już do siebie.

Wyglądali dosyć żałośnie. Nie dość, że brudni, to jeszcze obdarci, z kawałkami gałęzi we włosach, umorusani i z obtartym naskórkiem przypominali gromadę włóczęgów, ściganą przez policję.

- Nie wiem ... może trzy minuty ...

- Musisz to zrobić szybciej. Zbieraj się ... ja pomogę Ellie.

- Nie.

- Musisz biec pierwszy. Jesteś potrzebny nam wszystkim.

- Nie! Sam parsknął. Widać było, że poniósł go gniew.

- Do cholery, nie zgrywaj się. Nie potrzebujemy martwych bohaterów.

Nie miał jednak innego wyjścia. Obaj objęli Ellie i zaczęli biec.

- Sama mogę szybciej ... - wyszeptała Eldreth.

- W porządku.

Biegli teraz we trojkę, ile tylko sił w nogach. Statek był coraz bliżej, niemal rósł w oczach.

Wejście do windy stało otworem. Max zastanawiał się, jak długo będą musieli czekać na spuszczenie krzeseł. Byli już w połowie drogi, gdy Sam wykrzyknął, jak tylko mógł najgłośniejszym głosem.

- Naprzód! Za nami gna cały oddział kawalerii!

Max spojrzał do tyłu. Przez ułamek sekundy widział stado centaurów ... tuzin, dwa tuziny, może jeszcze więcej ... Gnali na ukos, chcąc im odciąć drogę.

Także Ellie dostrzegła zagrożenie i wyrwała do przodu w takim tempie, że wkrótce Max został za nią.

Byli już tylko dwieście metrów od statku, gdy winda powoli opuściła się ku ziemi. Max chciał wydać okrzyk triumfu, kiedy tuż za plecami usłyszał ryki centaurów.

- Szybciej, szybciej! - poganiał Sam.

Wtem zatrzymał się. Także i Max stanął.

- Ellie, szybciej ...

- Pędź szybko do windy ... - przyskoczył doń Anderson - Nic tu po tobie. Bez pistoletu jesteś zupełnie bezużyteczny. Przyciśnięty argumentacją, której nie mógł odrzucić, nie wiedział co robić. Widział tylko, jak Ellie przystanąła.

- Zanieś ją do statku - rozkazał przyjaciel.

Tymczasem sam przyklęknął na jednym kolanie i oparł pistolet na rękę tak, jak uczyły przepisy.

Winda nie zdążyła się jeszcze zatrzymać, gdy na zewnątrz wypadło czterech uzbrojonych mężczyzn. Max niemal się nie potknął na ten widok. Opuścił Ellie na ziemię.

Rozpoczęła się strzelanina. Kr. Chips w samą porę umknął spod zasięgu ognia. Małpka zaczęła piszczeć, skomleć i biadolić. Eldreth usiłowała powstać.

- Jest pani w stanie iść?

- Chyba tak, ale ...

Przerwała, gdyż Max podbiegł do windy i zaczął szarpać drzwi. Stalowa zapora nie ustępowała. Dopiero po chwili zorientował się, że dźwig ruszył do góry. Z całej siły nacisnął guzik, przywołujący windę na dół.

Nic z tego - winda nie reagowała. Postukał w siatkę.

- Ejże, wy, tam na górze! Spuszczaj windę!

Nikt nie zważał na rozpaczliwe krzyki. Ogarnięty ostatecznym zwątpieniem wczepił się w siatkę i stał tak, wpatrzony w górę. Kiedy odwrócił wzrok chcąc zobaczyć, co się dzieje na polu walki, nie dostrzegł Sama. Tylko gromada centaurów wirowała w odległości dwustu - trzystu metrów od statku, niczym koła młyńskie, powoli, lecz skutecznie dokonujące dzieła zniszczenia. Czterej mężczyźni, którzy przybyli z pomocą, rozciągnęli się w długą linię, strzelając raz za razem. Centaury padały na ziemię, jeden po drugim. Kiedy doliczył do siedmiu, stado odtrąbiło odwrót. Strzały jednak nie umilkły. Zanim napastnicy wycofali się za wzgórze, padło jeszcze kilku.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął któryś z nich.

W tej samej chwili jeden z oddziału wdarł się na sam środek placu boju. Pozostali ruszyli za nim. Kiedy wracali, nieśli coś, co wyglądało niczym małe zawiniątko z odzieżą. Tymczasem winda zjechała na dół, drzwi się otworzyły i wszyscy weszli do środka. Powoli, ostrożnie ułożyli tobolek na podłodze.

Jeden z nich spojrzał na Eldreth, zdjął kurtkę i przykrył nią twarz Sama. Dopiero teraz Max rozpoznał w tym człowieku pierwszego oficera.

Powoli toczył wzrokiem po pozostałych: mr. Daigler, jakiś człowiek z maszynowni /znał go tylko z widzenia/ oraz mr. Giordano. Po zakurzonej twarzy grubasa biegły ciurkiem łzy.

- Ci przekłeci rzeźnicy ... - wykrzyknął zdesperowany - On jeden przeciwko takiej bandzie nie miał najmniejszych szans. Po prostu zdeptali go ... Spojrzał na Maxa.

- Ale drogo za to zapłacili. Mr. "Gi" najwyraźniej nie wiedział, do kogo mówi.

- Czy on nie żyje?

- A jakżeby inaczej. Niech pan nie zadaje takich głupich pytań. Steward odwrócił się do ściany. Winda stanęła. Walther wyjrzał na zewnątrz.

- Nie potrzebujemy widowni! - krzyknął gniewnie - To nie cyrk!

- Proszę go wynieść - rzucił w stronę obecnych w środku. Kiedy Max schylał się nad bezwładnym ciałem, kątem oka dostrzegł mrs. Dumont, która objęła Eldreth i wyprowadziła ją na korytarz. Powoli unieśli Sama. Lekarz już czekał.

Walther wyprostował się. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz dostrzegł obecność Maxa.

- Mr. Jones? ... Zechciałby pan pozwolić do mojej kabiny tak szybko, jak to tylko będzie możliwe?

- Tak jest, sir. Gdy jednak spojrzał na Sama, dodał niepewnie,

- Chciałbym jednak ...

- W tej chwili nie ma pan tutaj nic do roboty. Proszę ze mną - u-ciał w pół zdania Walther, lecz za moment dodał nieco przyjaźniej

- Powiedzmy, że za kwadrans ... Tyle czasu powinno panu wystarczyć, aby się umyć i przebrać

...

W największym pośpiechu wziął prysznic, ogolił się i założył świeże ubranie. Nie miał tylko czapki, gdyż zgubił ją gdzieś w dolinie - tam, gdzie ich schwytano.

Punktualnie co do minuty zapukał do drzwi kabiny pierwszego oficera. Oprócz gospodarza przy stole siedział główny inżynier Compacnor: oraz mr. Samuels - rachmistrz. Popijali kawę.

- Proszę, niech pan wejdzie, Jones ... - zaprosił go Walther

- Może kawy?

- O, tak. Bardzo proszę, sir.

Max dopiero teraz poczuł potworny głód, więc nie oszczędzał śmietanki i cukru. Po chwili w filiżance miał jasnobrązowy syrop. Siedział, pijąc powoli kawę, podczas gdy trzej mężczyźni kontynuowali przerwaną jego wejściem dyskusję. Nagle, zupełnie bez związku z tym, o czym mówiono, mr. Walther zwrócił się do Maxa.

- Jak się pan czuje?

- Poza tym, że jestem trochę zmęczony, nic mi nie dolega, sir.

- Rozumiem, że nie wrócił pan z wczasów, tym bardziej więc jest mi przykro, iż nie_daję panu spokoju. Czy orientuje się pan w naszym obecnym położeniu?

- Częściowo ... Sam ... mr. Andersen ... - głos go zawiódł.

- Bolejemy wszyscy nad jego śmiercią ... - powiedział poważnie Walther - Muszę przyznać, że pod pewnym względem był to najlepszy człowiek, z jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się pracować ... Ale proszę, niech pan mówi dalej.

Max opowiedział pokrótce, co było mu wiadome, jednak zataił szczegóły śmierci Blaine'a i Simes'a. Po prostu stwierdził tylko fakt, że byli martwi. Walther skłonił potwierdzająco głową.

- A zatem wie pan, czego się spodziewamy z pańskiej strony?

- Chyba tak. Mamy ruszać w dalszą drogę, a ja mam być astronautą ... Zawahał się.

- Sądzę, że spełnię te nadzieje.

- Hm ... ale to jeszcze nie wszystko.

- Tak, sir? ...

- Potrzebujemy pana w roli kapitana.

Spojrzenia wszystkich trzech mężczyzn spoczęły na jego twarzy. Maxa zawiódły zmysły ... przez moment nie bardzo wiedział, kim jest i gdzie się znajduje. Dopiero głos pierwszego oficera, dobiegający z jakiejś dużej odległości, niczym przez watę w uszach, przywiódł go do rzeczywistości.

- ... musimy niezwłocznie opuścić tę planetę. Prawo stanowi zupełnie jednoznacznie: podczas lotu dowództwo może sprawować jedynie ten, kto ma kwalifikacje astronawigatora. Dlatego prosimy, aby zechciał pan przejąć odpowiedzialność za statek i wydawane rozkazy. Choć jest pan jeszcze młody, jednak wiedza oraz zdolności zupełnie spełniają stawiane prawem warunki. Mr. Jones ... pan musi przyjąć tę propozycję.

Max zebrał się w sobie. Powoli, z ogromnym wysiłkiem doprowadził do tego, że rozmyte, przelewające się niczym żywa plazma sylwetki odzyskały swe normalne wymiary i jednoznaczne kształty.

- Mr. Walther? ...

- Tak? ... - Ale ja nie jestem astronautą ... Byłem zaledwie aspirantem ...

- Kelly powiedział, że pan jest astronautą - odparł Compagnon.

- To raczej on nim jest. Inżynier pokręcił głową.

- Nie do pana należy osąd. Samuela przytaknął ruchem głowy. Compagnon ciągnął dalej.

- Mówiąc szczerze, muszę wyznać, że wolałbym, aby mr. Walther przejął to stanowisko, ale on nie dorósł jeszcze do podobnej funkcji. Byłbym szczęśliwy, mogąc powierzyć dowództwo Hendrixowi, lecz jego nie ma już wśród nas. Chętnie sam obarczyłbym się tym ciężarem, ale jako fizyk wiem przynajmniej tyle, że nigdy w życiu nie zdołałbym osiągnąć takiej wszechstronności, jakiej wymaga się od astronauty. Poza tym ta funkcja nie odpowiada memu temperamentowi. Kelly powiedział, że pan jest jedynym, który potrafi sprostać temu zadaniu, a ja jemu wierzę. A zatem, sam widzisz, drogi synu, iż musisz się pogodzić z tą kolejną rzeczą. Musisz podjąć się tej niełatwej roli, a wraz z nią przejąć autorytet, nieodłącznie związany z kapitańskim tytułem. Oczywiście, może pan liczyć na pomoc Walthera ... wszyscy będziemy spieszyć z radą i wsparciem, ale tylko na pana, wyłącznie na pana będzie spoczywała odpowiedzialność.

Max poczuł, jak serce zaczęło walić, niczym młot. Rozboliła go głowa. Pierwszy oficer spojrział nań wyraźnie zatroskany.

- I co? ...

- Przyjmuję ... - wydyszał ciężko, a po chwili dodał - Co innego mi pozostaje? Walther powstał z miejsca.

- Jakie są pańskie rozkazy, sir?

Max siedział w bezruchu - usiłował uspokoić szalony łomot serca. Palcami uciskał skronie, chcąc doprowadzić tętno do normy.

- Hm ... proszę kontynuować normalny tok prac ... Przygotować statek do startu.

- Tak jest, kapitanie! - wyprężył się Walther - Mogę jeszcze spytać na kiedy planuje pan odlot, sir? Max ponownie usiłował powstrzymać natłok myśli,

- Kiedy? ... Z pewnością nie wcześniej, niż jutro ... jutro w południe. Najpierw muszę się wyspać.

Przyszło mu do głowy, że zgodnie z wcześniejszymi planami pierwszego oficera powinni wynieść statek na orbitę stacjonarną. W ten sposób uwolniliby się od towarzystwa centaurów i jednocześnie mogliby przeprowadzić odpowiednie namiary,

- Uważam, że to dobra decyzja, sir. Potrzebujemy nieco czasu ... Także i Compagnon powstał.

- Jeśli kapitan pozwoli ... załoga czeka na rozkazy. Muszę już iść. Dołączył się Samuele.

- Pańska kabina jest gotowa, sir. Polecę przenieść rzeczy osobiste.

Max patrzył się otępiąłym wzrokiem - nie miał pojęcia, co powinien uczynić. W ogóle nie znał swych nowych obowiązków.

- W porządku. Dziękuję panom.

- Tak jest, sir ... Samuels obrzucił go nieco krytycznym spojrzeniem.

- Proszę mi pozwolić skierować tu Lopeza ... pańska fryzura domaga się fryzjera, sir.

- Skoro to konieczne ...

Rachmistrz i główny inżynier opuściliabinę. Max stał ciągle na środku pokoju - nie wiedział, co teraz należy zrobić.

- Kapitanie ... - odezwał się Walther - Zechciałby mi pan poświęcić kilka minut? ...

- Oczywiście. Usiedli. Pierwszy oficer nalał w filiżanki kolejną porcję kawy.

- Mr. Walther ... czy jest możliwe powiadomienie kambuza? Jeszcze nic nie jadłem ...

- Ależ tak, sir. Zapomniałem. Przepraszam. Zamówił herbatę oraz kanapki. Po chwili ponownie zwrócił się do Maxa.

- Wybacz pan, ale musiałem zaczekać, aż zostaniemy sami.

- Tak? ...

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie wszyscy muszą wiedzieć wszystko.

-Hm... a o co chodzi? Walther obracał w rękach filiżankę.

- Czy pan zna okoliczności śmierci mr. Simes'a? Max powiedział mu wszystko, co usłyszał od Sama. Walther skinął głową.

- W zasadzie tak to wyglądało, ale ... Może nie należy źle mówić o zmarłym, lecz Simes miał nieznośny charakter. Kiedy Blaiac umarł, uważał za naturalne, iż właśnie on powinien go zastąpić.

- Hm ... Sądzę, że z prawnego punktu widzenia miał rację.

- Absolutnie nie! Boleję, iż muszę jeszcze raz grzebać się w tych brudach, ale tak właśnie było. Simes nie miał żadnego prawa do czegokolwiek, a zwłaszcza do schedy po Blaine'm. Max zmarszczył brwi.

- W tej chwili nic już nie rozumiem.

- Kiedy wylądowaliśmy, objąłem władzę ja, jako senior. Astronauta dowodzi jedynie w czasie lotu, na lądzie ja wydaję rozkazy, jako najstarszy. W sytuacji, która zaistniała po śmierci Blaine'a Simes nie miał żadnego prawa obwoływać się kapitanem, bo choć istotnie był najstarszy stopniem jednak wszelkie decyzje co do nominacji zastępcy należały do mnie. Rozmawiałem o tym wszystkim z Kelly'eyem i dowiedziałem się, jak wyglądała sprawa ostatniej tranzycji. Dlatego postanowiłem, że raczej zgnijemy na tej planecie, niż Simes miałby objąć dowództwo. Kiedy po śmierci kapitana sprowadził się do jego kabiny i polecił mnie wezwać, usiłowałem wyprowadzić go z błędu. Skoro nie usłuchał argumentacji słownej, poszedłem po świadków oraz szefa policji, aby wspólnymi siłami wyrzucić tego szaleńca z miejsca, którego nie powinien zajmować. Resztę już pan zna ... Anderson nie tylko panu uratował życie. Ja także zawdzięczam mu wiele ... bardzo wiele ... Nieoczekiwanie zmienił temat.

- Czy pan naprawdę umie liczyć w pamięci, bez tabel i książek?

- Hm ... chyba tak.

- Opanował pan wszystkie tabele, czy zna pan tylko kilka?

- Znam wszystkie standardowe wzory, wykresy, tabele i podręczniki, które na ogół służą astronautom.

Max zaczął opowieść o swym wuju, lecz Walther przerwał mu w połowie.

- Przepraszam, że jestem niecierpliwy, ale spieszę się podzielić kolejną nowiną. Jestem szczęśliwy, że pan istnieje ... Jedyne książki, którymi dysponujemy, spoczywają teraz w pańskiej pamięci. Kiedy Kelly opowiedział Waltherowi, jak się rzeczy w istocie mają, wszczęli śledztwo. Niestety, bez rezultatów - cały zbiór niezbędnych książek przepadł gdzieś bez wieści. Wyznaczono wysoką nagrodę. Wszyscy rzucili się do poszukiwań. Zbadano całe wnętrze statku, cal po calu, od dolnego pokładu aż po górne poszycie, lecz książek nie znaleziono.

- Podejrzewam, że wyniósł je gdzieś na zewnątrz i zakopał ... - zakończył ponuro Walther - Nawet gdybyśmy mieli w tej chwili pełną swobodę ruchów, a centaury w ogóle by nie istniały, wątpię, czy udałoby się je znaleźć. Dlatego cieszę się, gdy słyszę, że darzy pan swą pamięć tak samo wielkim zaufaniem, jak Kelly.

W tej samej chwili Maxa opadły wątpliwości: w końcu inaczej się robi coś dla sportu, a inaczej z powodu konieczności.

- Aż tak źle jeszcze nie jest ... - odparł z namysłem - Być może Kelly nie wpadł na ten pomysł, lecz większość logarytmów i tabel znajduje się w książkach inżynierskich ... wystarczy tylko poszukać. W każdym razie znajdziemy tam wszystko, co jest potrzebne podczas normalnego lotu.

Wszystkie inne księgi służą jedynie do przeprowadzenia tranzycji.

- Kelly nie zapomniał o tym. A teraz niech mi pan zechce powiedzieć, sir, w jaki sposób wycofuje się statek patrolowy, jeśli zetknie się z nową kongruencją?

- Ach ... więc tego pan ode mnie oczekuje? ...

- Nie moją jest rzeczą podpowiadać kapitanowi, w jaki sposób powinien prowadzić statek - odparł oschle Walther. Max nie przeciągał struny.

- Długo rozważałem ten problem ... - powiedział powoli - ... Miałem przecież bardzo dużo czasu ...

Nie wspominał, że znaczną część bezsennej nocy poświęcił na to, aby utrzymać się przy zdrowych zmysłach.

- Oczywiście nie dysponujemy takimi przyrządami, w jakie są wyposażone patrolowce ... poza tym warto pamiętać, że i one niekiedy nie wracają.

- Ale ...

Przerwało im pukanie do drzwi.

Po chwili wszedł pomocnik stewarda, dźwigając oburącz olbrzymią tacę, zastawioną jedzeniem. Nakrył do stołu. Maxowi zrobiło się ciemno przed oczami.

Przyszedł do siebie dopiero w momencie, gdy mógł zabrać się do konsumpcji. W mgnieniu oka posmarował chleb masłem i konfiturami, po czym ugryzł wielki kęs.

~ Mój Boże ... tego tylko czekałem.

- Chyba powinienem był wcześniej o tym pomyśleć - uśmiechnął się Walther - Może banana?

Max drgnął.

- Tylko nie to. Obawiam się, że już nigdy nie będę mógł jeść żadnych bananów, ogórków i papajów ...

- Uczulenie?

- Coś w tym rodzaju. Zjadł kanapkę i zabrał się za następną.

- Jeśli chodzi o szczegóły naszego lotu ... może pomówimy o tym nieco później ...

- Tak jest, kapitanie.

Obudził się tuż przed kolacją. Przez dobrą chwilę oglądał swe nowe wcielenie, wpatrując się w ogromne lustro, zajmujące połowę ściany kapitańskiej sypialni.

Włosy były już krótko przycięte, zaś dwie godziny snu usunęły uczucie skrajnego wyczerpania.

Sięgnął po czapkę, na której otoku widniało jeszcze imię Hendrixa. Później wcisnął się w nowy mundur, opatrzony już kapitańskimi epoletami. Ponownie stanął przed lustrem, obrócił się kilka razy, popatrzył krytycznym wzrokiem i westchnął: trudna rada, kiedyś trzeba uczynić pierwszy krok. Kiedy był w drodze do salonu, rozbrzmiały głośniki.

- Do załogi i pasażerów: proszę zgromadzić się w salonie! Milczący tłumek rozstąpił się, czyniąc dlań wąskie przejście. Podszedł do kapitańskiego stołu. Walther stał już przy swoim krześle.

- Dobry wieczór, sir. Usiedli. Naprzeciwko siebie miał miss Eldreth.

- Hallo, Ellie ...

Poczuł, jak fala gorąca ogarnia go po czubki uszu. Niewątpliwie poczerwieniał.

- Dobry wieczór, kapitanie - odparła mocnym, dźwięcznym głosem. Ubrała się w tę samą suknię, którą nosiła owego wieczora, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w salonie.

Ktoś, kto nie znałby jej dobrze, nie mógłby się domyśleć, że jest to ta sama dziewczyna, która przed kilkoma godzinami przybyła na statek windą.

W kilku słowach pierwszy oficer przedstawił ich obecną sytuację. Zakończył w sposób następujący:

- ... dlatego zgodnie z literą prawa postanowiłem przekazać pełnię władzy w ręce nowego kapitana. Prosimy, kapitanie Jones.

Max powstał, rozejrzał się, lecz nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Po chwili przyszło mu do głowy, że powinien sięgnąć po szklankę z wodą. Przełknął łyk ... pomysł był o tyle zbawienny, iż ta drastyczna chwila ciszy mogła zostać uznana za dowód talentu oratorskiego, a nie - przejaw jego słabości.

- Drodzy goście i koledzy ... - rozpoczął, czując, że powraca mu siła - ... nie możemy zostać dłużej na tej planecie. Niedawno nasz lekarz poinformował mnie, iż świat zwierzęcy, istniejący na Caritas, żyje w strukturach nazwanych "symbiotycznym niewolnictwem". Co jest dobre dla zwierząt, dla ludzi jest niekiedy nie do przyjęcia. Ponieważ nie możemy zmienić układu sił, musimy odlecieć. Przerwał na moment, znowu sięgnął po szklankę z wodą, wypił nieco.

Spojrzał w oczy Ellie i nabrał jeszcze większej pewności.

- Być może pewnego dnia wylądują tu ludzie lepiej przygotowani do kolonizacji tej planety, niż my w tej chwili. Jeśli zaś chodzi o nasze własne losy ... Chciałbym zawrócić przez tę samą "dziurę", wyrwę czasoprzestrzeni, którą się tu dostaliśmy. Oczywiście, nikogo nie zmuszamy do powrotu, lecz jest to jedyny sposób, by móc wrócić do domu. Jeśli ktoś z państwa nie chce ryzykować niebezpiecznego lotu, możemy go wysadzić na północnym kontynencie planety, nazwanej przez nas "Afrodytą". Choć będzie tam zapewne zbyt gorąco, niewątpliwie istnieją jakieś szanse przetrwania. Wszystkich chętnych proszę o sporządzenie listy i dostarczenie jej rachmistrzowi jeszcze dziś wieczór. Pozostali wraz ze mną podejmą próbę powrotu. Przez chwilę panowało pełne oczekiwania milczenie.

- To wszystko - zakończył i zajął miejsce przy stole.

Ponownie wynieśli Sama przed statek i pogrzebali go w miejscu, gdzie poległ. Max ograniczył liczbę uczestników ceremonii do siebie, Walthera i Giordano - Ellie poprosił, aby pozostała w kabinie. Zaciągnięto warty honorowe, lecz ponieważ niebezpieczeństwo ciągle było realne, mężczyźni nie zabrali ze sobą bronili tylko dla parady. Max odczytał słowa modlitwy tak słabym głosem, że sam z trudnością mógł dosłyszeć, co mówi. W warsztacie pośpiesznie wykonano tablicę pamiątkową. Kapitan położył ją na grobie, rozważając raz jeszcze to, co wykuto w lśniącym metalu.

Ku pamięci
sierżanta Sama Andersena
Poległ na służbie.
"Jadł to, co mu podano"

Tuż po uroczystości Max wrócił do sterowni. Był tu także wczoraj wieczorem, żeby mieć już za sobą nieunikniony szok, kiedy to po raz pierwszy stanie w sercu statku w roli dowódcy. Dzisiaj nie bał się już tak bardzo i kiedy Kelly powitał go słowami "Dzień dobry, panie kapitanie" przyjął je jako coś naturalnego.

- Dzień dobry, szefie. Dzień dobry, Lundy.
- Kawy, sir? ...
- Dziękuję. Czy już obliczono współrzędne orbity stacjonarnej? ...
- Jeszcze nie, kapitanie.

- A zatem podarujmy to sobie. Postanowiłem, że wrócimy prostą drogą do domu. Wszystkich pomiarów możemy dokonać w trakcie lotu. Czy ma pan te filmy?

- Zabrałem je już znacznie wcześniej.

Oczywiście, mówili o negatywach, które Max schował we własnej kabinie. Pierwszą serię zdjęć zniszczył Simes jeszcze przed śmiercią kapitana Bleine'a. Pozostał więc tylko jeden komplet dokumentów, ilustrujących wszystkie posunięcia Simes'a od chwili rozpoczęcia feralnej tranzycji aż do momentu jej zakończenia.

- O'kay. Bierzemy się do roboty.
- Tak jest, sir.

Zaczął sypać liczbami z głowy, niczym sprawny automat. W nocy budził się dwa razy, zlany zimnym potem, gdyż śniło mu się, że stracił swą wspaniałą pamięć. Na szczęście był to tylko koszmar. Kovak zwijał się w roli sekretarza, a Noguchi i Lundy pomagali Kelly'emu przy filmach. Cały problem polegał na szybkim starciu z Caritas i to w ten sposób, aby zostawić słońce za plecami oraz w miarę szybko dolecieć do miejsca, skąd przybyli.

Start został zaprogramowany dla automatycznego pilota. Życie na statku zaczęło się toczyć wedle czasu lokalnego, czyli powróciło do czasu Greenwich, który ciągle obowiązywał w sterowni. Oczywiście, pociągnęło to za sobą drobne uciążliwości - kolację miano podać kilka godzin później, a niektórzy pasażerowie jak zwykle zapomnieli przestawić zegarki, aby za powstałe w ten sposób nieporozumienia jak zwykle winić rząd.

Maszynownia zaczęła pracować zgodnie z czasem automatycznego pilota. Niezmiennie polegało to na słodkim nieróbstwie w oczekiwaniu godziny "O", kiedy należało nacisnąć guziczek i przekazać stery automatowi. Rozdzwonił się telefon. Odebrał Smythe.

- Do pana, kapitanie. Rachmistrz ...
- Sir ... - głos Samuela brzmiał dość ponuro - Przykro mi, że muszę przeszkadzać w pracy ...
- Nie szkodzi. Co się stało?
- Mrs. Montefiore chce zamieszkać na Afrodycie. Przez moment trwało milczenie.
- Czy ktoś jeszcze? ...
- Nie. Tylko ona, sir.

- Przecież prosiłem, aby decyzję podjęli jeszcze wczoraj.
- To samo jej powiedziałem, lecz jej odpowiedź nie brzmiała zbyt logicznie.
- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż zostawienie jej samej na bezludnej wyspie.

Ale ponieważ odpowiadamy za jej zdrowie i życie, proszę jej oznajmić moją ostateczną decyzję: nie!

- Tak jest, sir. Mógłby mi jeszcze pan poradzić, w jaki sposób mam jej to przekazać?
- Oczywiście! Proszę jej powiedzieć, żeby trzymała się ode mnie z daleka!

Rzucił słuchawkę na widełki. Kiedy się obrócił, dostrzegł stojącego przed sobą Kelly'eya.

- Już najwyższy czas, sir, aby włączyć pilota.
- Niech pan to zrobi. Przecież pan pełni teraz wachtę.
- Tak jest.

Kelly usiadł za pulpitem, a Max zajął miejsce w kapitańskim fotelu. Nagle poczuł, że serce zaczęło mu bić szybciej, a on sam został wciśnięty w siedzenie. "Asgard" znowu miał własną grawitację. Kilka sekund później statek majestatycznie uniół się nad Caritas i wkrótce nad kopułą sterowni rozbłysły gwiazdy. Max powstał.

- Idę na dół, szefie. Proszę zadzwonić, jeśli będzie pan miał pierwsze zamiary. A tak poza tym ... jak ustalono wachtę? Kelly zabezpieczył stery i zszedł z podestu.

- Postanowiłem, że wraz z Kovakiem będę dyżurował na zmianę co trzy godziny. Max potrząsnął głową.

- Nic z tego. Proszę włączyć jeszcze mnie. Będziemy pełnili wachtę co trzy godziny tak długo, jak się da. Kelly opuścił nieco głos.

- Kapitanie ... mógłbym wyrazić własny pogląd w tej sprawie?

- Jeśli pan, drogi Kelly, przestanie udzielać mi rad, wtedy i ja przestanę być kapitanem. Sam nie podołam temu zadaniu.

- Dziękuję.. A zatem ... uważam, że kapitan nie powinien pracować jak dziki osioł. Proszę nie zapominać, iż pan sam musi przeprowadzić wszystkie obliczenia w pamięci ... Po chwili dodał jeszcze ciszej.

- Bezpieczeństwo tego statku jest ważniejsze, niż osobiste ... ambicje.

Minęło kilka chwil, zanim Max odpowiedział.

- Szefie ... czy tam, między stołem a maszyną liczącą jest dość dużo wolnego miejsca? Kelly spojrział we wskazanym kierunku.

- Chyba tak ... To zależy od tego, co chce pan zrobić, sir.

- Pomyślałem, że zamiast stolika z ekspresem do kawy można by u-stawić tam łóżko.

- Czy zamierza pan tutaj spać, sir?

- Właśnie to zamierzam. Ale nie myślałem tylko o sobie samym ... My wszyscy spędzamy tu większą część dnia. W ciągu najbliższego tygodnia nie będziemy musieli czuwać non stop, a zatem można by spróbować zdrzemnąć się przez kilka minut. Co pan o tym sądzi?

- To wbrew przepisom, kapitanie. Poza tym ten precedens nie będzie dobrym przykładem dla młodzieży ... - spojrział na Smytha i Noguchi'ego.

- Do pana więc należy zadbać o taką formę raportu, żeby wszystkim było wiadome, po co i

dlaczego postanowiliśmy wnieść tu łóżko. Podpiszę wszystko, co pan przygotowuje.

- Skoro pan tak sądzi, sir ...

- Mam wrażenie, że nie zdołałem pana przekonać. Kto wie, może się mylę ... Proszę przemyśleć tę sprawę i dać mi znać, skoro podejmie pan decyzję.

W końcu ustawiono w sterowni łóżko oraz wydano stosowne rozkazy. Max widział, że ani Kelly, ani Kovak nie korzystali z tego dobrodziejstwa, lecz bynajmniej tym się nie spieszył. Gdyby nie kilka minut drzemki, na sen zostawałoby mu bardzo niewiele czasu. Wkrótce weszło w stały zwyczaj spożywanie posiłków w sterowni. Max spędzał w sterowni tak wiele czasu, że w końcu pierwszy oficer musiał nalegać, aby choć na moment pokazał się w salonie, gdyż jego absencja źle wpływała na morale pasażerów. Choć Walther nie instruował go, w jaki sposób ma się uśmiechać i sprawiać dobre wrażenie, co więcej - w ogóle o tym nie wspomniał, Max wiedział, że to należy do jego obowiązków - przynajmniej tyle mógł wyczytać między słowami oficera. Oczywiście, nie miał zbyt wiele okazji, by spotkać się z Eldreth. Podczas pierwszego posiłku spostrzegł, że jest miła, lecz stara się zachować dystans. Na początku myślał, iż to tylko respekt, należny jego nowej godności. Później przyszła obawa, że Ellie jest chora. Przypomniał sobie, w jakim stanie przybyła na pokład - musiano nawet użyć noszy. Postanowił więc o stan jej zdrowia zapytać lekarza, oczywiście w ścisłej tajemnicy.

Właśnie podano kawę. Powoli zaczął bębnić palcami po stole, gdyż wzywały go obowiązki. Dopiero po chwili wspomniał niewypowiedzianą wprawdzie, lecz gorącą prośbę Walthera. Cóż - i tym razem straszyl wszystkich miną ponuraka. Rozejrzał się więc po sali i mruknął pod nosem, jednak tak głośno, aby wszędzie go słyszano.

- Co tu tak cicho? Niczym w prosektorium ... Czy nikt nie umie tańczyć? Dumont!...

- Tak jest, kapitanie!

- Proszę nastawić jakąś muzykę. Mrs. Mendoza ... mogę panią prosić? ...

Mrs. Mendoza chichocząc przyjęła zaproszenie. Choć, jak na Argentynkę, nie miała żadnego poczucia rytmu, szczęśliwie udało mu się zrobić kilka kroków bez większych potknięć.

Odprowadził ją do stołu, podziękował i zgodnie z przywilejem starszeństwa poprosił mrs. Daigler. Włosy Maggie były jeszcze ciągle krótkie, lecz błyszcząły, niczym stare złoto.

- Już dawno pana nie widzieliśmy, kapitanie.

- Musiałem dużo pracować. Brakuje nam ludzi, zwłaszcza fachowców.

- Tak też myślałam... Kiedy to się wreszcie skończy?

- Pyta pani o tranzycję? Sam manewr trwa ułamek sekundy, ale przedtem musimy przeprowadzić nieskończenie długie obliczenia.

- Czy naprawdę mamy szansę na powrót do domu?

Miał nadzieję, że jego uśmiech budził wystarczająco dużo wiary w lepszą przyszłość i wyzwalał zaufanie w jego kwalifikacje.

- Niewątpliwie.

Westchnęła ciężko.

- Wreszcie usłyszałam cokolwiek od człowieka kompetentnego. Dziękuję. Czuję się znacznie lepiej. Odprowadził ją na miejsce.

Rozejrzał się - pozostała jeszcze Ellie. Dziewczyna siedziała na swym krześle sztywno wyprostowana. Podeszedł ku niej.

- Nogi już nie bolą?

- Dawno o tym zapomniałam. Dziękuję za troskę, sir.

- Czy mogę liczyć na jeden taniec? Otwarła szeroko oczy.

- Mam sądzić, że kapitan zechce mi poświęcić nieco czasu? Schylił się w jej stronę tak, aby nikt nie mógł ich słyszeć.

- Jeszcze jeden taki dowcip, a wrzucę panią do przerębli. Zachichotała i zmarszczyła gniewnie nosek.

- Tak jest, sir, tak jest!

Dłuższy czas tańczyli, nie rozmawiając. W jej bliskości czuł się znakomicie i zaczął rozmyślać, czemu wcześniej nie zaprosił jej do zabawy. W końcu Ellie przerwała milczenie.

- Max ... Czy mam rozumieć, że pogodził się pan ze stratą pola 3 D?

- Absolutnie wykluczone. Ale będziemy mogli dokończyć tę rozgrywkę dopiero wtedy, gdy przeprowadzę tranzycję ... oczywiście, o ile zechce mi pani podarować dwa statki.

- Przykro mi, że się narzucam, ale chciałabym, żeby przywitał się pan z Chipsie. Dzisiaj rano pytała już o Maxa.

- Mi także przykro. Nawet miałem już zamiar, aby zaprosić ją do sterowni, ale później pomyślałem, że mogłaby zepsuć całą naszą pracę. Znowu musielibyśmy ślęczeć miesiąc nad papierami.

- Niech więc pan idzie do mnie.

- Wszędzie, tylko nie do pani kabiny.

- Niech pan nie będzie taki żaloszny ... I tak nie mam zbyt dobrej reputacji, abym mogła cokolwiek stracić, zaś pan, jako kapitan, ma prawo czynić wszystko wedle własnego uznania.

- W ten sposób od razu widzę, że nigdy nie była pani kapitanem. Proszę tylko popatrzeć, jak się nam przyglądają ... - oczami wskazał na mrą. Montefiore - Najlepiej będzie, jeśli przyniesie pani Chipsie tutaj. I proszę już dłużej się nie sprzeczać.

- Tak jest!

Połechnął Chipsie w podbródek, nakarmił kilkoma kostkami cukru, po czym zapewnił, że jest najpiękniejszym skrzyżowaniem pająka i małpizona, jaki kiedykolwiek istniał w tej części Wszechświata. Kiedy wychodził z salonu, czuł się niezwykle podniesiony na duchu. Gdy zobaczył, że mr. Walther znika za drzwiami swej kabiny, podszedł natychmiast i zastukał.

- Walther? ... Pracuje pan?...

- Ależ nie. Proszę wejść, kapitanie.

Max odczekał, aż pierwszy oficer dopełni obrządku z kawą i nie czyniąc żadnych wstępów od razu wystąpił z tym, co mu leżało na sercu.

- Mr. Walther ... przychodzę do pana ze sprawą osobistą.

- Czy mógłbym coś zrobić dla pana, sir?

- Sądzę, że nie. Ale pan ma większe doświadczenie, niż ja. W każdym razie chciałbym o tym opowiedzieć,

- Skoro takie jest życzenie kapitana ...

- Proszę mnie dobrze zrozumieć ... Nie przyszedłem tu jako kapitan, lecz jako Max.

Walther roześmiał się.

- Dobrze, ale proszę nie oczekiwać, że zacznę się do pana zwracać w inny sposób. Boję się nabrać złych przyzwyczajzeń.

- O'kay, o'kay ...

Max miał zamiar wypowiadać się ze sfalszowanej książeczki pracy. Nie miał pojęcia, czy doktor Hendrix poinformował pierwszego oficera, czy zatrzymał tę wiadomość dla siebie i wraz z tajemnicą umarł.

- Chciałbym panu opowiedzieć, w jaki sposób trafiłem na ten statek ... - rozpoczął, choć nie

przyszło mu to zbyt łatwo, gdyż sytuacja kapitana tłumaczącego się przed oficerem i to w dodatku z takiego przewinienia była doprawdy okolicznością niezwykle. Walther słuchał z poważną miną, a Max opowiadał. Wyjawiał mu wszystkie szczegóły, nie ukrywając nawet udziału Sama, gdyż w tej chwili nie mogło mu to ani pomóc, ani zaszkodzić.

- Już od kilku dni czekałem na tę spowiedź, kapitanie ... - odezwał się po dłuższym momencie milczenia, które zapadło, gdy Jones skończył swą opowieść.

- ... ale postanowiliśmy przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Tego rodzaju kwestii nie należy roztrząsać na statku.

- To właśnie mnie niepokoi. Jestem ciekaw, co się stanie po naszym powrocie ... o ile powrócimy.

- O ile powrócimy ... - powtórzył Walther - Czego pan ode mnie oczekuje, sir? Rady, pomocy?

...

- Nie wiem. Po prostu chciałem to panu opowiedzieć.

- Hm ... istnieją dwie alternatywy. Jeden sposób, najprostszy, leży w naszych rękach: możemy zmienić nieco jeden z mało ważnych raportów ...

- Nie, Walther. Nie chciałbym, aby "Asgard" opuszczały sfałszowane raporty.

- Byłem prawie pewny, że to właśnie pan powie, kapitanie. Mamy więc podobne przekonania, choć osobiście czuję się zobowiązany kryć tę sprawę ...

- Owszem, ja także kiedyś zamierzałem zrobić coś podobnego, ale teraz zmieniłem zdanie.

- Rozumiem. Druga alternatywa to zameldowanie o sprawie i pozostawienie rzeczy ich własnemu biegowi. W każdym razie może pan być pewny, że nie zasypię gruszek w popiele ... Sądzę, że główny inżynier oraz rachmistrz także podejmą jakieś działania.

- Dziękuję, mr. Walther ... - odetchnął z ulgą Max - Wszystko mi jedno, co zechcą ze mną zrobić, byleby tylko pozwolili na dalsze loty. Bo jeśli nie pozwolą ...

- To raczej niemożliwe, zwłaszcza, jeśli wyprowadzi pan statek z tych opresji. Ale gdyby spróbowali uknuć jakąś intrygę, wtedy wszyscy razem damy im poznać, co znaczy bić się o swoje prawa. Na razie niech pan robi swoje i zapomni o tym wszystkim.

- Spróbuję ... Czy może mi pan powiedzieć, jak zapatruje się pan. na tę sprawę ... na to fałszerstwo.

- To nie jest takie proste, kapitanie. Znacznie ważniejsze są pańskie odczucia w związku z tą ... aferą.

- Co ja czuję? ... Sam chyba nie wiem. Prawdopodobnie jak walczący lew.

- Dlaczego?

- Ponieważ w duchu próbuję się usprawiedliwiać, mówiąc, że to nie ja popełniłem zbrodnię, lecz system mnie do tego zmusił. Ale w tej chwili nie mam już ochoty dłużej się oszukiwać. Nie dlatego, żebym żałował, poczuł nagły atak skruchy czy wyrzuty sumienia. Po prostu chcę ponieść karę. Nic więcej.

- To dowód zdrowego rozsądku ... - stwierdził z zadowoleniem Walther - W tym wypadku żaden kodeks nie pomoże. Należy się raczej trzymać własnego osądu sprawy i nie spełniać na ślepo niczyich postanowień. Ja sam także łamałem przepisy ... nawet dosyć często. Niekiedy zdarzało mi się za to zapłacić, niekiedy uchodziło mi to płazem. Historia, którą mi pan opowiedział, mogłaby mieć zupełnie inny finał: na przykład mógłby pan zostać apostołem moralności, krocącym wąską ścieżką dusz sprawiedliwych i trzymającym się litery prawa jako jedyne drogowskazu. Mógłby pan także zostać wiecznym dzieckiem, które wierzy, że prawo obowiązuje wszystkich innych poza jedynym człowiekiem, czyli właśnie panem. Z tego, co mi pan tutaj powiedział, wnioskuje jednak, że

ani jedna, ani druga ewentualność nie doszła do skutku, a pan po prostu wydorósł. Max musiał się uśmiechnąć.

- Dziękuję panu, Walther. Podniósł się z krzesła.

- Idę teraz do sterowni. Muszę jeszcze trochę popracować.

- Kapitanie ... czy pan wystarczająco sypia?

- Ja? ... Ależ oczywiście. Ucinam sobie krótką drzemkę podczas każdej wachty ... prawie każdej.

- Jeszcze cztery godziny, kapitanie. Max potarł dłonią zaspane oczy.

"Asgard" leciał teraz odpowiednim tunelem. Już od kilku dni leciał po tej trajektorii, aby wkrótce przebić się do miejsca, gdzie była ich rodzima Droga Mleczna. Max spojrzął na Kelly'eya.

- Jak długo jest pan w sterowni?

- Niezbyt ...

- Czy pan w ogóle spał?

- Ach, kapitanie ...

- Pan jest niepoprawny. Znowu jedno gotowe?

- Tak jest, kapitanie.

- Proszę zaczynać.

Podczas gdy dyżurni podawali Maxowi wyniki obliczeń, on zamieniał je w liczby systemu dwójkowego i podawał obsłudze maszyny. Już od kilku dni prawie wcale nie opuszczał sterowni, tylko rozwiązywał poszczególne równania, opracowywał wyniki, a później rzucał się na łóżko i spał.

Dopóki było to możliwe, dyżurni się zmieniali, tak, żeby choć przez kilka godzin mogli wypocząć. Tylko Kelly nie ustępował i ciągle trwał na swym posterunku.

Oczywiście, Max także nie mógł liczyć na to, że ktoś go zastąpi. Musiał osobiście wyliczyć każde równanie, gdyż tylko w jego pamięci zmagazynowane były niezbędne tabele, wzory i algorytmy postępowania. Właśnie wszyscy zgromadzili się w "saunie" - wszyscy poza Lundym, który przyszedł dopiero wtedy, gdy Max skończył i wydał rozkaz, wykonania korekty.

- Pozdrowienia z kuchni! - wykrzyknął wesoło, stawiając na stole wielką wagę lodów z kremem.

- Jaki smak? - zapytał rzeczowo Max.

- Czekoladowy.

- Świetnie. To lubię najbardziej. A tak mimochodem ... jeśli już zabierze się pan do rozdzielania tego deseru, proszę nie zapominać, że jutro będę wypisywał świadectwa pracy.

- Ale to nie fair.

- Niech więc Kelly zajmie się podziałem. Miejmy nadzieję, że jego duma nakaze mu zachować sprawiedliwość. Max zwrócił się do szefa

- Ile czasu jeszcze mamy?

- Dwadzieścia minut.

- Tak niewiele?

- Wystarczy.

- O'kay.

Zrobili nowe pomiary i zjedli lody, po czym zajęli stanowiska pracy, gdzie powinni być obecni w czasie tranzycji.

Tym razem Kelly nie usiadł przy maszynie liczącej. Zastąpił go Kovak, zaś on sam zajął się stereografami, gdzie najlepiej mógł wykorzystać swe doświadczenie. Asystował mu Lundy. Smyth i Noguchi nadal przeprowadzali namiary.

Dwie godziny przed wyznaczonym czasem manewru zadzwonił Max do Compagnona. Oświadczył mu, że w tej chwili największy ciężar spoczywa na maszynowni. Główny inżynier zapewnił, iż on i jego ludzie dadzą z siebie wszystko.

Jones pracował i odpoczywał w dziesięciominutowych turach. Co prawda nie czuł się tak świeżo, jak odebrane prosto spod kury jajko, niemniej radził sobie nie najgorzej.

Praca była dobrze zorganizowana, nie musieli dokonywać zbyt wielu korekcji lotu, tak, że tylko Compagnon mógł narzekać z nadmiaru zajęć. Kiedy chronometr maszyny obwieścił, że do punktu "O" pozostała niecała godzina, Max dzwignął się z łóżka i przeciągnął, aż zatrzeszczały kości.

- Wszyscy na stanowiska. Noggy, obudź się! ... Czy każdy otrzymał po tabletkę? Gdzie jest moja? Kovak podał mu niewielką pigułkę. Popił ją kawą.

- Kto głodny, niech korzysta z ostatniej okazji. Później nie będzie już czasu.

Wkrótce zaczęły napływać dane ... jak zwykle w tym samym, monotonnym rytmie. Po chwili poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Zaledwie przyjął kolejną poprawkę toru lotu i zdążył przekazać ją do maszynowni, Kelly miał już nowe kolumny cyfr do opracowania.

Znowu zapłonęły lampki - kolejna korekta. Odczytał wynik, podał go maszynowni, a za moment gotowe były kolejne obliczenia.

- Powtórzyć!

Kelly powtórzył. Max przebiegł w pamięci tabele i stwierdził, że tysiące znaków nie mu nie mówią. Co właściwie znaczyła ostatnia korektura? Czy na pewno posłużył się właściwym algorytmem? Czy coś takiego można określić mianem "liczenia"? A statki patrolowe? ... Jakiej metody tam używano, aby wydobyć się z podobnej pułapki? Czy można oczekiwać, aby jeden jedyny człowiek ...

- Kapitanie! - usłyszał ostry głos Kelly'eya. Potrząsnął głową i usiadł.

- Przepraszam. Proszę dalej, szefie.

Z panicznym strachem przebiegł długie kolumny tabel, sprawdzając, czy się nie pomylił, po czym przeprowadził kolejną operację. Teraz już wiedział, co to znaczy, gdy kapitan statku mknącego przez strefę śmierci z szybkością światła straci wiarę we własne możliwości. W tym strasznym momencie nawiedziło go uczucie, że ktoś stoi za jego krzesłem, kładzie mu rękę na ramię i łagodnie uspokaja ... Po chwili jasnym, wyraźnym głosem zaczął podawać nowe liczby pracującemu przy maszynie Kovakowi. I tak trwało to ponad dwadzieścia minut. Z precyzją automatu wykrzykiwał rzędy cyfr, danych, wykonywał drobne korektury, opracowywał nowe dane, aż wtem nadszedł decydujący moment.

- Trzymać się mocno! - krzyknął i nacisnął guzik. Rozejrzał się, lecz nikogo nie dostrzegł.

- Co to za maszyna! - wrzasnął radośnie Kelly - Znowu na starych śmieciach!

Max spojrzał w górę ... Istotnie nad nimi ponownie błyszczały dobrze znane gwiazdozbiory Nu Pegasi i Halycona.

Pięć minut później zasiadł wraz z szefem do zimnej kawy oraz resztek bułeczek. Tymczasem Noguchi i Smyth zajęli się procedurami końcowymi. Kovak wraz z Lundym, którzy pełnili pierwszą wachtę, zeszli na dół, aby przed służbą zdążyć jeszcze nieco odpocząć. Max ponownie spojrzał na kopułę.

- A więc naprawdę dokonaliśmy tej sztuki ... Nigdy bym w to nie uwierzył.

- Naprawdę? Przecież nikt nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Hm ... Cieszę się, że nie może pan wiedzieć, jak drżały mi łydki. Kelly nie podjął tematu.

- Czy pan sobie zdaje sprawę z faktu, że pański głos niezwykle przypomina barwę głosu doktora

Hendrixa ... zwłaszcza przy podawaniu danych ... Max obrzucił go krótkim, ostrym spojrzeniem.

- Skąd pan wie? ... To było w tym strasznym momencie ... tuż przed decydującą chwilą ...

- Wiem - odparł Kelly, nie siląc się na bliższe wyjaśnienia.

- Oczywiście, to tylko takie wrażenie ... bardzo subiektywne u-czucie ... w duchy nie wierzę, ale zdawało mi się, że ktoś za mną stoi. Tak samo, jak kiedyś stał Hendrix, gdy kontrolował to, co robiłem. Szef skinął głową.

- To ja stałem. Mam nadzieje, że mi pan wybaczy.

- Co proszę? ...

Kelly nie odpowiedział, lecz zajął się ustaleniem pozycji statku i porównaniem wyników pomiarów z mapami nieba. Na stole rozłożono standardowe, ciemnobłękitne płachty papieru - zdarzyło się to po raz pierwszy, gdy wszyscy uznali "Asgard" za stracony.

Kiedy szef skończył swą pracę, Max uświadomił sobie, że czeka go jeszcze trud ustalenia trajektorii lotu.

- Jestem zdania ... - odezwał się po chwili -.... że powinniśmy trzymać się kursu na Nu Pegasi.

Kelly był wyraźnie zdziwiony.

- Na Nu Pegasi?

- Przecież nie możemy lecieć na Halycon. Przy tej odległości ... Co pan sądzi?

- Nic, kapitanie.

- Bez- żartów. Niechże pan mówi.

- Myślałem, że wylądujemy na Terree Novae, ale skoro kapitan postanowił inaczej...

Max pobębnił palcami w stół. Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że po tym, gdy dokonał niemożliwego, ktokolwiek mógłby oczekiwać czegoś innego niż tylko wylądowanie na najbliższej planecie.

- Pan sądził, że poprowadzę statek na Nową Ziemię? ... Bez tabel i jakiegokolwiek pomocy ...

- Jestem od tego daleki, kapitanie. To było tylko takie podświadome życzenie ... Max wyprostował się.

- Proszę powiedzieć Kovakowi, aby trzymał dotychczasowy kurs. Acha ... niech pan poprosi Walthera do mojej kabiny.

- Tak jest, sir. Pierwszego oficera spotkał jeszcze na korytarzu.

- Hallo, Walther! Proszę ze mną. Weszli do środka. Max zdjął czapkę i rzucił ją na stół.

- A jednak aię kręci! ... Dokonaliśmy tego!

- Tak jest, kapitanie. Obserwowałem wszystko przez bulaj w salonie.

- Nie wygląda pan na zaskoczonego.

- A powinienem? Max rzucił się na fotel.

- Powinien pan, powinien ...

- W porządku. Jestem więc zaskoczony i zdumiony. Max spojrzał nań bez przekonania, po czym zrobił ponurą minę.

- Może pan chociaż wie, gdzie powinniśmy lecieć?

- Kapitan jeszcze nie zechciał zdradzić mi tej tajemnicy.

- Do diabła z tymi szaradami, przecież pan wie, o co mi chodzi! Celem naszej podróży jest Terra Nova, ale po drodze leży Halycon. Dokąd pan zamierzał lecieć, zanim jeszcze mianowano mnie kapitanem. O czym pan wtedy myślał?

- Wtedy myślałem tylko o jednym: w jaki sposób i skąd zdobyć dla "Asgarda" nowego dowódcę

- odparł spokojnie Walther.

- To jeszcze nie odpowiedź. Czy pan nie rozumie, że w tej chwili toczy się gra o dobro

pasażerów? Oczywiście, zgodziłem się ponieść ryzyko tranzycji, nie miałem żadnego wyboru. Ale w tej chwili mogę wybierać ... Czy zatem nie powinniśmy poinformować ich o sytuacji i zdać się na ich wybór? Walther pokręcił głową.

- Nie ma zwyczaju, aby pytać pasażerów ... w każdym razie nie praktykuje się tego na statku, który jest w podróży. To nie fair. Max zerwał się i zaczął przemierzać kabinę długimi, nerwowymi krokami.

- Fair, nie fair ... ciągle ta sama śpiewka. Przecież jest pan pierwszym oficerem! Niech pan zadecyduje? Walther stał nieporuszony, choć Max krzyczał mu prosto w twarz.

- Decyzja nie należy do mnie, sir. Po to został pan kapitanem, aby decydować.

Max stał przez moment w milczeniu. Zamknął oczy.

Gdzieś z dna pamięci, z pokładów podświadomości, których sam nie mógł do końca przejrzeć, wypłynęły długie, równe kolumny cyfr ... Podeszedł do telefonu i połączył się ze sterownią.

- Mówi kapitan. Czy jest u was Kelly? Tak? ...

Witam szefie. Bierzemy kurs na Nową Ziemię. Proszę wszystko przygotować. Za chwilę się zjawię.

O tej porze roku Max najbardziej lubił wczesny zmierzch. Leżał na niewielkim wzniesieniu, na zachód od stodoły. Głowę wsparł o rękę w ten sposób, aby móc spoglądać na północny zachód. Wpatrując się w pierścień tunelu z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy z ciemnego otworu wynurzy się "Tomahawk" i srebrzystą nitką przemknie przez dolinę.

Nie miał nic do roboty - ze spokojnym sumieniem wylegiwał się na świeżej trawie, kontemplując wspaniałe zachód słońca.

Panowała głęboka cisza, przerywana niekiedy stukotem skrzydeł ptaków, Wtem z ciemnej otchłani wypadła srebrna strzała, przecięła dolinę i znikła po przeciwnej stronie.

- O, boy ... - wyszeptał z podziwem - Wprost niewiarygodne ... Nie musiał się spieszyć.

Wyciągnął z kieszeni list i po raz nie wiadomo który przeczytał ostatnie zdania:

" ... Sądzę, że ojciec bardzo się ucieszył, widząc mnie znowu w domu. Choć z pozoru ma stalowy charakter, w istocie szybko się rozczula. Jestem taka szczęśliwa ... wyszłam za męża. Putzie jest świetnym mężem ... taki troskliwy i wzruszająco miły ... Oh, Max ... Jeśli kiedyś wyląduje pan na Hesperze, musi nas pan koniecznie odwiedzić.

PS. Mr. Chips wspomina pana z tkliwością. Ja także ..."

Czyż to nie miła dziewczyna z tej Ellie? ... Nawet jeśli poszła swą własną drogą, była taka kochana. Ciekawe, co z Putzie'm? Gdyby zostali na Caritas ...

Nieważne. Astronauci nie powinni się żenić.

Zaczął podrzucać złotą odznakę z wyobrażeniem wschodzącego Słońca. Co to za głupia decyzja ... dlaczego nie mógł pozostać na "Asgardzie"? Oczywiście, w jakiś sposób można by ją uzasadnić: skoro już raz był tam kapitanem, nie powinien pracować jako zwykły astronauta.

Ostatecznie stanowisko pomocnika astronauty na "Elizabeth Regina" to też całkiem niezła posada.

Niewiele sobie robił z grzywny, którą obarczyła go Rada Gildii oraz z nagany, wpisanej w akta. W końcu miał przecież to, czego najbardziej chciał: mógł latać. Poza tym nikt nie mógł mu odebrać zasługi odkrycia Skupiska Hendrixa.

Choć nie przeczył słuszności kary - postąpił wbrew prawu i musiał ponieść konsekwencje - mimo to nie sądził, aby ostatnie słowo w tej sprawie należało do orzeczenia sądu; wszystkie przepisy powinny dawać bodaj cień szansy tym, którzy bez niej nie mogą sobie poradzić. Trochę później, gdy wzrośnie już w lata i doświadczenie, z pewnością uczyni coś w tej kwestii.

Jeśli nie chciał wydać fortuny na taksówkę musiał wracać. Podniósł się i ruszył w stronę domu.

Kierowca stał obok pojazdu - oglądał ogromny plac budowy, jaki wyrósł tuż przed gankiem.

Pola, które tak niedawno jeszcze uprawiał, znikły gdzieś w sieci wykopów. Tylko dom stał na swoim miejscu. Nad drzwiami wisiał drewniany anioł, lecz jakiś łobuz wybił wszystkie szyby.

Nie miał pojęcia, gdzie mogła się podziać Maw ze swym gachem. W archiwum powiedziano mu, że opuścili Clyde'e Corner, lecz dokąd poszli, nikt nie wiedział.

Kierowca zauważył swego pasażera. Sądził, że tak, jak on, Max również podziwia plac budowy.

- Imponujące, prawda? ... A co z nami? Chce pan teraz jechać, sir?

Max rzucił ostatnie, pożegnalne spojrzenie.

- Tak. Tutaj już nikt nie mieszka. Wtłoczył się na ciasne siedzenie.

- Dokąd mam jechać?

Max dopiero teraz zaczął się zastanawiać. Pieniądzy miał niewiele, ale następny rejs powinien podreperować pustą sakiewkę.

- Proszę mnie zawieźć na stację kolejową. Chciałbym zdążyć na "Javelin".

Gdyby dostał bilet na ten ekspres, jeszcze przed świtem zawinąłby do Portu Ziemia.

Koniec

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 3](#)

[2. 10](#)

[3. 15](#)

[4. 19](#)

[5. 25](#)

[6. 29](#)

[7. 35](#)

[8. 39](#)

[9. 43](#)

[10. 50](#)

[11. 55](#)

[12. 60](#)

[13. 69](#)

[14. 73](#)

[15. 78](#)

[16. 85](#)

[17. 88](#)

[18. 93](#)

[19. 103](#)

[20. 110](#)

[21. 115](#)

[22. 123](#)